SZKÓŁKA
DLA MŁODZIEŻY.

Pismo sześciotygodniowe

WRAZ Z

DODATKIEM LITERACKIM I ARTYSTYCZNYM

REDAGOWANE

PRZEZ

Ewarysta Estkowskiego.

Rok piąty czyli Tom piąty.
1854.

POZNAŃ.
NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.
1854.

SZKÓŁKA DLA MŁODZIEŻY.

Rok V. 1854. Poszyt V. i VI.

POEZYE.

BŁOGOSŁAWIONA.[1])

Niech inni sieją solą, ja posieję makiem. 2)

Na sądy boże dusze się spieszą,
Jedne się smucą, drugie się cieszą,
Bo na przedniebiu stoi na straży
Anioł co ludzkie uczynki waży;
Kiedy dobrego przeważa ważka,
Dusza dostaje skrzydełka ptaszka,
Nad czoło mały świecący krążek,
Przepaskę z jasno-niebieskich wstążek,
Ostatnią łezkę z oczu ociera,
I już się przed nią niebo otwiera.

Tam się patronce swojéj pokłoni,
Co się przez życie modliła do niéj,
I ucałuje koniuszek szaty
Świętéj Barbary i Małgorzaty,
A owe święte daléj ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą.

Szczęśliwa dusza patrzy po bokach
Jak święci pańscy stoją w obłokach,
Ciż sami święci i drugich wiele,
Których widziała w wiejskim kościele:
Święta księżniczka pełna pokory,
Co wystawiła cztery klasztory,
I sama w jednym czas bardzo długi
Robiła biednym proste posługi,
Nosiła wodę, zmywała statki,
Choć miała w domu wszelkie dostatki,
I gdyby tylko sama zechciała,
Zarazby króla za męża miała;

Bo przytém była piękna, rozumna,
Ale nie taka jak drugie dumna,
Więc uprosiła u ojca księcia:
Żeby już sobie nie szukał zięcia,
Że po wiek wieków ona dla siebie
Już upatrzyła pana na niebie; —
A jak wyrzekła tak dotrzymała,
Za co światłości wiecznéj dostała,
I teraz stoi w słupie obłoku,
Święty klasztorek dzierżąc przy boku.

Za nią oparty o pszenny snopek
Spoczywa w niebie ubogi chłopek;
Żywił on biednych przez głodne lato,
Więc mu téż Pan Bóg nagrodził za to.
Owa uboga wieśniacza świta
Teraz się świeci jak srebrem szyta;
Ona pszenica kłosista biała,
Jakoś dziwnego blasku dostała.

Przy nim pomarli synkowie mali
Trzymają w rączkach snopki konwalii,
I podawają wdzięcznie śmiejący
Swoje kwiateczki duszy idącéj. —

Gdzie się obróci, święty się słania,
Więc się z miłości każdemu kłania,
Świętéj Agacie i Petroneli,
Co się po niebie przechodzą w bieli,
Przed świętym Jackiem, przed świętym Janem,
I przed Maciejem i przed Florjanem.

Tam siedzą święte biskupy siwe,
A wszystko takie dobre, szczęśliwe,
Żadna im troska lic nie zaciemia,
Bo też to niebo, nie nasza ziemia.....

Święte patronki daléj ją wiodą,
Pod obie ręce jak pannę młodą,
A ta już nie wie, jak im dziękować,
Radaby święte nóżki całować,
Że się ubogiéj żadna nie wstydzi,
I że tak piękne niebiosa widzi. —

— Panienki jasne, gdy to być może,
Chciałabym widzieć matuchnę bożę,
Aby z daleka, choć aby źdźiebko;
Widziałam ci ją raz nad kolebką
Mojego dziecka, mego Wojtuszka,
Co dziś na pańskiem jest za pastuszka,
Co pasąc gąski całe poranki
Na chwałę bożą grywa w multanki. —

A cóż ty żądasz? — Prosićbym chciała:
Żeby téż oczko na niego miała. —

Więc święte pańskie daléj ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą,
Aż tam wysoko, gdzie nad wszystkiemi
Przegląda jasna królowa ziemi,
A dwa aniołki wdzięczne, śmiejące,
Trzymają sukni dwa złote końce.

Na jéj rozkazy anieli służą,
Tacy przecudni i tak ich dużo.

— Święta Barbaro! a gdzież ów leci?
— A toż na ziemię do twoich dzieci,
By uspokoić tęskne serduszka,
Niesie przed sobą rajskie jabłuszka. —

— Chwała ci Boże! — a owo panie
Cóż ono niesie w tym złotym dzbanie? —

— Niesie kapeczkę z krynicy świeżéj,
Co przy stolicy przedwiecznéj bieży,
Żeby w czyścowej strasznéj posuszy
Odwilżyć usta cierpiącéj duszy,
Która się łaski bożéj doprasza,
A ta duszyczka to matka wasza.... —

— Chwała ci Boże! — A ówże trzeci,
Co jakby gwiazdka wieczorna leci?

— Ten do waszego pospiesza kuma,
Co pasie owce i sobie duma
O różnych ziołach nad brzegiem rzeki:
Na jakie ludziom zdadzą się leki;

A on mu wszystko pięknie wyłoży,
Na wszelkie cuda oczy otworzy,
Że się do niego będą zbiegali,
Ubodzy ludzie choćby z najdaléj,
A on każdemu będzie przykładał,
A anioł pański mu podpowiadał. —

— Chwała ci Boże! — A ten gdzie biegnie,
Którego oko ledwie dostrzegnie?
O święte panny, jakże mu spieszno
Z jasnego nieba na ziemię grzeszną!...

— Ten anioł leci do twego brata,
Co go pognali temu trzy lata,
I o téj porze po biodra nagi,
Znosi cierpliwie okrutne plagi,
Aleby umarł za trzecim razem,
Gdyby nie pobiegł anioł z rozkazem.

— Chwała ci Boże! — A ówże biały
Co mu się skrzydła porozstrzępiały?

— Ten niesie liścik od Matki bożéj,
Który na wiejskim ołtarzu złoży,
Ażeby ludziom w świętą niedzielę
Ogłosić przyszłe wielkie wesele:
Żeby dziewczęta w krainie całéj
Nowe sukienki na siebie wdziały,
I kwiecia żeby przyniosły pęki,
I zaśpiewały na Bogu dzięki,
Bo już w tym kraju przez litość Boga,
Nie będzie moru, głodu ni wroga. —

— Chwała ci Boże! za wszystko chwała,
Com tu na własne oczy widziała.
Gdybyż to ludziom powiedzie o tém,
Co umierają z głodu pod płotem,
Co ledwie oczy ze snu otworzą,
Jużci się skarżą na rękę Bożą,
A tu tak wiela różnéj pociechy
Pan Bóg rozdziela na nasze strzechy. —

— Nie bój się siostro, ich tam nauczą
Te dziady co się o kiju włóczą

Z ewanielijką jak apostoły,[3])
Albo stawają po przed kościoły,
Gdzie się uśmiecha z wilgnéj świątnicy
Mały aniołek z nad kropielnicy,
Tak wyrobiony w ciemnych cegiełkach,
Jak gdyby żywy na dwóch skrzydełkach;
A na wpół nagie wieśne pastuszki,
Dają mu leśne jabłka i gruszki.

I święte pańskie daléj ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą,
Po drodze nieraz wznosząc paluszek
To na obłoczki z dziecięcych duszek,
To na aniołów twarze pogodne,
Spieszących lilje okrywać wodne
Taką tkaneczką w niebiosach tkaną,
Jak najpiękniejszą zorzą rumianą;
I drugie, które z srebrnych przetaków
Biegły rozrzucać ziarnka dla ptaków.
Jeden się żywem światłem przesłonił,
Gdy na odwieczerz dziadek zadzwonił;
Jnny z kotewką wiszącą, krzywą,
Leciał na wielką wodę burzliwą;
A jeden robił z srebrnych włókienek
Płótno na suknie świętych panienek,
A jeden zwijał na tęcze paski,
A jeden zbierał na kółka blaski. —

Szczęśliwa dusza idąc pod ręce
Ku przenajświętszéj Matce panience,
Myślała sobie, czyby nie trzeba
Prosić o więcéj królowéj nieba;
Za moim chłopcem toć to za mało,
Za panią naszą téżby się zdało,
Za panem naszym co go zawiało —
Aż tu jak gdyby z pod ziemi, z niska,
Jak para głos się wdzięczny przeciska.....
Szczęśliwa pilnie ucho przykłada,
A to pan z panią podzięki składa;
Więc się duszyczka wejrzy na świętą,
A ta z twarzyczką tak uśmiechniętą,
Jak się to zdarza, gdy chcemy komu
Oznajmić wielkie wesele w domu,

Patrzy się na nią i słówka cyka:
— Pokora twoja niebo przenika,
Jakeś prosiła tak się i stało,
Wszystko tu jedno, dużo czy mało. —

I święte panny daléj ją wiodą,
Pod obie ręce jak pannę młodą,
A ta już nie wie jak im dziękować,
Czyby nóżeczki święte całować,
Czy koniec długiéj liljowéj szaty
Świętéj Barbary i Małgorzaty.

A święte mówią: jeszcze to nie to,
Co ujrzysz daléj dobra kobieto;
Widzisz tę jasną, grającą zorzę,
Tam ci pokażem skarbnice boże.

Idzie i klucznik — prośże klucznika,
To poprowadzi i poodmyka. —
— O z miłą chęcią święty odrzeka:
Niechże tu siostra chwilkę poczeka. —
I zaszedł w zorzę jak boże słońce,
Kiedy na ziemię schodzi świecące.

Aż ci po chwili, o! łasko boża,
Pocznie grać cudnie rumiana zorza,
Ale to taka słodka kapela,
Jak gdy z daleka jadą wesela,
I ledwie słychać skrzypeczne brzęki,
Jakieś ci głosy, jakieś piosenki,
Niby słyszane i niesłyszane,
Jakby na ciszę wiejską rozwiane,
Coś jakby pszczoły lecące z miodem,
Coś jakby strumień, co szemrze spodem,
Coś jakby wietrzyk, co w krzaki dmucha,
Coś jakby słodkie słówko do ucha,
Coś jakby dźwięczny z kaplicy dzwonek,
Kiedy się ledwie rozbrzyzga dzionek,
I pociemniałe oświeca krzaki,
Gdzie zmokłe rosą budzą się ptaki.
Szczęśliwa słucha i zadumana,
Pochyla czoło, zgina kolana,
I jak porzeczna, cicha lilija
Woń niebios wieje *Zdrowaś Maryja*,

Zdrowaś Maryja, Panno Pan z tobą,

. . . .

. . . .

Spojrzy i widzi cuda przed sobą.

Na wyrabianéj srebrzystéj tacy
Leży kłos złoty rolnika pracy;
Jak brylantowa gwiazda niebieska,
Nawróconego grzesznika łezka. —
Na boku puklerz jak miesiąc leży,
Który zasłaniał biednych pasterzy,
I dla miłości żywego Boga
Bronił samego wroga od wroga; —
Daléj jak młyński kamień ze złota
Grosz, który dała biedna sierota;
A nad tém wszystkiem i któż wypowie,
Co podnaszają dwaj aniołowie:
Jak oni święci stoją schyleni
Nad tą koroną z strasznych promieni,
Przenikających bardziéj niż słońce
Najdalsze świata bożego końce,
Tak że nie można patrzeć się blisko
Na to miłości bożéj ognisko,
A gdy się wpatrzysz, to ci się czerni
Korona boża z okrutnych cierni;
A nad nią wyżéj w powietrza fali,
Krzyż pański niosą przeczyści biali,
Krzyż, co ramiony ogarnia wieki,
Taki ogromny, a taki lekki,
Że i najmniejsze dziecko w pokorze
Na swoich barkach unieść go może.

Szczęśliwa dusza na krzyż wejrzała,
— A cóż ja Panie dla ciebie dała?....
A święty klucznik wskazał jéj zdala
Maleńkie serce jakby z korala;
A z tego serca szły trzy promienie:
Miłość dla ludzi, ciche cierpienie,
I ta, co ziemskie życie ozłaca,
Nieustająca, spokojna praca. —

I daléj wiodły ją święte boże,
Nad przezroczyste niebieskte morze,

A nad tém morzem w górze jaśniała
Królowa nieba, ta gwiazda biała.
Więc się do świętéj zwróci Barbary:
— Cóż to za morze bez końca, miary?
A jakie czyste, jak się odbija
Na jego wodzie śnieżna lilija,
I niebieściuchna, przejrzysta szata,
I wszystkie gwiazdy królowéj świata? —

— One nie mogą siostro być inne,
Bo to są sierot łezki niewinne,
A spojrzyj na dno widzisz z pod spody,
Cierpiące wierne całe narody,
A każdy w takiéj stoi sukience,
Jak na tém morzu i na panience. —

— Oj prawda, prawda — toć nasza wioska,
Zlituj się nad nią o Matko Boska! —

— A tam na skale, co się to bieli,
Niby to ludzie, niby anieli? —

— Cokolwiek widzisz z pod łez krynicy,
Wszystko to wierni lub męczennicy.

I święte panny daléj ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą,
Aż tu wychodzi staruszek z brodą.
Szczęśliwa widząc jak z jego kija
Lilja bieluchna listki rozwija,
Zaraz poznała i rzecze k' świętéj
Jak człowiek żywą radością tknięty:
— A toć to Józef! — A Józef prawi.
— Niechże mi on téż pobłogosławi. —

A święty Józef zwraca się żwawo,
I rączkę nad nią wznosi łaskawą —
Za nim szedł Szymon i Jakób młodszy,
I Jan z Chrystusa uczni najsłodszy,
Uśmiechający, dziwnie spokojni,
A wszyscy jakby na gody strojni.
Idąc tak razem, na każdym kroku
Witał ich nowy święty w obłoku,

Święty Mateusz i drugich wiele,
Których widziała w wiejskim kościele,
Każdy się świeci i każdy rusza,
Że aż patrząca cieszy się dusza,
I wciąż radośnie szepce do siebie:
— Mój Boże drogi, toć to ja w niebie! —

W świętéj gromadce to i iść sporzéj,
Jedna im droga do Matki bożéj,
Gwarząc ze sobą to to, to owo;
Każdego takie serdeczne słowo,
Że się wydaje, że dziecko głuży,
Więc się im owa droga nie dłuży. —

Na ziemi było już po zachodzie,
Bo ryk słyszała bydła przy wodzie,
I wiejskich owiec wesołe beki,
Które owczarek poił u rzeki,
I śpiew słowika, co w letnie noce
Na chwałę bożą wdzięcznie szczebioce,
Ciche westchnienia na progach chatek
I pacierz małych klęczących dziatek,
Kiedy do rajskiéj weszły gospody,
Szczęśliwe dusze na wieczne gody. —

Wszyscy pokornie schylili głowy,
Ujrzawszy długi stół cyprysowy,
Na którym była królowa nasza
Robiona złotą rączką Łukasza;
A na tym stole cudnéj roboty,
Płatkiem przykryty stał kielich złoty.

Gdy święci padli na rozmyślanie,
W niebie się wdzięczne rozległo granie,
Długo słuchając słodkiego dźwięku,
Wybrani pańscy na cichym klęku,
Ujrzeli światłość jak przybywała,
Jak wszystko w okół poprzenikała.
A kiedy sami w świetle stopnieli,
Uczuli postać idącą w bieli,
Która gdy cicho stanęła w progu,
Umarli świata powstali w Bogu.

Fontainebleau, w dzień Św. Jana Chrzciciela 1854.

Lirenko moja, mała lirenko,
Coś mi tak nagle zgłuchła pod ręką,
Czyś się jasności niebios wylękła?
Czy jaka struna na tobie pękła?
Anim się jasnych niebios wylękła,
Ni żadna struna na mnie nie pękła,
Tylko z powietrza dłoń na mnie spadła,
Na wszystkie struny palce pokładła,
Jak gdy szczęśliwe pachole nasze
Na gniazdku śpiewne przykryje ptasze.

Teofil Lenartowicz.

PRZYPISY.

1) Błogosławiona. Przypominamy czytelnikom poemat pana Lenartowicza, pod tytułem „Zachwycenie,“ drukowany w Szkółce na rok 1852, str. 117. — „Błogosławiona“ jest niejako dalszym ciągiem „Zachwycenia,“ dopełnieniem losu duszy opowiadającéj o wędrówkach swoich przedśmiertnych w wyższym świecie. — Z wszystkich dotąd drukiem ogłoszonych utworów poetycznych ulubionego śpiewaka mazowieckiego, wytrwałego współpracownika naszéj „Szkółki,“ najwyżéj stawiamy ostatni utwór jego „Błogosławioną,“ tak pod względem pomysłu, jak wykończenia i wdzięku mowy. Bodaj znajdziesz w całéj literaturze naszéj tak czystą fantazyą, taką prostotę dziecinną i tak luby urok, jakim oddycha „Błogosławiona,“ którą śmiało dla tego stawiamy w rzędzie wyborowych naszych utworów poetycznych. — „Zachwycenia“ i „Błogosławionéj“ wszystkie dzieci na pamięć uczyć się powinny.

Przypisek Redakcyi.

2) „Niech inni sieją solą, ja posieję makiem.“ — Wyrażenie to jest u nas znane w opowiadaniach, jak n. p. „Zniszczył, zaorał i zasiał, żeby już nic nie wschodziło“ — i drugie: „Cisza była na świecie, jak gdyby makiem zasiał.“ — Kto niszczy, ten jakby solą rolę posiewał. Kto kocha wszystkich, ten nie niszczy, ten ma pokój w duszy, a w sercu jego taka cisza, jak gdyby makiem zasiał, i z słów jego rzuconych w niewinne serca rośnie tak bujny, stokrotny plon, jak z ziareczek posianego w pulchną ziemię maku.

Przypisek Redakcyi.

3) Pamiętam z dziecinnych lat, jak co niedziela przychodził do naszego domu taki dziadek z ewangielijką pod pachą, a stanąwszy przy drzwiach, po błogosławieństwie całemu domowi, odczytywał ewangielią na tę niedzielę przypadającą z wielkiém zbudowaniem słuchaczy.

Przypisek Autora.

Z mojego gospodarskiego kalendarza

przez

Hreczkosieja.

(Z dziełka przygotowanego do druku wyjątek drugi.)

Prawdziwa poezya.

To u mnie nie poezya, jeśli się gdzie spotka
W pozlepianéj osnowie myśl dobra, lub zwrotka.
Piewcę prawego w lada półsłówku dojrzycie;
Jędrny, jakby myśl swoją wykował w granicie.

Natchnienie.

Jak wietrzyk, co listkami po gałązkach dzwoni,
Co po wodném zwierciedle biały żagiel goni,
Nie jest własnością drzewa, ni żeglowéj łodzi,
Bo ten, co mu wiać każe, ten i wiać przeszkodzi;
Tak natchnienie, co w niebo myśli twoje wzbija,
Bóg daje — bo natchnienie to własność niczyja.

Rozumkowanie poezyą zabija,
Chociaż poezya rozumowi sprzyja.

Twory poezyi.

Gdzież nad Zorynę, Maryą i Marylę
Swietniejsze gwiazdy na naszym błękicie!
Poeci! czemuż tak mało tworzycie
Chociaż was tyle?

Jan Kochanowski.

O Janie! jako mistrza sztuki jać nie cenię;
Tyś wyższy nad nią; z nieba brałeś wprost natchnienie
Ojca, obywatela, męża żywéj wiary.
O! nie wielu zatknęło takie trzy sztandary.

Kazimierz z Krółówki.

Od macoszynych gniewów zbiegało pachole
To pod strzechę wieśniaczą, to w odludne pole,

I dłoń chłopki koiła łzę, lub nakarmiła,
Ztąd w Wiesławie Sykulska Sielanka odżyła.

Piękny świat sielankowy, lecz z prawdą w rozsterce,
Choćbyś stoma sercami patrzał w jedno serce,
Jeszcze go nie odgadniesz. — Gdzież to wzór Wiesława —
Czy nie ta postać mózgiem zbryzgana i krwawa?

Autor Maryi.

Być niepojętym, nie mieć za życia rozgłosu —
W poecie jest to może najwyższy szczyt losu.
Autorowi Maryi — napis, i dość na tém;
Gdy Polska, jak jest cała, potrzęsła go kwiatem.

Bohdan.

Dziecię z kolebki rusałki wykradły,
Poiły rosą, na obłoczkach kładły,
I kołysały, wśród dumek i szumek.....
Ale chłopczyna nie bity w rozumek,
Zrobił krzyż święty — pierzchnęły złe mary.....
I, chrześcianin zanucił hymn wiary.

Seweryn.

W zgliszczach Kaniowa struna odgrzebana,
Na ukrainnéj lirze nawiązana,
Sypała pieśni, jak skry, za pieśniami,
Czemuś ją zerwał od ziemi, i czemu
Chcesz strunę zanieść światu zaziemskiemu?
Dopókiś ciałem — o śpiewajże z nami.

Juliusz.

Za ciasno twojéj piersi było w naszym gwarze.....
Zrazu stepy dnieprowe, i puszcze w Saharze
Leczyły swym oddechem pierś wieszcza zbolałą;
Potém, gdy i stepów bezbrzeżnych za mało,
Swiatłe kolumny duchów sprosiłeś.... i, cienie.....
I oneć na bezdenne uniosły przestrzenie.....

Anioł Stróż.

Ja aniołek boży,
Pilnuję cię dziecie,
Byś w życia podróży
Nie zbłądziło w świecie.

Gdy ci miła szkoła,
To słuchasz anioła;
Gdy wchodzisz w kościołek,
Jest z tobą aniołek.

Gdy kochasz każdego,
Nie czynisz nic złego,
Ja zasługi twoje,
Jako wieńce stroję.

Gdy czuwasz, ja z tobą
Całą dzionka dobą,
A kiedy śpisz sobie,
Ja zawsze przy tobie.

Dziecino ma droga!
Słuchaj co ci radzę,
Bo ja cię do Boga
Znowu odprowadzę.

Anna L. Krakowianka.

KRAKOWIAKI.

Zosia.

Świta dzionek, już skowronek piosneczkami dzwoni,
Żabka skrzeczy, owca beczy, konik rży na błoni.

W niebios górze, jakby w chmurze, błyszczą gwiazdki w kole,
Zosia mała rano wstała, wybiegła na pole.

— Śliczny Boże, dobry Boże! jak tu pięknie w świecie,
Lecz mam trwogę, że nie mogę chwalić ciebie dziecie.

Żebym ptaszkiem być zdołała, tobiebym śpiewała,
Żebym złotą gwiazdką była, tobiebym świeciła. —

Lube dziecię, tyś jest w świecie najpierwszém stworzeniem,
Twoja cnota, gwiazdka złota, Bożém uwielbieniem.

Twój głosiczek, jak słowiczek, kiedy wyśpiewuje,
To twe pienie pod sklepienie nieba ulatuje.

Bądź niewinna, dobroczynna, skromna i łagodna,
Nad ptaszeczki i gwiazdeczki będziesz nieba godna.

Krakowiak Zosi.

Świeci miesiąc świeci, a przy nim gwiazdeczka,
Jestem sobie jedna u mamy córeczka;
Jedyna córeczka i grzeczna dzieweczka,
Niech powie miesiączek, niech powie gwiazdeczka.

Gdym sobie raz spała, aniołkam widziała,
Mówił mi aniołek bym mamę kochała.
Skoro się Zosinka ze snu przebudziła,
Pobiegła do mamy, mameczkę pieściła.

O gdybym ja miała którą z tych gwiazdeczek,
Zrobiłabym mamie na główkę wianeczek,
Niechby ją zdobiły, niechby jéj świeciły,
Gdyby te gwiazdeczki wszystkie moje były.

Do Skowronka.

Skowroneczek leci,
Gwiazdeczka mu świeci,
Świecą mu i zorze,
Ach wszechmocny Boże!

Lata nad polami,
Dzwoni piosneczkami,
Na ich dźwięk kwiateczki
Podnoszą główeczki.

Podnoszą w podziwie,
Pytają pieściwie:
Któż w tę ranku chwilę
Śpiewa nam tak mile?

Kto ze snu nas budzi?
Zapewne nikt z ludzi,
To ja witam dzionek,
Ptaszyna skowronek.

Wietrzyk co tam w gaju
Szumiał w liści maju,
Słysząc dźwięki śliczne
Wbiegł na łąki mleczne.

Słuchając ciekawie
Skrył skrzydełka w trawie,
Nie myśląc o psocie,
Już zasnął w pieszczocie.

O skowronku mały
Jakeś doskonały,
Cała okolica
Tobą się zachwyca.

Rozweselasz ranek
Przyrody kochanek,
Gdy człowiek cię słucha
Wnosi w niebo ducha.

Podlatuj i śpiewaj,
Serca nam ożywiaj,
Ożywiaj swobodą,
Swoją piosnką młodą.

Mały służko Boży,
Wzleć ku niebu hoży,
Z lubemi piosnkami
I memi myślami.

I ja jak ty czuję
I jak ty śpiewuję,
O gdyby to było
Bogu słuchać miło!

Jabym zawsze chciała
Tak jak ty śpiewała,
W serca niewinności
O Bożéj miłości;

I o Bożym świecie
Marzyła jak dziecie,
Co tak piękny tkliwy,
I jak ty pieściwy.

Gdzież to mój ptaszyno
Lecisz nad doliną,
Niknąc w mgły rąbeczku,
Bądź zdrów skowroneczku!

Do jutra kochanie!
Różowe świtanie
Gdy błyśnie na niebie,
Przyjdę znów do ciebie.

Przylecę z pośpiechem,
Z radości uśmiechem,
Co wspólnie umiemy,
Razem zanucimy.

Anna L. Krakowianka.

Biografia Dra Karola Marcinkowskiego

i kilka wstępnych słów tyczących się historyi oświaty w W. Ks. Poznańskiém od roku 1815 do roku 1854.

(Wyjątek z drukującego się III. tomu „Zbioru wiadomości do historyi sztuki lekarskiéj w Polsce od czasów najdawniejszych aż do najnowszych, przez Dra Ludwika Gąsiorowskiego.“)

Zobaczmy, jak się rzecz miała z oświatą polską od roku 1815 w Wielkiém Księstwie Poznańskiém, zostającém pod rządem pruskim.

Polacy żyjący pod tym rządem, chociaż prócz gimnazyów, w których z początku język ojczysty był wykładany, późniéj zaś tylko w niższych trzech klassach, nie posiadali wprawdzie żadnéj wyższéj szkoły, ale mieli za to otwarte i ułatwione pole do kształcenia się po wszystkich uniwersytetach europejskich; mogli przeto, a nawet i powinni byli co do oświaty, stanąć na czele wszystkich innych części dawnéj Polski zabranych. Ale na nieszczęście i wstyd nasz, wcale się rzecz miała inaczéj; wylęgła się albowiem w Wielkiém Księstwie Poznańskiém pomiędzy Polakami jakaś nieszczęśliwa obojętność ku naukom ojczystym, niechęć do pracy; jedném słowem, lenistwo i brak czucia na wszystko co jest ozdobą każdego człowieka prawego i kochającego swój kraj. Jeźli który z gorliwych zaczął wydawać jakie pismo peryodyczne, nie znalazłszy czytelników, zniewolony był zaniechać swego zamiaru, jak to było z *Mrówką poznańską* r. 1821 i 1822 przez profesora *J. F.*

Królikowskiego w Poznaniu wydamaną i z *Weteranem poznańskim* r. 1825 redagowanym przez *Wincentego Turskiego* (tylko jeden rok wychodził).

Stan takowy uśpienia naukowego w Wielkiém Księstwie Poznańskiém trwał aż do roku 1830, dopiero odtąd zaczęło się pojawiać u nas życie literackie. *Ciechański* rozpoczął roku 1834 redakcyą *Przyjaciela ludu* w Lesznie, pisma obejmującego rozmaite przedmioty, a które przez 15 lat wychodziło; ks. kanonik *Jabczyński* wydawał r, 1836 i 1837 *Archiwum teologiczne*, które r. 1838 zamienił na *Gazetę kościelną; Orędownik* przez *Poplińskiego* i *Łukaszewicza;* przez *Jędrzeja Moraczewskiego Rok* zwane; *Szkoła polska* przez *E. Estkowskiego; Ziemianin* przez *Wolniewicza* i *W. Lipskiego; Przegląd* przez rozmaitych redaktorów. Szczególniéj zaś od roku 1838, kiedy ś. p. *Antoni Wojkowski* z natchnienia uczonego *J. Łukaszewicza* i profes. *Poplińskiego* i innych gorliwych o oświatę narodową mężów, zaczął wydawać: *Tygodnik literacki* (wychodził przez 6 lat). Odtąd mówię, jeźli nie do pisania, rzucili się przynajmniéj do czytania płodów ojczystych literackich; drukarnie w Poznaniu i Lesznie coraz więcéj były zatrudnione, ale nie tyle płodami naszych uczonych, jak raczéj zagranicznych. Największe jednakowoż około ożywienia zapału do nauk i ułatwienia w kształceniu się mniéj możnéj młodzieży polskiéj, położył zasługi ś. p. Dr. *Karol Marcinkowski*, mąż, który nietylko jako lekarz, ale i jako prawy obywatel będzie na zawsze zaszczytem dla Wielkiego Księstwa Poznańskiego; a pamięć i wdzięczność ku niemu nigdy w sercach prawych ziomków nie wygaśnie. On to był roku 1841 twórcą tak nazwanéj *Pomocy naukowéj* w Wielkiém Księstwie Poznańskiém, instytucyi, która go koroną obywatelską uwieńczyła; tysiące albowiem wykształconych mężów, którzy już dziś na rozmaitych urzędach zasiadają, winni swój los ustalony téj instytucyi przez Dra *Marcinkowskiego* utworzonéj; naród zaś, który chętnie ofiary pieniężne składał, ma mu do zawdzięczenia, że tak wyższe jak i niższe, a nawet i wiejskie szkoły są teraz po największéj części rodakami poobsadzane, że ma wielu Polaków prawnikami, że ma zdatnych rzemieślników i t. d.

Urządzenie *Pomocy naukowéj* jest następujące: W Poznaniu zgromadzona jest główna dyrekcya, a po wszystkich powiatach *komitety powiatowe*, zostające ciągle w związku z dyrekcyą. Komitetów zadaniem jest zbieranie składek i przesyłanie takowych do dyrekcyi; oraz wyszukiwanie zdatnéj biednéj młodzieży z wszystkich stanów i proponowanie takowéj do przyjęcia na fundusz głównéj dyrekcyi, która, jeźli uzna przedstawienia komitetów za słuszne, bierze młodzież na swoją poręke i wyseła swoim kosztem, stósownie do stopnia wykształcenia, na uniwersyteta, do gimnazyów, do seminaryów nauczycielskich, do szkół miejskich, albo téż do rzemieślników.

Składki *Pomocy naukowéj* wynosiły rocznie z początku do kilkunastu tysięcy talarów, teraz się nieco zmniejszyły.

Nie zbywało nam i na innych jeszcze mężach gorliwych o podniesienie oświaty narodowéj. Do nich należy śp. hrabia *Edward Raczyński*, który zbudowawszy w Poznaniu gmach okazały, umieścił w nim swój bardzo znaczny i kosztowny zbiór książek 20,000 tomów obejmujący, zaopatrzył trzech urzędników w pewne roczne dochody i utworzył tym sposobem r. 1829 bibliotekę publiczną, którą na własność miastu Poznaniowi ofiarował. Oprócz tego przysłużył się wiele ten mąż szanowny literaturze polskiéj przez ogłoszenie drukiem częścią własnych dzieł, częścią nabytych rękopismów obejmujących ważne pamiętniki do historyi polskiéj się ściągające. Godnym następcą poprzedzającego jest niezawodnie hrabia *Tytus Działyński*, obywatel prawy, ślachetny, i wszystko co tylko jest ojczystego gorąco kochający. W Kurniku, miasteczku 3 mile od Poznania odległém, posiada on może najbogatszą bibliotekę w rzadkie książki polskie; jego nakładem wychodzą z druku bardzo kosztowne i ważne dzieła.

Z uczonych, którzy się swemi pracami literackiemi tego czasu w Wielkiém Księstwie Poznańskiém najwięcéj odznaczyli, zasługują tu na wspomnienie: obydwaj profesorowie gimnazyalni *Poplińscy*, *Józef Łukaszewicz*, *Karol Libelt* i *Jędrzéj Moraczewski*.

Karol Marcinkowski.

*Marcinkowski Karol**) Dr. med. i chir., członek honorowy towarzystwa lek. warszawskiego (od r. 1841), urodził się r. 1800 w Poznaniu z ojca *Józefa*. Po ukończeniu chwalebném nauk gimnazyalnych w mieście urodzenia r. 1817 zaczął przykładać się do nauk lekarskich na uniwersytecie w Berlinie i to z wzorową gorliwością. Już tu złożył dowody swoich pięknych zdolności, jakiemi go hojna natura obdarzyła; już tu mówię, okazał, czego się naród po nim na przyszłość mógł spodziewać. Kiedy już był bliski ukończenia swego przedsięwzięcia naukowego, wzięto go r. 1822 z wielu innymi, z powodu odkrytego spisku między Polakami na uniwersytecie berlińskim zawiązanego, do indagacyi, która przez 8 miesięcy trwała i w skutek któréj wskazany był na półroczne więzienie w Weichsel-Münde; zkąd uwolniony powrócił do Berlina i złożył r. 1823 przepisane egzamina doktorskie i jeszcze tegoż samego roku rozpoczął z wielkiém zamiłowaniem i bezprzykładną gorliwością zawód lekarski praktyczny w Poznaniu, gdzie wspólnie ze swym młodym przyjacielem doktorem *Karolem Sznejdrem* starał się nieść ulgę cierpiącéj ludzkości.

Tu mi wypada nadmienić, iż ci dwaj młodzi lekarze doprowadzili gorliwość stania się zawsze gotowymi na usługi dla chorych, nawet i porą nocną, do ostateczności; przedsięwzięli albowiem przepędzać noce w krzesłach bez rozbierania się, lecz wkrótce doświadczyli, że praw odwiecznych natury nie wolno jest łamać człowiekowi.

Dr. *Marcinkowski* zjednał sobie w krótkim czasie zamiłowanie, szacunek i zaufanie u mieszkańców wszystkich stanów i narodowości całéj prowincyi i to nie przez szarlatanizm, aktorstwo lekarskie, przymilanie się płci pięknéj, jak to często bywa, lecz li tylko przez swą prawość charakteru, gorącą

*) Pisali o nim: 1) Dr. *Jagielski*, Żywot Dra *Karola Marcinkowskiego* itd. Poznań r. 1846 in 8vo str. 31. 2) W dziele: *Biografie universelle etc. de Contemporains* r. 1836. Tom V. str. 439. Ostatniego dzieła nie mam pod ręką 3) *Sztuka i miłość* dramat w 2 dobach przez *M. Manna*. Poznań in 8vo r. 1849. str. 161.

i szczerą chęć niesienia pomocy cierpiącéj fizycznie i moralnie, ludzkości i bezinteresowność. Był on, że tak powiem, despotą samego siebie w wykonywaniu obowiązków, czego i po innych wymagał; nikt go téż z otaczających nigdy nie słyszał, chociaż przy największych trudach, skarzącego się; nikt go nie widział wypoczywającego sobie za dnia po spędzonych bezsennie nocach; słowem, był to człowiek bystrego pojęcia, rozległych, a przytém głębokich wiadomości, żelaznego charakteru duszy i niezmordowanych sił fizycznych.

Chcąc skreślić zasługi Dra *Marcinkowskiego*, trzeba go z dwóch stron uważać, to jest: jako lekarza i jako obywatela.

Jako lekarz był bystrym i biegłym w rozpoznawaniu chorób, niemniéj szczęśliwym w zastósowaniu terapeutycznėm lekarstw do takowych, a zawsze racyonalny i pojedynczy; miał on *coś* w sobie wrodzonego, czego ani nauką, ani zabiegami, nikt nie nabędzie, a przez co on taki wpływ wywierał na chorych, iż skoro go tylko zoczyli, już czuli ulgę w swych cierpieniach; cóż dopiero nie miało nastąpić, przy takiém szczególném zaufaniu, po zażyciu przez niego zapisanych lekarstw? Jego téż pomieszkanie było zawsze w godzinach przeznaczonych do udzielania pomocy chorym, napełnione. Po ukończeniu praktyki miejscowéj, udawał się prawie każdego dnia nocną dobą na prowincyą i to po największéj części konno, chociażby i kilkanaście mil, aby tém prędzéj mógł nieść ulgę cierpiącym Tak gwałtowna jazda konna, najczęściéj na koniach nieujeżdżonych, bezsenne noce, niewygody, trudy i rozmaite nieszczęśliwe przygody, jakie go nieraz w podróżach nocnych spotykały, zwątliły jego siły, oraz przyczyniły się do pogorszenia słabości piersiowéj,*) która się późniéj suchotami płucnemi zakończyła. Dla młodszych lekarzy przybywających do Księstwa Poznańskiego był z duszą wylany, szczery, życzliwy; słowem, wzorem przyszłego ich postępowania na śliskiéj drodze lekarskiego zawodu. U najpierwszych lekarzy za granicą, gdzie się w czasie swoich podróży

*) Będąc jeszcze na uniwersytecie, a późniéj w więzieniu, zapadł na gwałtowne cierpienie płuc katarowe, z którego nigdy zupełnie nie był wyprowadzony.

miał sposobność zapoznania, miał wielkie imię i poszanowanie, a u publiczności wszędzie zaufanie jako biegły lekarz; co jest najlepszym dowodem, że miał *coś* w sobie wrodzonego, *coś* wielkiego, wzięcie albowiem jego, względem chorych, nie nazwałbym zbyt łagodném, ale szczerém, czułém i godném. Przy łóżku chorego nie starał on się przypodobać otaczającym osobom, lecz był całkiém zajęty cierpieniem bliźniego, myślał głęboko jak mu ulgę sprawić. Umarła mu jaka osoba, przez któréj śmierć cała familia pozbawiona została sposobu do życia, albo najmilszego, a może jedynego ogniwa, nie płakał on, ale było widać po nim wewnętrzne zmartwienie duszy. Słowem, był to mąż czynu, a nie udawania pozornéj czułości. Nie zapomnę tego nigdy, kiedy r. 1837 po umarłych na cholerę w Poznaniu biednych rodzicach pozostało w kolebce małe dziecko osierocone, Dr. *Marcinkowski* przepełniony żalem, wziął biedną sierotę, przytulił do siebie i zaniósł przybranéj matce na wychowanie. Podobnych czynów chrześciańskich tego prawego męża, gdyby tu miejsce było po temu, mógłbym wiele przytoczyć.

Jako obywatel nie wymawiał się, pomimo nadzwyczajnie rozgałęzionéj praktyki lekarskiéj, od żadnych usług i urzędów publicznych, owszem, przyjmował takowe chętnie, a jeszcze chętniéj wypełniał na siebie wzięte obowiązki. Swoją zaś osobistością i prawością charakteru wywierał wszędzie, nawet i na element niemiecki, przy publicznych czynnościach, najskuteczniejszy wpływ; skoro albowiem przemówił, a przemawiał on bardzo jędrnie, gruntownie i dobitnie, zawsze, chociaż z najzaciętszemi wrogami, wyszedł jako zwycięzca. Bez niego nie przedsięwzięto nic ważnego; on zawsze był duszą i główną sprężyną wszystkiego dobrego, wielkiego i szlachetnego pod każdym względem, co tylko w W. Ks. Poznańskiém za jego życia przedsiębrano; koło niego gromadzili się téż wszyscy ziomkowie dobréj chęci: a to dla tego jedynie, iż był wzorem prawego i szlachetnego człowieka, człowieka żyjącego i pracującego nie dla siebie, nie dla swéj wygody i okazałości życia, lecz li tylko dla dobra ogółu; wszystkie albowiem swe znaczne dochody, po odtrąceniu wydatku na skromne życie, obracał na wykształcenie biednéj, a zdatnéj młodzieży,

na zapomóżkę podupadłych rzemieślników, kupców i nieszczęśliwych familii.

Jakie Dr. *Marcinkowski* miał zamiary pod względem narodowości i obywatelstwa, zobaczemy niżéj; tu tylko nadmienię, iż jako obywatel stanął daleko wyżéj, aniżeli jako lekarz: a to dla tego, iż z powodu ciągłych i bardzo licznych zatrudnień, nie mógł się całkiém rzeczy lekarskiéj oddać.

Przejdźmy teraz w krótkości dalsze jego życie, krótkie wprawdzie, lecz bogate w wielkie czyny, zasługi, poświęcenia bez granic, szlachetność i prawość, a przekonamy się, iż to był mąż, jakich tylko wieki wydają, mąż, który jako lekarz i jako obywatel będzie na zawsze chlubą dla miasta Poznania i całego W. Ks. Poznańskiego. Jego każdy krok życia był napiętnowany miłością ojczyzny, miłością bliźniego i prawością charakteru.

Jużem wyżéj nadmienił, że z doktorem *Sznejdrem* żył w najściślejszéj przyjaźni, z nim téż wszędzie był razem, czy to kiedy szło o ocalenie komu życia, czy téż w wolnych chwilach od zatrudnień zewnątrz domu, dla obeznawania się z postępem nauki lekarskiéj, lub téż dla naradzenia się nad jakim niebezpiecznym chorym. Przyjaźń tak szlachetną rozerwała nie ubłagana śmierć 1828 roku, w którym pomimo najszczerszych i najtroskliwszych zabiegów doktora *Marcinkowskiego* wraz z wszystkimi lekarzami miasta Poznania, Dr. *Karol Sznejder* dni swego pełnego zasług życia dokonał. Zgon ten zadał *Marcinkowskiego* sercu głębokie rany, które nigdy nie były zupełnie wyleczone. Przejął on teraz po swoim zmarłym przyjacielu w puściznie całą praktykę biednych i dozór bezpłatnie nad lazaretem Sióstr miłosierdzia. Dla ostatniego zakładu stał się prawdziwym dobrodziejem przez rozmaite zapisy pieniężne i dary służące na wyżywienie pomieszczonych tu chorych; fundusze albowiem przez rząd wyznaczone, nie były wystarczające, gdyż liczba cierpiących przechodziła zawsze etatem oznaczoną.

Rok 1829 napełnił wszystkich mieszkańców wielkim smutkiem, a jeszcze większym żalem, kiedy się dowiedziano, że Dr. *Marcinkowski* zapadł ciężko na nerwową febrę. Wszy-

stkie świątynie pańskie napełnione były w czasie jego choroby błagającymi gorąco Najwyższego o przywrócenie go do zdrowia, a modły ich były wysłuchane. Poczém ogłoszono w Gazecie W. Ks. Poznańskiego (r. 1829) następujący poemat:

WIERSZ

na wyjście z ciężkiéj choroby Karola Marcinkowskiego, doktora medycyny, przyjaciela ludzkości.

Jak kiedy w gniewu srogiego zapędzie
Rolnik podetnie płonkę okazałą,
Nikt pewno drzewa żałować nie będzie,
Co cierpki tylko owoc wydawało;

Tak gdy samolub albo hypokrata
Rażon niemocą w łożu jęczy biedny,
Nikt o stan zdrowia jego nie zapyta,
Łzy zgonem swoim nie wyciśnie jednéj;

Ale, jak kiedy jabłoń rozłożystą,
Która kwiatami, owocy wdzięcznemi
Ogrodnikowi sprawia rozkosz czystą,
Wichry z korzeniem wyrwą nagle z ziemi,

Podróżny, który częstokroć w jéj cieniu
Słodkim snem krzepił utrudzone siły,
Lub też spiekłemu nieraz podniebieniu
Z soku owocu niósł posiłek miły,

Stawa, spogląda smutny na około
I przechodzących pyta się skwapliwie:
Kędy jest drzewo, co skromne swe czoło
Gięło owocem na pobliskiéj niwie?

Tak gdy mąż prawy z śmiercią się uciera,
Wszystkich cnotliwych przejmuje żal, trwoga,
Ubóstwo woła: „nasz ojciec umiera!“
I łkaniem swojém napełnia dom Boga.

Karolu! ledwie o chorobie twojéj
Zatrważające rozeszły się wieści,
Wszystko o drogie życie twe się boi,
Powstają żale męskie, płacz niewieści.

Lud tłumny bieży do przybytków Pana,
Błaga Go o dni twoich przedłużenie,
I... głos ubóstwa, sieroty, kapłana,
Przebija niebios gwiaździste sklepienie.

Wszechmocny, który na górnym Syonie
Przez wieki waży losy śmiertelnika,
Raczył łaskawie spojrzeć ku téj stronie;
Zdrowie do ciebie wraca, słabość znika.

Ach żyjesz!... z wdzięcznėm sercem u ołtarzy
Składajmy Twórcy dzięki nieskończone:
Znów dobrodziejstwem swém wielkiém nas darzy;
Dnie dobroczyńcy ludzi ocalone! —

.......a.

W roku 1830 udarowali obywatele W. Ks. Poznańskiego Dra *Marcinkowskiego* znacznéj wartości pierścieniem, nabytym po zgonie powszechnie kochanego i wysoko cenionego ks. arcybiskupa *Teofila Wolickiego* († 1829), co było najlepszym dowodem, jak go wysoko wówczas ceniono, kiedy go uznano za godnego tak miłéj i drogiéj dla narodu pamiątki.

W powstaniu r. 1830/31 miał udział i to więcéj jako żołnierz, aniżeli jako lekarz, czego mu nie pochwalam: lekarzy zdatnych był albowiem wielki brak przy wojsku. Jako wachmistrz pierwszego szwadronu Poznańczyków ozdobiony został wraz z księdzem *Logą* dnia 20 marca roku 1831 na wielkim przeglądzie kawaleryi, na polach mokotowskich pod Warszawą, krzyżem złotym *pro virtute militari* przez naczelnego wodza *Skrzyneckiego*, ale nie za czyny wojskowe, jak się mylnie Dr. *Jagielski* w opisie jego życia (str. 15) wyraża, tylko ze względu na dawniejsze zasługi tych dwóch zacnych mężów; szwadron bowiem pierwszy poznański nie był jeszcze prawie całkiém w bitwie grochowskiéj czynnym. Po bitwie ostrołęckiéj udał się z jenerałem *Chłapowskim* na Litwę i tu pełnił obowiązki jeneralnego szefa sztabu, aż do przejścia tego korpusu do Prus. Kiedy się tu Dr. *Marcinkowski* dowiedział, iż cholera w mieście Memlu bardzo grassuje, wyrobił sobie u władz pozwolenie udania się z obozu dla niesienia pomocy lekarskiéj nieszczęśliwym mieszkańcom

tego miasta, gdzie wkrótce, przez gorliwość i biegłość lekarską, zjednał sobie wysoki szacunek i ogólną miłość, jak tego następujące pismo magistratu i rady reprezentantów miasta Memla z dnia 12 października 1831 Dr. *Marcinkowskiemu* nadesłane najlepiéj dowodzi:

„Przez gotowość, nieustającą gorliwość i przezorność, z jakąś Pan w ciągu cholery opatrywał chorych miasta Memla i okolic jego, przez coś oswobodził od śmierci nie jednę matkę, ojca i dzieci, zasłużyłeś nietylko na wdzięczność wyleczonych, lecz i na ogólną miłość i szacunek tutejszych mieszkańców. W rocznikach miasta imię Pana wspominane będzie w najodleglejszéj potomności ze czcią i uczuciem wdzięczności; przyjmij Pan przez nas serdeczne podziękowanie mieszkańców tutejszych za trudy, jakieś podejmował z wielkiém narażeniem siebie samego w czasie ogólnéj niedoli i pozwól łaskawie, abyśmy mogli przez dołączony tu dar udowodnić tego. Oby Opatrzność przez długie wieki zachowała Pana dla dobra cierpiącéj ludzkości! oby kolej życia jego, w którém zawsze szczery udział brać będzie miasto Memel, zdobiły prawdziwéj radości uczucia i aby się Panu długi jeszcze czas w naszém mieście przemieszkiwać podobało.“

Z Memla puścił się okrętem naprzód do Szkocyi, i tu nauczywszy się języka angielskiego, zwiedzał starannie wszelkie zakłady lekarskie, późniéj zaś przeniósł się do Londynu. W całém tém tułactwie po kraju angielskim nie zaniedbał żadnéj sposobności podającéj mu się do zbogacenia i wydoskonalenia swych wiadomości lekarskich, jako téż do zapoznawania się z najbieglejszymi lekarzami. — Po opuszczeniu Anglii dostał się do Paryża, gdzie się zajmował gorliwie nauką i praktyką między współtułaczami. Dziwna istotnie jest rzecz, iż w którym tylko znajdował się *Marcinkowski* kraju, umiał sobie wszędzie zjednać zamiłowanie i wielki szacunek; co nam jak najdostateczniéj dowodzi, że to był mąż niepospolity, mąż prawego charakteru i gruntownych wiadomości, a nie przypadkowego szczęścia. Dodać mi tu jeszcze wypada, że w Paryżu został mu roku 1833 ofiarowany złoty medal wartości 1000 fr. od akademii nauk, podług jednych za rozprawę o cho-

lerze*), podług Dr. *Jagielskiego* zaś**) za udzielanie rad względem leczenia cholery lekarzom francuzkim wysłanym r. 1831 do Warszawy dla rozpoznania téj choroby. Częścią z tęsknoty za krajem, częścią usilnemi prośbami mieszkańców W. Ks. Poznańskiego powodowany, opuścił Paryż, udając się przez Berlin do Poznania; dokąd nim przybył, musiał wprzody odsiedzieć w więzieniu stolicy pruskiéj pięć miesięcy, a tak dopiero w kwietniu roku 1835 miał przyjemność oglądania, po tyloletniéj nieobecności, po tylu tułactwach, miejsce urodzenia; lecz nie długo się cieszyli uwielbiający go mieszkańcy jego obecnością, dnia albowiem już 25 lipca r. 1837, pomimo najusilniejszych wstawiań się u rządu, zniewolony był stósownie do wyroku, za przejście w r. 1830 do Polski, udać się na odsiedzenie kary sześciomiesięcznéj do Świdnicy, co na nowo przejęło serca wszystkich uczciwych głębokim żalem.

Kiedy wszelkie zabiegi i starania najusilniejsze mieszkańców całego W. Ks. Poznańskiego nie zdołały wyrobić ułaskawienia dla skołatanego na duszy i ciele Dr. *Marcinkowskiego*, cholera mordercza, która r. 1837 w Poznaniu wybuchła, uwolniła go z więzienia. Mieszkańcy albowiem tego miasta pokładający największe zaufanie w nim, jako mającym najwięcéj doświadczenia w leczeniu cholery, zdołali tą razą wyrobić tymczasowe uwolnienie z więzienia Dr. *Marcinkowskiemu*. Za przybyciem jego do Poznania ochłonęli niejako mieszkańcy z obawy przed grassującą cholerą, mając wśród siebie swego najulubieńszego lekarza, z czego on się téż krom osłabionych sił chlubnie wywiązał, pracując dzień i noc do upadłego i doświadczając wszelkich sposobów dążących ku wyniszczeniu téj nieszczęśliwéj plagi rodu ludzkiego, nawet *transfuzyi* i *infuzyi*, pierwsza bezskutecznie, druga zaś z dobrym skutkiem mu się udawała.

Odtąd rozpoczął Dr. *Marcinkowski* usilnie przemyśliwać nad doprowadzeniem do skutku swych wielkich i ślachetnych

*) Vade mecum polskie, zbiór wiadomości przydatnych Polakom. Paryż, r 1833 str. 16

**) Żywot Dr. *K. Marcinkowskiego* str. 18, gdzie jest dołączone pismo akademii królewskiéj nauk, ofiarujące Dr. *Marcinkowskiemu* rzeczony medal.

zamiarów, dążących ku zachęceniu młodzieży polskiéj do nauk i ku obmyśleniu jéj na to funduszów; ku ugruntowaniu stanu kupieckiego, ku podniesieniu przemysłu między rzemieślnikami i ku zaprowadzeniu lepszego, a dogodniejszego porządku w leczeniu biednych miasta Poznania. Wszystkie te olbrzymie zadania przeprowadził on z wielką łatwością przy swoim nadzwyczajnym a czarującym wpływie, jaki wywierał na ogół mieszkańców W. Ks. Poznańskiego. Do najszczytniejszych dzieł Dr. *Marcinkowskiego* należy bez wątpienia utworzenie roku 1841 Towarzystwa pod nazwą *Pomocy Naukowéj* (zob. wyżéj), które, jak błogie wydało owoce, dziś najlepiéj sądzić możemy. Dla podniesienia i ożywienia kupiectwa między Polakami, jako téż celem zaopatrzenia miasta Poznania w porządny dom zajezdny, stanął jego staraniem ogromny gmach za 114 tysięcy talarów pod nazwą *Bazaru*, w którym pozakładano wiele handli i oberzę, lecz jeśli gdzie, to z pewnością tu mógłby powiedzieć: „*Oleum et operam perdidi.*“ Za jego daléj staraniem i wstawieniem się uorganizował magistrat poznański wraz z innymi lekarzami opiekę nad biednymi chorymi daleko praktyczniéj i z większą dogodnością dla nieszczęśliwych połączoną. Słowem, gdzie tylko ludzkość cierpiała, szedł Dr. *Marcinkowski* w pomoc już to radą, już czynem. Jako reprezentant miasta Poznania, walczył przez kilka lat do upadłego za wszystkiém co tylko było narodowego, lub z korzyścią dla miasta połączonego; w jednéj rzeczy okazał tylko ten szlachetny mąż osobistość, któréj pochwalić nie można, to jest: żyjąc w nieporozumieniu ze ś. p. hrabim *Edwardem Raczyńskim*, wniósł roku 1845 na posiedzeniu reprezentantów, aby ofiarowane przez ostatniego dwadzieścia tysięcy talarów dla mającej się założyć szkoły realnéj, były odrzucone [1]; o czém gdy się ofiarujący dowiedział, cofnął swą ofiarę. Jeźli egzekutorowie testamentu Dr. *Marcinkowskiego* zniszczyli jego mowę niemiecką, którą miał roku 1845 na posiedzeniu reprezentantów miasta, popełnili wielki grzech, bo to była mowa, przez

[1]) Hrabia *E. Raczyński* położył sobie tylko za warunek, iż mu miało za to służyć prawo nominowania jednego professora i mienia głosu w eforacie szkoły realnéj.

którą odniósł najświetniejsze zwycięztwo nad wszystkimi przeciwnikami elementu polskiego, a nawet nad samym, owego czasu potężnym prezesem policyi *Minutolim*, téj mowie przytomnym, który potém oświadczył: jeźli jeszcze raz coś takiegoby zaszło, już więcéj jego noga na posiedzeniach miejskich nie postoi.

Ostatnie lata życia Dr. *Marcinkowskiego* oddał wiernie *M. Mann* (str. 151) w te słowa: „Wymagania coraz większe — większy coraz wywoływały opór. Stan zdrowia Dr. *Karola* draźliwym i gwałtownym go czynił. Wkrótce berło, które w ręku dzierżył, absolutnym zaczął władać trybem — wkrótce téż wyraz despotyzm w poświęceniu uszy jego uderzył. Nie pojmował — jak może być despotyzm tam — gdzie według niego konieczna panowała potrzeba: jak może być poświęcenie tam — gdzie u niego przekonanie tak czynić wskazywało. Nie pojmował..... a nieugiętéj woli, postępowania swego nie odmienił. Spostrzegał jednak, że coraz więcéj ubywało mu stronników — coraz mniéj przybywało zasobów. Różne podnosiły się przeciwko niemu zdania. Występowały raz w oczy, śmiało — to znów po za oczy, pokątnie. Skutkiem stałości jego przekonania było, że go nakoniec o ambicyą obwiniać poczęto.“

Co wszystko da się łatwo wytłómaczyć: bo majętnym obywatelom sprzykrzyły się ciągłe podatki przez Dr. *Marcinkowskiego* na nich nakładane; daléj krzywe wnioski, iż za swe pieniądze wychowują w kraju dla siebie *opozycyę demokratyczną*, a nawet, jak się często w grubym błędzie zwykli wyrażać, *komunistów*. Demokratyczna zaś partya posądzała go niesłusznie, iż tylko z *arystokracyą* trzyma i ztąd dalszy zarzut o *ambicyą*. Według mego zdania trzymał ten wielki mąż z jedną i drugą stroną; z pierwszą dla tego, iż mu dostarczała zasobów do podźwignienia drugiéj, oraz że znajdował w niéj wielu godnych obywateli; z drugą, jako człowiek wykształcony i prawy, który chociaż i na najwyższym szczeblu szczęścia, widział zawsze w każdym człowieku niżéj stojącym swego bliźniego, swego brata: bo taką zasadę demokratyczną nawet sam Bóg w dziesięcioro Bożego przykazania już nam przepisał. Ludzie mający wiarę prawdziwą

i rozum, nigdy biedniejszymi lub niżéj przez los postawionymi nie gardzą, tylko wtenczas, kiedy sobie na wzgardę zasługują. Czynił zaś to wszystko w najślachetniejszym celu, na dobro ogółu, a nie dla dogodzenia swéj próżnéj ambicyi: bo chociaż miał ambicyą, to miał tylko taką, jaką każdy prawy mąż występujący na drodze publicznéj mieć powinien.

Rok 1846 nie mało sprawił Dr. *Marcinkowskiemu* zmartwienia i zgryzoty; wiedział on bowiem dobrzę o knowanym spisku, walczył przeciw temu, znając gruntownie niedołężność głównéj sprężyny i przewidując niejako ztąd wielkie nieszczęścia dla całego narodu; ale zabiegi jego zostały zniweczone: co przeczuwał, to się dnia 14 lutego r. 1846 spełniło. Kiedy tego nieszczęśliwego dnia przybył do niego jeden kolega z zapytaniem coby miał robić, oburzony, a raczéj żalem ściśniony Dr. *Marcinkowski*, widząc tyle nieszczęśliwych ofiar, odpowiedział mu: „*Kiedyś mnie się przedtém nie pytał co masz robić*, *to weź teraz pałasz i stawaj na czele.*“

Ciągłe mozolne prace, niewygody, trudy nocne, tułactwa wieloletnie, więzienia, nieszczęścia krajowe i rozmaite zgryzoty, jakim ludzie wielcy zawsze podlegają, podkopały i zniweczyły żelazne siły Dr. *Marcinkowskiego* tak, iż dla wypoczynku i pokrzepienia swego zupełnie zwątlonego zdrowia, zniewolony był udać się na wieś, o kilka mil od Poznania odległą, *Dąbrówką ludomską* zwaną, i tu dokonał ten mąż wielki ostatnich dni swego pełnego zasług, czynu i ślachetności życia dnia 7 listopada r. 1846 Gdy jego zwłoki prowadzono dnia 11 listopada do Poznania, można się było najlepiéj przekonać, jak wysoko był ceniony, jak był od wszystkich kochany, lud albowiem wiejski i miejski nie dozwolił, aby jego szczątki konie ciągły, lecz na przemian (przeszło 5 mil) niósł takowe na swych barkach aż do samego grobu. Tysiące ze wsi okolicznych i miasta Poznania, całe duchowieństwo katolickie z arcypasterzem na czele, najwyżsi urzędnicy cywilni i wojskowi czekali na przybycie ostatnich szczątków ziemskich tego ulubionego lekarza. Skoro tylko jeszcze z daleka ujrzano trumnę, uderzono we wszystkie dzwony, lud zdjęty głębokim żalem zalewał się łzami, a duchowieństwo postępując przed zwłokami, zanosiło swe gorące modły do

Najwyższego. Tu dopiero idąc za trumną przypominał sobie każdy i rozbierał jego zasługi, jego wylaną duszę dla cierpiącéj ludzkości; tu dopiero uczuli wszyscy dobrze myślący, co za męża z pośród siebie stracili, biedni jakiego dobrodzieja, sieroty opiekuna, a cały naród wzór i źródło niewyczerpane cnót obywatelskich. Nim orszak pogrzebowy przybył na cmentarz świętomarciński, już noc ponura rozciągła swe czarne skrzydła na całéj ziemi; co wszystko połączone z smutnemi twarzami tysięcy ludzi oświeconemi słabém światłem palących się tu i owdzie pochodni, z jękiem i narzekaniem nad utratą takiego męża, przedstawiało nadzwyczajnie smętny obraz, obraz, któregoby zaledwie najgenialniejszy malarz lub poeta był w stanie wiernie oddać, a cóż dopiero moje słabe pióro? Zamiast wszelkich ozdób położono późniéj na jego grobie ogromny kamień z granitu polnego i to bez najmniejszego napisu, a wdzięczne serca jeszcze do dziś dnia składają na nim pięknie uwite wieńce i zlewają łzami grób swego dobrodzieja.

Dnia 19 listopada odbyło się solenne nabożeństwo w kościele Św. Maryi Magdaleny za ś. p. Dr. *Marcinkowskiego*, w czasie którego regens tutejszego seminaryum duchownego Ks. *Janiszewski* wyłuszczył w krótkości swą piękną i jędrną wymową wszystkie zasługi zmarłego, zaczynając takową jak następuje*): „Gwiazda po gwiaździe zapada, filar po filarze się łamie, cegła po cegle się kruszy, a my stojąc i spoglądając na te ruiny i stratę, czyż nie możemy razem z strwożonymi uczniami Chrystusa Pana z serca przejętego żalem i trwogą zawołać w chwili żalu i boleści po stracie ś. p. *Karola Marcinkowskiego*, stracie, która nam tyle innych przypomina: *Panie! zostań z nami, boć się ma ku wieczorowi i dzień się już nachylił?* Tak, ma nam się *ku wieczorowi*, bo chmura na chmurę zaciąga, grom po gromie uderza i światło po świetle gasi; wszystkim nam się *dzień pochylił*, bo wszystkich przyjacieli ludzkości smutek ogarnął, a pochylił się szczególnie nędzy i biedzie, która na to serce co się nad

*) Mowa podczas nabożeństwa żałobnego za duszę ś. p. Dr. *Karola Marcinkowskiego*, miana w kościele Ś. Maryi Magdaleny w Poznaniu dnia 19. listopada r. 1846. Poznań, in 8vo 1846.

nią litowało, i na tę rękę szczodrą, co łaknących karmiła i nagich przyodziewała, już garść ziemi rzuciła. Ale kiedy trwoga, to do Boga. Im więcéj tracimy w mężach, w których eśmy nadzieje nasze pokładali, w mężach, o których serce rozpalone miłością ogrzewaliśmy nasze, na których woli żelaznéj i charakterze niezłomnym hartowaliśmy naszą słabość, których odwaga dodawała nam otuchy, a wytrwałość żadną zaporą nie pohamowana, wspierała nas upadających na przykréj drodze cnoty: im więcéj, mówię, w takich mężach tracimy, z tém większém zaufaniem, z tém większém natężeniem ducha naszego powinniśmy się wznosić ku Temu, który jest źródłem nigdy niewyczerpniętém téj siły i mocy, który wszechmocnością swoją i tych mężów z niczego stworzył i tą siłą na drogę żywota zaopatrzył. U Niego tylko, u Niego możemy znaleść powetowanie téj straty, którąśmy ponieśli. Bo czém tacy mężowie byli i co mieli, przez Boga tylko byli i od Boga mieli; Bóg sprawcą i dawcą tych darów; co przez nich uczynił, uczynić może i przez innych, bo wszechmocność i miłosierdzie Jego nie od wczoraj ani od dzisiaj, ale *od pokolenia do pokolenia nad tymi, którzy go się boją. Zostań tedy z nami, Panie, i racz nam dać drugą ręką to, coś nam pierwszą odebrał.*"

Nie myślmy jednakowoż, aby ten wielki mąż był bez nieprzyjciół, oszczerców i t. d., miał on ich, jak każdy człowiek postępujący na śliskiéj drodze życia publicznego ich ma, inaczéj nigdy na świecie nie było. I tak w gazecie niemieckiéj lipskiéj z r. 1842 N. 1. posądzono go o zdradę kraju, z powodu przejścia r. 1831 z korpusem jenerała *Chłapowskiego* do Prus, daléj, że tylko trzyma z arystokracyą, a nie z ludem i t. d. Na dowód, iż w tak niegodne, samą żółcią i podłością napiętnowane zarzuty nikt nie wierzył, lecz owszém niemi, znając czystość duszy Dr. *Marcinkowskiego*, z oburzeniem gardził, zebrało się w Poznaniu dnia 30 stycznia r. 1842 na wielki obiad przeszło 300 osób z rozmaitych stanów i tu odczytano solennie protestacyą przeciw złośliwym oszczerstwom; przyczém na biedną młodzież złożono znaczną summę. Dr. *Marcinkowski*, aby nie był przytomny temu wszystkiemu, wyjechał był do Berlina.

Wydawca »Teraźniejszości i przyszłości przeglądu politycznego, zeszyt I., Paryż r. 1844« także się złośliwie targnął na dobre imie tego wielkiego męża, pisząc o nim między innemi: iż otoczony samymi małymi ludźmi, uchodził za wielkiego człowieka, ale nim w istocie nie był.

Co do zawodu literackiego, mało mu się mógł Dr. *Marcinkowski*, z powodu nawału innéj pracy, oddawać; posiadamy jednakowoż z jego pióra następujące płody uczone:

1) De fontibus indicationum generatim. Dissert. inauguralis medica; 9. def. 11 M. Aprilis A. 1823. Berolini, formis Brüschckianis in 8vo. str. 31.

2) Uwagi nad historyą i naturą koltuna, ze względu na przyczyny i sposób leczenia tego fenomenu. Napisal *Karól Marcinkowski* Dr. med. i chir. Kraków r. 1836. in 8. str. 56.

Słusznie utrzymuje autor w téj krytycznie i głęboko napisanéj rozprawie, że tak nazwany kołtun, nie jest bynajmniéj chorobą sui generis, ale tylko endemiczném (miejscowém) przesileniem (crisis) przy bardzo wielu chorobach obserwowanem.

Po niemiecku wyszła powyższa rozprawa zapewne przez samego autora napisana w piśmie: Zeitschrift für die gesammte Medicin, herausgegeben von Dr. *Dieffenbach*, r. 1837. Bd. IV. Heft 3, str. 298—317 pod takim tytułem:

3) Bemerkungen über die Geschichte und Natur des Weichselzopfes, mit Bezugnahme auf die Behandlungsweise dieses Phaenomens, von Dr. *Marcinkowski* in Posen.

4) Ueber den Werth der Transfusion des Blutes als Arzneimittel von Dr. *Marcinkowski*.

Drukowane w »Zeitschrift für die gesammte Medicin etc..« herausgegeben von *J. F. Diefenbach*. W Hamburgu roku 1836. T. I. poszyt 3. str. 289—312.

Nasz uczony autor radzi w téj rozprawie robić doświadczenia z Transfuzyą na zwierzętach nie tak, aby po wielkiéj krwi utracie wzmacniać, jak raczéj aby się przekonać, jaki skutek wywiera krew tym sposobem z weny chorych zwierząt na jaką dyskrazyą przelana w weny zwierząt zdrowych; a przekonawszy się o skutku, aby można sobie przeciwnie postępować; to jest, aby dyskratycznym można potém przez transfuzyą krwi zdrowéj chorobę uleczyć. Autor przechodzi tu roz-

maite choroby, przy którychby doświadczenia rzeczone robić można, nadmieniając i o infuzyi ciepłéj wody u cholerą złożonych, robionéj przez niego w Niémczech. W końcu daje radę, iżby cięcie weny do transfuzyi nie było robione wzdłuż, lecz w poprzeg.

PAMIĄTKI KRAKOWA.

»Gdy chcesz wiedzieć, co to chowa
»Nasza przeszłość w swojém łonie,
»Jako stara sława płonie:
»To jedź bracie do Krakowa.«

Czém stara Jerozolima była dla żydów, czém dla muzułmanina jest Mekka a dla malarza Rzym, tém jest dla nas Kraków, to miasto kościołów, pamiątek i arcydzieł sztuki.

Jak ogromne galerye obrazów w Wersalu są dla Francuza żywą historyą jego narodu, tak stary Kraków z swemi grobami, zamkiem Jagiellonów, świątyniami i pomnikami, jest żywą hystoryą narodu naszego. Któżby nie zapragnął poznać téj starożytnéj stolicy wielkich królów a dziś ich grobowców, gdzie śpią snem wiecznym ujęci pod wiekami ołowianych trumien?

Nie możesz bez głębokiego wzruszenia zbliżać się do tego sławnego miasta; cieszysz się w duszy, że będziesz miał szczęście oglądać najwspanialsze świątynie, starożytny zamek królewski na Wawelu, marmurowe grobowce królów i trumny, w których szacowne ich szczątki spoczywają; najpiękniejszą katedrę w Polsce, słynne mogiły Krakusa, Wandy i Kościuszki, wieżę maryacką, najwyższą i najozdobniejszą na ziemi naszéj, głośny dzwon Zygmunta na Wawelu, prześliczny ołtarz w kościele Panny Maryi, arcydzieło sztuki naszego Krakowianina Wita Stwosza. Ale któżby wymienił wszystkie szacowne pomniki i pamiątki, które zbliżając się do murów Krakowa, z niecierpliwością oglądać pragniesz!

A i ziemia krakowska jakaż piękna, ileż dodaje uroku! — Gdy z prawdziwéj pustyni piaszczystéj Szląska wjeżdzasz w ziemię krakowską, nie możesz oczu nasycić pięknemi widokami gór, dolin i bujném zbożem pokrytych pól. Rzeczywiście okolice Krakowa tak są malownicze, iż podróżującemu nawet po pię-

knych okolicach południowych Niemiec, Francyi i Belgii nie łatwo zdarza się widzieć równie zajmujące miejsca.

Jakiż to malowniczy obraz tworzą około Krakowa strome skały uwieńczone zielonemi lasami, rozlegle łąki, środkiem których niby wstęga wije się modra Wisła; mury i wieże klasztorów i ruiny dawnych zamków, które po górach sterczą nad ciemne lasy; piękne wioski Czarnowieś, Łobzów, Nowawieś, Krowodrze (ogrodniki krakowskie), a nieco daléj Bielany, Tyniec, Lanckorona, Kalwarya, Mników; malownicze na górach zielone mogiły Kościuszki, Krakusa i Wandy, a w środku wspaniały Kraków, miasto królów, drugi Rzym, z ogromnym zamkiem nad smoczą jaskinią, z niepoliczonemi wyniosłemi gmachami, świątyniami, wieżami, nad które wysoko czoło wznosi wieża maryacka, zdobna w dwie korony służące na znak, jak Krakowianie mówią, że zbliżasz się do miasta królewskiego!

Wjeżdzając od Szląska w okolicę Krakowa, najpierw wzrok twój uderzą piękne ruiny zamku Tenczyńskich na urwisku skał, pokrytych lasami; potém śliczna wieś Krzeszowice, położona w najżyzniejszéj dolinie wśród ogrodów, parku i bujnego zboża*); daléj, tuż przy Krakowie, ciągnie się piękna wieś Łobzów wśród zielonych drzew z dawnym zamkiem Kazimierza W.; za kościołami i wieżami Krakowa z lewéj strony zieleni się kopiec Krakusa na Krzemionkach, z prawéj góra ś. Bronisławy z mogiłą Kościuszki, a tam daléj widzisz szczyty sinych Tatrów modrą mgłą osłoniętych.

Wjeżdzając w mury Krakowa, naraz cała przeszłość staje ci w żywéj pamięci. Tu gościł Chroby wracając z wyprawy czeskiéj; tutaj ś. Wojciech idąc z Pragi do Prus, prawił do ludu zgromadzonego; tutaj ś. Stanisław napominał Bolesława Śmiałego i poniósł w kościele na Skałce śmierć męczeńską; tutaj palił, rabował i mordował dziki Tatar; w Krakowie roku 1319 przyjął Łokietek z rąk arcybiskupa gnieźnieńskiego koronę bo-

*) Ziemia około Krakowa jest tak urodzajna, że jak świadczy Ambroży Grabowski, w ciągu jednego lata kilka razy z niéj różne ogrodowiny zbierają, a w dawnych czasach jeden zagon ziemi tutejszéj stanowić miał posag dla córki, ile że z niego złotych pol. 100 przychodu liczono.

lesławską przed wielkim ołtarzem w katedrze i Szczerbiec przypasał do boku; a w dwanaście lat późniéj kapłani z krzyżami, lud z chorągwiami, żydzi z dziesięciorgiem przykazań bożych, matki z dziećmi na ręku, witali radosnemi okrzykami i błogosławili przy odgłosie dzwonów wybawcę Łokietka, króla starca wracającego w ciężkiéj zbroi w gronie rycerstwa z wyprawy krzyżackiéj, po zwycięztwie pod Płowcami; tu przez dni dwadzieścia podejmował Kazimierz królów i książąt zagranicznych, wydając wnuczkę swoją za cesarza niemieckiego Karola IV.; tam w owéj kamienicy na rynku mieszkał i ugościł monarchów bogaty mieszczanin krakowski Wierzynek, podskarbi królewski. Ileż to razy odbywały się najświetniejsze turnieje na dziedzińcu zamkowym, składanie hołdu królom polskim na rynku krakowskim przez książąt lennych, sute uczty dla ludu w ogromnéj sali w Sukiennicach, wspaniałe koronacye Kazimierza Wielkiego, Jadwigi, Jagiellonów, Batorego, pamiętne pogrzeby królów, hetmanów, biskupów, kanclerzy! Jakiż to smutny a wspaniały przedstawiało widok, kiedy zwłoki królewskie prowadzono do grobu! Poprzedzali je w długich szeregach studenci wszelkich szkół, zakonne i świeckie duchowieństwo z profesorami uniwersytetu, prałatami, kanonikami, opatami i biskupami na czele; 30 chorążych na koniach z chorągwiami województw, ziem koronnych, księstw lennych, oraz z chorągwiami Litwy i Polski; daléj 30 innych koni bogato przybranych, okrytych czarnym aksamitem; potém znów 30 rycerzy przybranych w szaty królewskie niosących wezgłowia, herby i inne znamiona królewskie; za nimi kasztelanowie, otoczeni dworzanami, nieśli na marach ciało królewskie aksamitem pokryte; za marami postępowała rodzina królewska w gronie posłów zagranicznych, panowie, ryczerze, szlachta, rada miejska i lud wszelkiego rodzaju przy odgłosie dzwonów we wszystkich kościołach. Gdy ciało złożono na katafalku w katedrze, wjeżdzał pędem na koniu rycerz cały uzbrojony do kościoła i przy trumnie z trzaskiem upadł na marmurową posadzkę krusząc drzewce; za nim marszałkowie i kanclerze łamali i kruszyli swe laski i pieczęcie. — Nie tak prędko wymieniłbym wszystkie wspomnienia, które cisną się do duszy, kiedy pierwszy raz wstępujesz w mury Krakowa.

Kraków jest rzeczywiście piękném, godném stolicy kró-

lewskiéj miastem: ulice ma szerokie, gmachy wspaniałe, liczne pałace i kościoły; są całe ulice, jak np. Kanoniczna (ulica kanoników), Grodzka, Poselska, które utworzone były z samych pałaców, mieszkań senatorskich, biskupich, słowem z pałaców pańskich, zbudowanych w stylu włoskim. Dla tego też Kraków ma widok miasta nie kupieckiego, ale pańskiego, królewskiego, chociaż jest wiele mniejszy od innych stolic, jak n. p. Berlina, którego ulice i kamienice wszystkie równe, wysokie, jednostajne, nudne, bez pamiątek, bez wielkich wspomnień historycznych. W Krakowie do każdéj ulicy, przedmieścia, świątyni, pałacu, do każdego domu, do każdego miejsca i zakątka przywiązane są wspomnienia, które dziwnego uroku miastu dodają, które czynią je poetyczném; przyczynia się do tego także niemało piękne jego położenie. Od południa bowiem oblewa Kraków Wisła, na któréj lewym brzegu miasto leży; na prawym brzegu rzeki wznosi się, w kształcie amfiteatru, pasmo gór skalistych Krzemionkami zwane; na zachód opasane jest ramieniem tychże gór ciągnących się od Krzemionek, a od północy i wschodu otaczają Kraków urodzajne płaszczyzny gęstemi wioskami zasiane.

Już o milę odległości (pisze Ambroży Grabowski w szacowném swém dziełku *), którego się w niniejszém opowiadaniu wiernie trzymać będziemy,) rozwija się powabny widok tego starożytnego miasta, z którém co do wspaniałości obrazu, żadne miasto polskie porównania nie wytrzyma. Wysokie wieże licznych jego kościołów, czerwieniące się dachówki, oraz połysk miedzianych dachów i kopuł (9 kościołów pokrytych jest miedzią), od których się promień słońca odbija; wreszcie zamek królewski górujący nad tą mieszaniną gmachów, umysł podróżnego naprzód już szczególnem napełnia uczuciem. Jeszcze widok ten urozmajcają w dalekiéj głębi leżące Karpaty, jakby za

*) Kraków i jego okolice opisał historycznie Ambroży Grabowski. Wydanie czwarte. Kraków, 1844. — Zbyt krótko bawiliśmy w Krakowie, abyśmy byli mogli robić własne studia a przynajmniéj opisy na miejscu. Korzystamy więc z użytecznych i dojrzałych prac pana A. Grabowskiego, a tylko tu i owdzie dodamy wrażenie, jakie na nas ten lub ów przedmiot uczynił. Zresztą nie idzie nam o oryginalność, ale o pożytek dla młodych czytelników Szkółki.

ramy czarownemu obrazowi temu służące, których wysokie szczyty w błękitach powietrza giną.

Kształt miasta Krakowa tak opisał stary kronikarz J. Bielski: »Gdy na nie z wysokości spojrzy, jest coś podobne do lutnie okrągłością swą, a Grodzka ulica z zamkiem jest jako szyja u niéj właśnie. Ma téż coś podobnego do orła, którego głowę reprezentuje zamek, Grodzka ulica szyję, przedmieścia zasię około niego są jako skrzydła jakie.«

Początek i wzrost Krakowa.

Początek Krakowa ginie w dalekiéj, ciemnéj przeszłości. Klaudyusz Ptolomeusz, jeograf żyjący w drugim wieku po narodzeniu Chrystusa Pana, przywodzi miasto Carrodunum, leżące według zdania badaczów tam, gdzie jest dziś Kraków. Miała iść tędy droga od morza Adryatyckiego do Baltyku, którą sprowadzano bursztyn.

Nie ma starożytnego miasta, ruin, zamku lub świątyni, nawet góry, jeziora, o którychby lud nie opowiadał dziwnych rzeczy. Opowiadania takie nazywają się podaniami ludowemi i gardzić niemi nie można, jakkolwiek są niepewne. Często na dnie podania mieści się prawda, tylko przybrana w różne kształty i ozdoby. Jakkolwiek więc bądź, przytaczamy starożytne podanie o Krakowie, tak jak je najdawniejsi kronikarze nasi opowiadają i jak ono dotąd krąży w ustach ludu *).

Onego czasu, przed tysiącem może lat, a może i dawniéj, w skale, która już wówczas zwała się jak dzisiaj Wawel, w ciemnéj jaskini mieszkał straszliwy smok, okrutna bestya, z ogonem wężowym, niedoperzemi skrzydłami, i z taką okropną paszczęką, że najtęższego wołu na raz mógł połknąć bez żadnéj turbacyi. Owoż ta poczwara ciężką była plagą dla okolicznych mieszkańców; gdyż jako była niezmiernie żarłoczna, potrzebowała codziennie kilkoro bydła na strawę, a biedni ludziska mu-

*) Przed niejakim czasem ogłosiła Gazeta Warszawska »*Legendy i Podania Krakowskie, zebrane przez J. Ł. i G. C.*« Nie wszystkie z tych legend i podań są powszechnie znane, a i znane warto przypomnieć czytającéj młodzieży. Dla tego do opisu pamiątek krakowskich pozwalamy sobie w stósownych miejscach dołączać także podania i legendy odpowiednie z Gazety Warszawskiéj.

sieli jéj codziennie téj karmy ze swego dobytku dostarczać, bo jak nie, to szła między nich i pożerała kogo jéj się podobało. Strach był nie lada, i ostatnia już chwytała się ich desperacya, gdy wtém książę polski *Krakus*, ulitowawszy się biedy swych poddanych, za poradą szewca z Krakowa nazwiskiem *Skuby*, postanowił położyć koniec strasznéj drapieżności smoka.

Cóż tedy nie robi. Każe skórę z zabitego cielęcia wypchać siarką i smołą, i zatliwszy takowe, o zwykłym czasie między inném bydłem dla smoka przeznaczoném postawić.

Podstęp udał się doskonale. Zrana jeno świt poczwara wyszła z swéj jamy, a obaczywszy śniadanie gotowe, pokręciła ogonem z radości, oblizała się straszliwym ozorem, aż o milę mlaskotanie słychać było i jednym tchem wszystko bydło, a między niém i owego siarczanego cielaczka, pochłonęła do znaku. Aliści niebawem począł pan smok łakomstwa swojego żałować; bo siarka i smoła rozgorzawszy straszliwym ogniem, poczęła palić mu wnętrzności, i nadzwyczajne sprawiać boleści. Wyskoczył z jamy i daléj do Wisły; jak zaczął pić, tak połowę Wisły wypił, a pragnienia nie ugasił. Nareszcie zaczął ryczeć z bólu ogromnym głosem aże się skała trzęsła, a w około na mil kilka drżeli ludzie i zwierzęta, i wyciągnął się jak długi na nadbrzeżnym piasku. Wtedy przyskoczył książę Krakus, i potężną maczugą dobił go na miejscu. O parę mil od Krakowa, we wsi Pieskową Skałą zwanéj, stoi do dziś dnia jedna skała, kształt ogromnéj pałki mająca. W tém to miejscu Krakus ową maczugę na pamiątkę swojego zwycięstwa zatknął w ziemię: gdzie wrosła, a zczasem przemieniwszy się w kamień utworzyła ową skałę dziwnego kształtu.

Nie podobna opisać radości ludu, kiedy obaczył tak srogiego nieprzyjaciela bezsilnie leżącego na ziemi. Tysiączne błogosławieństwa posypały się na walecznego księcia, który ku pamięci całego wypadku, na skale co była smoka mieszkaniem, postawił zamek warowny, aby tam, zkąd wprzody postrach rozchodził się na okolice, lud potém mógł znaleść w razie niebezpieczeństwa przytułek i obronę.

Nie długo atoli dzielny książę cieszył się szczęściem i miłością swych poddanych, bo wkrótce po tém w lesie na polowaniu, przez własnego brata, który mu sławy zazdrościł, zdra-

dziecko zamordowany został. Nie mógł się naród pocieszyć po stracie ukochanego książęcia, wzgardą pomścił się na mordercy, siostrę Krakusa, Wandę, któréj historyą każdy ma w pamięci, obrał sobie za panią, a Krakusowi w miejscu gdzie zginął, na wzgórzach Krzemionek, po drugiéj stronie Wisły, własnemi rękami, w rękawach od sukien nosząc ziemię, usypał wiekopomną mogiłę, która stoi po dziś dzień. I po dziś dzień rok rocznie, nazajutrz po drugiém święcie Wielkiéj-Nocy, zbiera się w około niéj mnóstwo ludu z Krakowa i okolic, i odwiecznym obyczajem święci pamięć Krakusa, a uroczystość tę zwie *Rękawką*, od owéj ziemi w rękawach na budowę mogiły znoszonéj.

Opodal od mogiły Krakusa, na dalszym ciągu wzgórz Krzemionek, na prost prawie krakowskich *Lipek*, pokazują małą wyniosłość z ziemi, którą lud *Mogiłą Babki Krakusa* zowie.

Ten to Krakus, jak podanie w kronikach zapisane niesie, miał założyć na lewym brzegu Wisły miasto i nazwać je od imienia swego Krakowem.

Lecz *nie razem Kraków zbudowano!* Budowali go, rozszerzali, zdobili kościołami i klasztorami, otaczali murami przez długie wieki Piastowie i Jagiellonowie, póki nie przeniesiono stolicy do Warszawy. Żadne pewno z miast polskich nie doznało tyle zmian losu, tyle pomyślności i klęsk, ile Kraków. Bolesław Chrobry zdobył go na Czechach razem ze Szląskiem i całą gór karpackich okolicą, i odtąd bez przerwy dzielił Kraków wszystkie koleje razem z całą Polską.

»Roku 1125, za panowania Bolesława III. (Krzywoustego) królestwo polskie szczęśliwém powodzeniem i pokojem kwitnące, niespodziewany zmięszał wypadek. Świetnie wzmagające się miasto Kraków, lubo drzewianemi, lecz pięknemi gmachami zbudowane, bogate owocami handlu, które doń z ościennych krajów spływały, zamożnością i obfitością sławne, przypadkowy pożar ze wszystkiemi świątyniami i gmachami w perzynę obrócił, i na długi czas w nędzę pogrążył. *)«

Za panowania Bolesława Wstydliwego Tatarzy w r. 1241. wpadłszy do Polski Kraków spalili. Bolesław Wstydliwy zalu-

---

*) Długosz.

dnił miasto osadnikami niemieckimi i do stanu porządnego przyprowadzić postanowił, o czém tak pisze Marcin Bielski w swéj *Kronice świata:* »Roku 1257. Bolesław monarcha polski chcąc ozdobić Kraków dobrym rządem a chędogością, dał mieszczanom krakowskim prawo niemieckie (Magdeburskie) i wójta im ustanowił, który spomykał, zwymierzał ulice, rynek, aby to rzędnie w okręgu swoim rozdzielone legło; bo pierwéj ladajako, kędy kto chciał budował się, a ztąd nierządnie ulice i rynek leżały w sobie: takož i na zamku krakowskim uczyniono jest.«

Prawo magdeburskie czyli niemieckie nadane przez monarchów polskich jakiemu miastu, pozwalało mu rządzić się samemu, obdarzało je wielkiemi swobodami. Gdy więc Kraków uzyskał prawo magdeburskie, a przytém stał się stolicą książąt i królów, zaczął przybierać coraz ozdobniejszą postać i wzrastać w ludność i majątek.

Za Leszka Czarnego Konrad II., książę mazowiecki, wpadł w księstwo krakowskie, rozniecił wojnę domowę a miasto Kraków kazał zapalić i w kupę rozwalin zamienić. Po uspokojeniu się wojny domowéj Leszek Czarny obdarzył Kraków nowemi przywilejami, miasto w obronniejsze mury, wieże i przekopy opatrzył. Kraków znów powstał z gruzów.

Władysław Łokietek przeniół stolicę Polski z Gniezna do Krakowa, i pierwszy w tém mieście świetną odbył koronacyą. Od tego czasu królowie polscy koronowali się w Krakowie i stale tu mieszkali aż do Zygmunta III., który przeniósł stolicę z Krakowa do Warszawy.

Gdy w r. 1333. wstąpił na tron Kazimierz Wielki, o którym powiedziano: że zastał Polskę z gliny i drzewa, a zostawił murowaną, nie pominął uwagą wzrostu i upiększenia Krakowa, który i murem otoczył, »bo on, że téż sam był dobry budodownik, rad to widział, gdy kto co zbudował. *)« Za panowania Kazimierza Wielkiego powstały w Krakowie i na jego przedmieściach okazałe budowle; on wystawił ogromny murowany gmach na rynku krakowskim, zwany Sukiennicami, i ogród nad Wisłą, znany pod nazwiskiem Zwierzyńca założył; on pierwszy zamek krakowski murowany postawił, on

*) Bielski.

łobzewski pałac założył; on fundował wiele świątyń pańskich, z których dotąd kilka trwających pamięć założyciela odległym potomkom opowiadać będzie.*) Kazimierz W. w r. 1365. zniósł apelacyą od sądów krajowych miejskich do Magdeburgu, a ustanowił najwyższy sąd miejski dla całéj Polski na zamku w Krakowie. Za panowania tego wielkiego króla, miasto Kraków, ze względu wspaniałości domów, liczyło się do najpiękniejszych w Europie. Kwitnęły w niém handel, kunszta i rzemiosła, a bogactwo mieszczan stało się słynném w Europie. Komuż nie znane, z jakim przepychem mieszczanin krakowski Wierzynek przyjmował u siebie królów u pana jego goszczących w czasie wesela w Krakowie cesarza Karola IV. z Elżbietą, wnuczką Kazimierza Wielkiego! W r. 1343. Karol, margrabia morawski, znacznych naówczas pożyczył sum od dwóch mieszczan krakowskich, tj. od Wierzynka, rajcy i kupca krakowskiego a marszałka i podskarbiego królewskiego 2333 grzywien, a od Hańka Kempnicza 1000. — Jak ludnym był wówczas Kraków, pokazyje się ztąd, że kiedy morowe powietrze za panowania Kazimierza W. w Polsce w r. 1360. wybuchło, 20,000 ludzi umarło w Krakowie.

Za panowania Władysława Jagiełły należał Kraków do związku bogatych miast hanzeatyckich.

Za Jana Alberta otoczono Kraków od północnéj strony wieżami, blankami, wałem i rowem rzeką Rudawą napuszczonym; wtenczas także wystawiono bramę św. Floryana, która dotąd istnieje.

Następni królowie z rodu Jagiellonów nie przestawali Kraków dzielną darzyć opieką; a podnosząc uszkodzone przez czas gmachy i piękniejszą im nadając postać, utrzymywali go na stopniu świetności przyzwoitéj pierwszemu w Polsce miastu.

Za Zygmunta I. liczyło to miasto 80,000 ludności, posiadało wiele użytecznych fabryk i rzemiósł, miało wyborne przepisy i ustawy porządkowe, posiadało wodociągi podsycane wodą Rudawy, które po wszystkich prowadzone były ulicach. Mieszkały tu wtenczas bogate domy *Fuggerów*, którzy wysyłali okrętami do Hollandyi produkta polskie, szczególniéj miedź, a

*) Ambroży Grabowski.

których potomkowie są teraz książętami w Niemczéch; domy *Turzonów*, *Bethmanów*, oraz wiele kupców cudzoziemskich tu osiadłych, a szczególniéj włoskich. R. 1509. umarł bogaty kupiec w Krakowie *Turza*, który naprzód jął odganiać srebro od ołowiu przez miedź, z czego z chudego pachołka bardzo się zbogacił; jeden jego syn był ołomunieckim, drugi wrocławskim biskupami. *Seweryn Bethman* trzymał olborę olkuską w pięciu tysięcach dukatów. *Mornstein*, kupiec krakowski, w bogactwa zamożny, wiódł handel do Anglii i Hiszpanii na własnych okrętach. *Jan Bonar*, który z wielkiemi dostatkami sprowadził się z trzema braćmi z Niemiec do Polski, został mieszczaninem krakowskim; a będąc podskarbim Zygmunta I. przyprowadził do porządku skarb publiczny rozrzutnością poprzedników tego króla wyniszczony, utworzył na nowo mennicę, wykupił własną szkatułą ziemię Spiską i wiele innych dóbr koronnych. — *Paweł Czarny*, również mieszczanin krakowski, trzymał Oświecim i żupy ruskie w kwocie 14,000 dukatów. Tak to bogaty był niegdyś Kraków, a bogaci mieszczanie krakowscy wyrównywali w bogactwie najpierwszym panom polskim.

Lecz gdy Zygmunt III. między rokiem 1610. i 1616. przeniósł stolicę do Warszawy, zaczął Kraków upadać i rozpoczęło się długie pasmo smutnych dla niego lat; za monarchami przeniosły się z Krakowa do nowéj stolicy możne familie, ubyło ludności, podupadł handel, spustoszały publiczne budowle, i w takim stanie doczekał się rozbioru kraju. Wojny, oblężenia, załogi wojsk obcych, pożary, morowe powietrze i inne klęski pogrążyły Kraków w nędzy i zatarły ślady dawnéj jego wspaniałości. Najwięcéj ucierpiał od Szwedów.

W r. 1655., kiedy znaczna część miasta pożarem spłonęła, sami mieszczanie krakowscy 160,000 talarów okupu Szwedom złożyć musieli; oprócz tego stał załogą przez dwa lata garnizon szwedzki, któremu co miesiąc po 6000 talarów Kraków wypłacał.

W r. 1702. po drugi raz Szwedzi pod Karolem XII. weszli do Krakowa i zniszczyli go: spalili i zrujnowali zamek, zrabowali zbrojownią królewską, wydarli 60,000 talarów mieszczanom kontrybucyi, nie licząc w to, pogłównego i żywienia wojska, oraz długów, które miasto zaciągnąć musiało.

W r. 1704. po raz trzeci zadali Szwedzi klęskę Krakowowi; w trzech dniach wybrali okupu 30,000 tynfów i 300 czerwonych złotych, a prócz tego żywności i innych potrzeb na 10,000.

Po raz czwarty uczuł Kraków w r. 1705. żelazną rękę szwedzką. Jenerał Stromberg z 1000 żołnierzy wszedł 16 kwietnia tego roku do Krakowa, zajął kwatery po mieście, bawił do 15. listopada i wycisnął z ubogich mieszczan, klasztorów i kościołów znowu wielkie sumy; klęska, którą miasto poniosło, trudną jest do opisania; mieszczanie do ostatka zostali wycieńczeni.

W r. 1707. i 1708. wymarła w czasie morowego powietrza wielka część ludności albo się z miasta wyniosła, a wiele kamienic zupełnie opuszczonych spustoszało. Miasto było przymuszone sprzedać wszelką miejską własność, ołów z spalonéj niedawno wieży ratusznéj, naruszyć wszelkie depozyta i sumy sieroce, zaciągnąć znaczne długi i t. d. Kraków coraz więcéj upadał, tak że w roku 1787 liczył już tylko 539 domów (bez przedmieść) i tylko 9449 dusz!

Ostatni król Stanisław Poniatowski wyznaczył z własnych dochodów 300 czerwonych złot. rocznie na pilniejsze potrzeby miasta Krakowa i chciał znów podnieść tę starożytną stolicę królów, ale zamiaru swego wykonać nie zdążył.

Tadeusz Czacki tak opisuje stan Krakowa w r. 1791.:

»Miasto Kraków, stolica królestwa, siedlisko dawniéj książąt, daléj królów polskich, nosi na sobie cechę nieszczęść krajowych. Od nieprzyjaciół kilkanaście razy wzięte, w każdém prawie bezkrólowiu od przemagających opanowane, smutny odnawianych nieszczęść krajowych widok stawia. Odbierało to miasto przywileje od wszystkich prawie książąt jako świadectwo i nagrodę cnoty i męztwa jego obywateli. Te stały się składu papierów czczą ozdobą!... W ciemnych wiekach wydawała je szczodrota panujących a też same błędy, które sąsiadom naszym wskazywały sposoby udzielania łask miastom, były dla naszych ojców prawidłem. — Odmieniły się czasy!... posada miasta Krakowa niegdyś zbliżona do środka kraju, dziś jest nadgraniczną. Próżną więc jest rzeczą w tych starożytnych przywilejach jako dziełach pomyłek ludzkich szukać źródeł po-

lepszenia stanu tego miasta; należy szukać sposobów w samym stosunku rzeczy za pomocą téj opieki, którą władza rządowa zbliżać wszystkim winna.

»Chcąc dostatecznie poznać stan miasta Krakowa i do przyprowadzenia do pomyślnego stanu znaleść sposoby, zwróciłem między innemi uwagę na stan ludności tak jak był dawniéj, jak jest teraz. Liczne klęski powietrza, w czasach tak nieco odległych jak przybliżonych, dowodzą, że skoro w tém mieście po kilkadziesiąt tysięcy wymierało ludzi, liczba mieszkańców musiała być znaczną. Nieszczęśliwe od r. 1768 rozruchy rozerwaniem kraju w r. 1772 zakończone nagłym pędem zbliżyły zgubę Krakowa. Miasto to na przemian od wojsk rosyjskich, i od konfederatów na przemian opanowane, przybrało na siebie cechę wojen domowych. W większéj części zruinowane domy; mniéj potrzebna okazałość wewnętrzne pustki na przybycie króla (w r. 1787) nowém tynkowaniem okryła. Cena domów w miarę umniejszenia się liczby najmujących spadła aż do 4téj i 5téj części istotnéj wartości. Niema cechu, któryby ubyłych w swojem gronie nie liczył: z trzech lat zrobiona konskrypcya dowodzi, że w tém krótkim czasu przeciągu ubyło ludzi 1152, którzy pracowite ręce do Galicyi przenieśli. Zaś liczba ubogich tułaczów, zamiast pomniejszenia się, powiększoną została. Sławne Sukiennice, to nieśmiertelne Kazimierza W. dzieło, nie jest już owym znakomitym mieszkańca krajowego składem przemysłu, jest tylko zbiorem kilku kupców a kilkudziesiąt przekupniów. Zgoła w wspaniałym przybytku nędza zdaje się przemieszkiwać.

»Z tego co w krótkości powiedziałem, z tych uwag, które zimna rozwaga przygotowała, dowodzę stan okropny miasta Krakowa. Przepowiedziałem: że jeżeli nie użyje władza krajowa skutecznych sposobów podźwignienia tego miasta, obywatele jego w ostatniém ubóstwie pogrążeni zostaną.«

Od r. 1796. do 1809. błysnęła na krótko świetniejsza dla tego miasta chwila; Kraków został stolicą prowincyi, a ztąd licznych władz pobytem, wzrósł w ludność, odżył w niém znaczny bardzo handel, zakwitły rzemiosła, przez co prywatne domy z gruzów się znacznie podniosły. Atoli te sprzyjające

okoliczności nie miały wpływu na gmachy publiczne i pomniki, które zębem czasu dotknięte, do największéj przyszły ruiny.

W r. 1815. został Kraków wolném miastem, stolicą małéj rzeczypospolitéj i był nią aż do r. 1846. Epoka ta jest ważną w dziejach Krakowa; przez te lat 30 zakwitł tu handel, rzemiosła, zamożność obywateli, a ludność wciąż wzrastała. Rząd wolnego miasta troskliwą obrócił baczność na ocalenie niknących pomników, na reparacyą zamku, niektórych kościołów i t. p.

W r. 1846. wcielono rzeczpospolitą krakowską do państwa austryackiego, a Kraków przestał być wolném miastem.

W roku 1850. nowa, ogromna klęska dotknęła Kraków. W czwartek, 18. lipca, wybuchł okropny pożar, który nieomal połowę miasta w gruzy zamienił; spalił się klasztor Franciszkański, klasztor Dominikański, pałac biskupi, pałac Wielopolskich, część rynku, kilka ulic, między niemi Grodzka, Bracka i t. d. Opis tego okropnego pożaru i zniszczenia podaliśmy czasu swego w *Szkółce* (patrz r. 1850. od str. 96.).

Spalone gmachy po części już odbudowane i nad ich wzniesieniem, odnowieniem dotąd pracują. Wspaniały pałac biskupi, którego ściany ozdobione były pięknemi malowidłami Stachowicza, pałac Wielopolskich leżą w gruzach.

W końcu dodać to jeszcze należy, że obecnie fortyfikują Kraków, i że sam Cesarz Austryi nakazał szanować pamiątki tego miasta.

Przystąpmy teraz do poznania najznaczniejszych w Krakowie placów, gmachów, świątyń i pomników.

Rynek krakowski.

Powszechne jest zdanie, że z wszystkich miast polskich Kraków ma najpiękniejszy rynek: obszerny, regularny w czworobok, którego ściany formują rzędy pięknych trzechpiętrowych gmachów, wystawionych w guście włoskim. Domy te, a raczéj pałace, były po większéj części mieszkaniami znakomitych rodzin, wsławionych w dziejach krajowych. Dom narożni od ulicy Floryańskiéj był niegdyś posiadłością margrabiów Myszkowskich; narożni od ulicy św. Jana Kmitów; pałac Spizki mieszkaniem hetmana Jana Tarnowskiego; Krzysztofory Kajetana

Sołtyka; stoją jeszcze domy starożytne owego bogatego podskarbiego Wierzynka za Kazimierza Wielkiego, Jana Zamojskiego, Bonara i t. d. W jednym rogu rynku krakowskiego stoi sławny kościół Panny Maryi, a w środku starożytny gotycki gmach, zwany Sukiennicami, wieża ratuszowa samotna i kościół św. Wojciecha.

Z rynku 12 prowadzi ulic na przedmieścia; są one piękne, szerokie, długie, regularne, wyciągnięte prawie pod linią, z których najdłuższa, najludniejsza i najokazalsza jest ulica Grodzka, prowadząca do grodu czyli zamku. Rynek krakowski ma i ztąd sławę, że w dawnych czasach był widownią świetnych uroczystości, których opis zająłby osobną księgę. Odprawiały się na rynku krakowskim głośne swego czasu w całéj Polsce uczty, gonitwy, uroczyste obchody zwycięstw, wjazdu królów do Krakowa, zabawy w czasie koronacyi i ślubów królewskich. Najświetniejszą była ta uroczystość, kiedy królowie polscy na drugi dzień po obrządkach koronacyjnych zasiadali w środku rynku na wyniosłym tronie pod Sukiennicami, obok wieży ratuszowéj i hołd od lennych książąt, oraz przysięgę od większych miast odbierali.

Wzniesiono tron przed ratuszem, między wieżą a Sukiennicami, naprzeciw ulicy Brackiéj. Zjechawszy król na ratusz, szedł naprzód do sali sądowéj, gdzie ubrawszy się tak jak był koronowany, zasiadł na wystawionym majestacie; obok niego zasiedli krzesła senatorowie. Wtedy przyszedł magistrat krakowski i po wyrzeczonéj poprzednio mowie o swém posłuszeństwie, podawał kanclerzowi albo podkanclerzowi na poduszce aksamitnéj cztery klucze pozłociste na tacy srebrnéj pozłocistéj, obok srebrnych pozłocistych kubków, napełnionych zwykle tysiącem dukatów; kanclerz odpowiedziawszy magistratowi, klucze podał królowi, a tacę i kubki sobie zatrzymał. Potém rajcy i mieszczanie składali królowi przysięgę wierności; potém król pasował na rycerzów albo kawalerów złotych niektórych ze szlachty, mieszczan, jurystów, księży, uderzając mieczem jednych raz, drugich dwa, a szlachtę trzy razy. Po skończonéj uroczystości król udawał się znów na ratusz, tam koronacyjne szaty zdjął z siebie, i otoczony senatorami, w takim samym porządku, w jakim był przybył, wracał na zamek. Tymczasem

podskarbi koronny rzucał między lud złote i srebrne medale, czyli *pamiętne pieniądze*, jak je wtenczas nazywano. Dzień ten kończył się ucztami, rycerskiemi igrzyskami, rozdawaniem Polakom i cudzoziemcom kosztownych darów na królewskim zamku.

Aby okazać, w jaki sposób lenni książęta królom polskim hołd na rynku krakowskim składali, opowiem hołd księcia pruskiego Albrechta złożony Zygmuntowi I. *)

„Obok ratusza na rynku krakowskim zbudowano tron wysoki okryty przerabianemi w złoto makatami. Na nim zasiadł król w koronie i płaszczu złocistym obszytym w perły, a otaczali go biskupi, panowie świeccy, posłowie króla węgierskiego; daléj rycerze, szlachta, rajcy miasta Torunia i Elbląga. Czteroletniego Zygmunta Augusta trzymał na ręku wojewoda sieradzki; inni zaś panowie stali przed tronem z berłem, jabłkiem i mieczem. Wojska piechotnego otaczało króla do dwóch tysięcy w zbrojach, a z rusznicami, dzidami i berdyszami. Skoro tylko Zygmunt zasiadł, biskup pomezański Erhard Queis z siedmiu radzcami przyklęknąwszy, prosili o pozwolenie składania hołdu. Od tronu odpowiedział podkanclerzy i już biskup krakowski Piotr Tomicki, poczém zaraz ukazał się książę Albrecht w towarzystwie markgrafa Jerzego i Fryderyka lignickiego, a otoczony radzcami i deputowanymi pruskimi zbliżywszy się do króla, złożył naprzód podziękowanie za doznaną łaskę i przyrzekł wierność, a gdy wszyscy trzej przyklękli, kazał sobie podać chorągiew z białego adamaszku, na któréj był czarny orzeł ze złotemi szponami, ze złotą koroną w koło szyi i ze złotemi pręgami na skrzydłach a srebrną literą S. (Sigismundus) na piersi, dla podania wiekuistéj pamięci imienia królewskiego i przez ewanielią na królewskim łonie położoną złożył w tych słowach przysięgę: „Ja Albrecht, książę pruski, markgraf brandenburski, ślubuję i przysięgam Bogu Wszechmocnemu, iż począwszy od téj chwili, wiecznie chcę być wiernym, podległym lennym i posłusznym wraz ze wszystkimi swymi podwładnymi duchownymi i świeckimi, najjaśniejszemu i najpotężniejszemu monarsze i panu, Zygmuntowi królowi polskiemu, jego następ-

*) Podług „Dziejów Rzeczypospolitéj polskiéj Jędrzeja Moraczewskiego," tom IV., str. 107.

com i koronie polskiéj w zupełności, a to jak przystoi na pokój miłującego lennego i pod hołdem zostającego książęcia, i według stosunków uporządkowanych, w czém mi Boże dopomoż przez twą świętą ewanielią." Po złożeniu mistrz się podniósł, a przyklęknąwszy na nowo i schyliwszy się ku ziemi został przez króla uderzony mieczem. Nakoniec król zawiesił mu w koło szyi podany sobie od podskarbiego wielki złoty łańcuch i pasował innych rycerzy, kiedy książę pożegnawszy się, wzięty w środek wraz z orszakiem swoim przez wielu panów polskich, do gospody odprowadzonym został. Uroczystość zakończyła się nabożeństwem i sutym obiadem, po którym Zygmunt posłał Albrechtowi rozmaite dary."

Poeta Jan Kochanowski opisał w osobnym poemacie składanie hołdu królom polskim przez książąt pruskich, pod tytułem: „*Proporzec czyli hołd pruski.*"

Piękny rynek krakowski byłby jeszcze okazalszy, gdyby w środku niego nie stały kramy drewniane, gdzie sprzedają codzienne życia potrzeby. Jak jest dzisiaj, tak było i dawnemi czasy. Mikołaj Rej z Nagłowic przed 300 prawie laty w następujący sposób o tém pisze:

„Ale kto się chce przypatrzyć jako się chudzina żywi, idź na *krakowski rynek*, tam się nadziwujesz, ano jedna kiełbaski smaży, druga gżelce sprzedaje, druga wątrobę pieczoną z octem a z cebulą, druga z opłatki po rynku i po ulicach biega, druga z wieńcy, druga z ziółki i z czerwoną maścią siedzi. Więc i u krup, u śledzi, u masła, u świéc, u szklenic, u jabłek, u żemeł, u butów, u ryb, u żuru, u barszczu, u ogórków, u rozmaitych ogrodnych rzeczy siedzi, a ktoby się ich naliczył? — Więc co ich po smatrusiech (był to wielki gmach murowany z sklepami żydowskiemi i wagą), po kramikach, pod krzyżem siedzi: jedna z żelazem, druga z płótnem, z barchanem, z leszem, z goździmi i rozmaitemi przyprawami: a ktoby się tego napamiętał, już nie licząc rozmaitych a rozlicznych rzemieślników, co się swemi robotami żywią, a wzdy się żywią i w dobrych szatach chodzą."

Sukiennice.

Jest to wielki gotycki murowany gmach, na kształt bazaru z licznemi sklepami, droga pamiątka budowy po Kazimierzu Wielkim. Sukiennice były niegdyś wielkiemi składami sukna.

Nie ma w Polsce drugiéj budowli, któraby długością Sukiennicom wyrównywała.*) Obejmują one w sobie 18 sklepów w każdéj ścianie i tworzą pod jednostajném sklepieniem ogromną salę 180 łokci długą a 18 szeroką, która 7000 ludzi pomieścić może. W czasie uroczystości narodowych dawane tu bywały bale; a publiczność choć bardzo licznie zebrana, bawiła się wygodnie, nie doznając natłoku. Trudno sobie wystawić coś wspanialszego nad widok rzęsisto oświeconych i stósownie ozdobionych Sukiennic, które wtenczas nie gmachem, ale długą ulicą być się wydają.

Kościół Panny Maryi.

Któż nie słyszał o wspaniałym kościele Panny Maryi w Krakowie i o wysokiéj *wieży maryackiéj?* W całéj Polsce krąży przysłowie: „*Wysoki jak wieża maryacka.*“ W żadnéj z świątyń w całéj dawnéj Polsce nie ma tak pięknego i tak nieocenionego ołtarza, jakim jest wielki ołtarz P. Maryi. Mówią, że nawet w całym świecie nie ma drugiego takiego. Ołtarz ten jest dziełem Krakowianina, znanego szeroko i daleko rzeźbiarza Wita Stwosza, który żył przed 300 laty. Najpiękniejszą także gotycką budową na ziemi polskiéj jest kościół Panny Maryi. Również w całéj Polsce nie ma być tak pięknych malatur staroświeckich na szkle, jakiemi słyną okna w tymże kościele. A co do wspaniałości wewnątrz, to tylko katedrze krakowskiéj pierwsze miejsce co do okazałości i piękności ustąpić musi kościół Panny Maryi. Ambroży Grabowski, znamienity badacz starożytności krakowskich, z takiém uwielbieniem wyraża się o tym kościele: „Dawnych pamiątek skarbnica to bogata! Świątnica chwały bożéj, do któréj wszedłszy, duch pobożnego człowieka skwapliwie wzlatuje ze czcią i modlitwą ku niebu, a tylko

---

*) Ambroży Grabowski.

serce z granitu nie wynosi z niéj wrażeń tchnących wiarą i ukorzeniem się przed wszechmocą Pana światów.“ *)

„Jak autor natury (Bóg) położył serce w pośrodku ciała ludzkiego, aby z niego żywot pochodził na wszystko ciało; tak wspaniały ten kościół znajduje się w rynku krakowskim, aby z niego pożytek duchowny rozlewał się na całe miasto.“ **)

Z licznych świątyń w Krakowie, tylko kościół Panny Maryi i katedra na zamku przez cały dzień aż do późnego wieczora są otwarte. To téż kiedykolwiek wstąpisz do tych dwóch domów bożych, zawsze w nich, a szczególnie w kościele Panny Maryi, zastaniesz pobożnych. Wieczorem, gdy się ukończyły święte obrzędy, gdy ucichły głosy kapłanów, pracowity robotnik odłożywszy 'narzędzie, spieszy ukorzyć się u podnoża tronu Boga, bo „ubogi tylko lud obległszy ołtarze, wznosi do Boga zpracowane ręce; gdy inni nie swoją wielkością dumni, wzgardziwszy Dawcą wszelkiego dobra, odbiegli świętych jego przybytków.“ ***) W wieczornéj porze, w pośród uroczystego milczenia, przy słabym połysku lampy, dom ten boży wielkie robi na umysł wrażenie i do prawdziwéj skłania pobożności.

»Kto zna starożytną stolicę Piastów i Jagiellonów, mówi A. Grabowski w »Starożytnościach polskich,« temu wiadomo, że każdy świeżo do niéj przybyły najprzód do grobów świątyni na Wawelu spieszy; a tam gdy starożytne uczci pomniki skwapliwemi kroki do kościoła archi-presbyteryalnego Panny Maryi pięknie w samym rynku w oczy wpadającego przenosi się, i gust budowy jego jako i wewnętrzne przyozdobienie, ciekawém okiem podziwia. — W istocie saméj, świątynia ta utworami sztuk pięknych celuje nad resztą licznych kościołów krakowskich. Sam jéj wielki ołtarz, okazałością swą i wykonaniem, któregoż znawcy nie zastanowił uwagi? Pomnik ten starożytnego rycerstwa, owoc 12-letniéj pracy, artyście, który go budował, długotrwałe zapewnia imię.«

Kościół Panny Maryi, stojący we wschodniéj połaci rynku

*) Skarbniczka naszéj archeologii, pr. Ambrożego Grabowskiego. Lipsk, 1854.

**) Ks. Pruszcz, Klejnoty.

***) List pasterski ks. biskupa Woronicza.

krakowskiego, najpiękniejszy i najśmielszy u nas, jak zapewniają znawcy, pomnik architektury gotyckiéj, o smukłych jakby w niebo sięgających pilastrach, z prześlicznym ołtarzem drewnianym Wita Stwosza, zbudowany z wielką doskonałością z nadzwyczaj trwałego materyału, jest pobożném dziełem biskupa krakowskiego Iwo Odrowąża, kanclerza Leszka Białego. Fundował tę świątynię w r. 1226., więc przeszło 600 lat temu, a przecież budowa trwa nienaruszenie, dzielnie opierając się zębowi czasu.

O kościele tym powiedział poeta:

»W jego sklepie oko ginie,
»Za myślą poleci,
»Aż tam gdzie w skroniach Maryi
»Gwiazd dwanaście świeci «

Budowa téj ogromnéj i wspaniałéj świątyni trwała długi przeciąg czasu. Fundował ją wprawdzie biskup Odrowąż już w r. 1226, ale wielu jeszcze po nim na wykończenie jéj znaczne sumy łożyło. Tak Wierzynek, ów bogaty mieszczanin krakowski za Kazimierza Wielkiego, wymurował tę część kościoła, gdzie stoi wielki ołtarz. Jeszcze w r. 1394 obciosywano głazy na sklepienie kościoła Panny Maryi, a dopiero w r. 1397 sklepienie to malowano; jeszcze w roku 1400, za Władysława Jagiełły, papież udzielił odpust tym, którzy przez 7 dni kościół ten nabożnie odwiedzać i do budowy jego czynnie przykładać się będą.

Kościół ten, pokryty miedzią, zdobią dwie wysokie wieże, jedna wyższa, druga niższa. Na niższéj znajduje się po dziś dzień 5 dzwonów, z których największy wyniósł samotrzeć na wieżą Stanisław Ciołek wojewodzic mazowiecki, o którym powiadają, iż był tak silny, że gdy drzewo ścisnął, to woda z niego ciekła. Na wyższéj znajduje się dzwon zegarowy, a każdą godzinę na wszystkie cztery strony świata otrębują; tam też jako w miejscu tak wysokiém, dzień i noc znajduje się strażnik, który wciąż upatruje czyli jakie złe miastu nie zagraża, a w razie niebezpieczeństwa daje o niém znać mieszkańcom wołaniem przez tubę i biciem w dzwon zwany gwałtowny, albo alarmowy. Dzwon ten atoli nie jest ten sam, który pierwotnie mieszkańcom trwogę obwieszczał. Bo w roku 1684 za stara-

niem Jana Gaudentego Zacherta, rajcy krakowskiego, Paweł Mieczal w Gliwicach zrobił zegar na wieżę ratuszną, a Piotr Beber, Prusak, na cymbał doń, spuścił samotrzeć dzwon gwałtowny z wieży Maryackiéj, który pospólstwo porwało i na saniach przed ratusz przywiozło, gdzie go znowu także Piotr Beber, ale już z trojgiem czeladzi wprowadził. Na miejscu więc owego wziętego na ratusz, dano nowy, który do dziś dnia jęczy na wieży.

Do budowy tych dwóch wież okropne przywiązało się podanie. Albowiem stawiali je dwaj bracia, obaj budowniczowie, którzy zawsze ze sobą o prym w kunszcie swoim walczyli. Dowiedziawszy się tedy oni, iż przy kościele Maryackim dwie wieże mają być stawiane, chwycili skwapliwie za tę sposobność, ażeby zwieść śmiertelny niejako pojedynek. Podjęli się razem budowy wież obu, a między sobą już umówili się, iż każdy jednę wieżę wystawi, dopiero po skończeniu obaczą, która będzie sztuczniejsza i piękniejsza, a zatém który z nich większy mistrz w swojéj sztuce.

Jak rzekli, tak zrobili; atoli gdy już obie wieże znacznie się z fundamentów wyniosły, poznał młodszy brat, iż starszemu nie wyrówna, i że jego wieża zniknie przy wieży brata. Zazdrość okropna i zawiść poczęła palić jego serce i powziął okropny zamiar. Jednego dnia wyznając niby dobrowolnie swą niższość, i udając chęć obejrzenia z bliska braterskiego arcydzieła, przyszedł do starszego z prośbą, ażeby mu sam zechciał takowe pokazać. Ujęty fałszywą szczerością brata mistrz z zupełną gotowością wypełnił jego prośbę. Gdy już byli na jedném z najwyższych rusztowań, młodszy, wykonywając swój straszny zamysł, utopił nóż w sercu brata. Ale w ślad za zbrodnią nastąpiły natychmiast żal i skrucha. Całą noc miejsca sobie znaleść nie mógł, a nazajutrz zwoławszy lud mnogi przed swoją wieżę, i z najwyższego jéj okna uczyniwszy z powszechném przerażeniem publiczne swéj zbrodni wyznanie, przebił się tym samym nożem, który krew braterską wytoczył.

Dokończono późniéj zaczętych wież; a ów nóż na pamiątkę tego zdarzenia, i na naukę potomnym jak straszna jest w skutkach swoich zazdrość, przybito w Sukiennicach na łańcuszku żelaznym. Kto temu nie wierzy, może i dziś iść do Su-

kiennic, a w krzyżowém przez nie przejściu, obaczy przy bramie ten sam nóż cały żelazny, na żelaznym też łańcuszku jak dawniéj przybity.

W tymże kościele, po prawéj stronie idąc od wielkich drzwi, obok Cyborium, jest cudowna *Passya* z całowitego kamienia, któréj jakkolwiek po wierzchu uszkodzona, żaden malarz poprawić nie może, gdyż jak tylko się jéj dotknie, więzną mu palce, jak gdyby w ciele żyjącém. (Podanie ludowe.)

Z wieży maryackiéj wspaniały jest widok na Kraków i piękne jego okolice, ciągnące się aż do Karpat.

Wielki ołtarz w kościele Panny Maryi.

Wysokie i śmiało rzucone sklepienie w wielkiéj łodzi kościoła, wspiera się na 10 filarach ciosowych. Wnętrze przyjemne obudza zadziwienie, taka w całym kościele i we wszystkich jego częściach wspaniałość, powaga i harmonia. Ołtarze są marmurowe, a po części i z hebanu. Z trzydziestu i dwóch największy i najwspanialszy jest wielki ołtarz, owo słynne arcydzieło Wita Stwosza; dzieło, którego posiadaniem chlubi się nietylko Kraków ale cała Polska, jak się chlubi Kopernikiem, Lelewelem, Mickiewiczem i tylu innymi.

Ołtarz ten jest w kształcie wielkiéj szafy 22 łokci wysokiéj, 17 szerokiéj a 2 łokcie głębokiéj. Osoby w nim zamieszczone są $4\frac{3}{4}$ łokcia wysokie. Cały ołtarz wykonany jest z drzewa robotą snycerską, malowany i wyzłacany.

Kiedy jest zamknięty, przedstawia w 12 kwadratowych płaskorzeźbach 12 epok z życia Jezusa Chrystusa. Osoby na rzeźbach tych przedstawione tak są naturalne, twarze ich tak żywe, ubiory tak prawdziwe, że wszyscy znawcy dzieło to podziwiają. Ale jakże podziwienie zwiększa się, kiedy naraz szafiasty ten ołtarz otworzą, i ujrzysz dwunastu jakoby żywych, w wielkich postaciach apostołów z Najświętszą Panną! Nagły tych pełnych wyrazu osób widok prawie trwogą napełnia, bo wszyscy jakby żywi, ich twarze, oczy, usta zdają się mówić, ich postacie naturalnie i kształtnie szatami zarzucone zdają się poruszać; zdaje ci się, że żywi zstąpią z ołtarza, że głosy ich usłyszysz, takie złudzenie sprawiają. A jakaż to świętość, jaka

męzka powaga i wielkie zadziwienie w ich twarzach! Nie możesz oczu oderwać od téj wspaniałéj grupy posągów, nie możesz się napatrzeć tym twarzom, tym postaciom, ich lekkim a tak poważnym ubiorom. Ogromna ta rzeźba, dzieło Krakowianina Wita Stwosza, przedstawia zaśnięcie Panny Maryi w obecności apostołów.

Lat dwanaście pracował nad tém dziełem Wit Stwosz *). Ambroży Grabowski tak o tém mówi **): »To najznamienitsze dzieło rzeźbiarskie w kraju naszym, potrzebowało niemałego czasu i znacznych materyalnych środków, zanim stolica kraju i ta świątynia niém ozdobiona być mogła. Lat 12 pracy strawił nad niém artysta, a fundusze nieuchronne zaledwo przez połączone siły pobożnych mieszczan zebrać się dały.« Pan A. Grabowski przytacza wielu mieszczan i mieszczanek krakowskich, którzy w testamentach zapisywali sumy na ołtarz Panny Maryi. Dozorem budowy tego ołtarza trudnił się ów bogaty mieszczanin i kupiec krakowski Jan Turzo, o którym już wyżéj mówiliśmy; on także dostarczał złota do wyzłoceń ołtarza. — W inwentarzu z roku 1620 jest zapisane, że panna wojewodzianka wendeńska dała *perłową koronę* na głowę Najś. Panny w wielkim ołtarzu ***).

Ołtarz Panny Maryi słynie i w innych krajach, bo jest największém dziełem Wita Stwosza, artysty znanego z licznych rzeźb za granicą, a szczególnie w Norymbergu w Niemczech. Zagraniczni artyści, jak n. p. sławny rzeźbiarz Thorwaldsen, podziwiają ów ołtarz krakowski. Oblicze mężów bożych (apostołów w ołtarzu), powiedział Thorwaldsen, jaśnieją wiarą i przekonaniem, iż w obec nich spełnia się tajemnica święta. — Nadewszystko chwalił lekkość draperyi. Odwiedził on Kraków w r. 1820.

Oprócz wielkiego, piękny jest także, lubo znacznie mniejszy ołtarz *Ciborium* (Bożego ciała), z mozaiki i marmuru w pię-

*) Biografią krótką Wita Stwosza podajemy poniżéj w niniejszym poszycie *Szkółki*.

**) W swéj »Skarbniczce archeologicznéj,« wydanéj tego roku.

***) Skarbniczka archeologiczna, str. 159.

knym kształcie rzeźbiony, oraz drugi ołtarz obok niego stojący znamienitéj okazałości, t. j. ołtarz ukrzyżowanego pana Jezusa z czterema kolumnami śpiżowemi, fundowany przez księdza Jacka Łopackiego w r. 1735.

Kaplic w kościele Panny Maryi jest 11, z których najpiękniejsza jest kaplica ś. Jana Chrzciciela, fundowana przez ową bogatą wyżéj wspomnianą familię mieszczan krakowskich Bonarów. Są w téj kaplicy dwa pomniki w postaci stojących osób, odlane z bronzu, przedstawiające Seweryna z Balic Bonara, kasztelana bieckiego i żonę jego Zofią z Bethmanów. Sam Thorwaldsen dwom tym pomnikom przyznał pochwałę.

Pomników większych i mniejszych oraz napisów starożytnych i nowszych, tak wewnątrz jak zewnątrz, jest w kościele Panny Maryi przeszło 200, jak zapewnia badacz starożytności krakowskich, pan A. Grabowski. Samych grobów czyli sklepów pod kościołem do chowania ciał, które były i są własnością różnych rodzin, znajduje się 60. W grobach chowały się i domy znakomite w Polsce; jest tam n. p. pochowany książę Zatorski, zmarły za Zygmunta I.

Wiele pięknych nagrobków okrywa mury téj świątyni; pomniki te są z czarnego i czerwonego marmuru, niektóre z alabastru, najpiękniejsze odlewane z bronzu w płaskorzeźbie.

Kościół ten bogaty jest i w liczne i niektóre piękne obrazy. Wzdłuż całego gmachu pod oknami, około galeryi, wiszą wielkie obrazy, wyobrażające dzieje Jezusa Chrystusa i Panny Maryi. Zdobią ściany i ołtarze téj świątyni n. p. obraz świętych trzech królów malowany we Florencyi; obraz św. Wawrzyńca, malowany w Rzymie; obraz Niepokalanego poczęcia Panny Maryi malowany w Wiedniu; piękny obraz przedstawiający zdjęcie z krzyża Pana Jezusa, malowany jak wieść niesie przez Tomasza Dolabellę, a jak utrzymuje pan A. Grabowski, malowany ręką naszego rodaka Czechowicza. Prócz tego we wszystkich ołtarzach znajdują się obrazy, które malował Łukasz Orłowski, żyjący około r. 1765. Nad amboną wisi wielki obraz Jezusa Chrystusa pomiędzy doktorami, malowany przez Michała Stachowicza.

Do najpiękniejszych ozdób starożytnych kościoła Panny Maryi należą okna nad wielkim ołtarzem. Są to prześliczne ma-

lowania na szkle, czyli okna w starożytnym guście z kolorowych szyb układane, »których żywości farb, nadewszystko gdy je poranne oświeca słońce, gdy świetniejąc kolorami tęczy łagodne przesiewają światło, nic wyrównać nie zdoła.« Podobnych pomników pięknych malatur na szkle nie ma tak wiele w Europie; najwięcéj znajduje się ich w Niemczech i Francyi, jak n. p. cudownie piękne starożytne okna w tumie kolońskim. »Malowanie na szkle w kościele Panny Maryi i groby królów wskazują, jak pyszną była niegdyś stolica Piastów.« (Morgenblatt r. 1817.)

Zastanawiają jeszcze w kościele Panny Maryi uwagę znawców piękną rzeźbą robione z drzewa długie ławy czyli formy przed wielkim ołtarzem. Długie te ławy, w których kilkadziesiąt osób wygodnie pomieścić się może, są wielce pracowitym utworem biegłéj ręki rzeźbiarskiéj. Figury na nich są kolorowane i złocone. Są tak misternie rzezane, że je nawet niektórzy Witowi Stwoszowi chcą przyznać.

Krzysztofory.

Prócz kościoła Panny Maryi, Sukiennic, wieży ratuszowéj, znany jest powszechnie w rynku krakowskim między innymi domami dom zwany Krzysztofory, od będącego na nim posągu ś. Krzysztofa, dawny pałac Kajetana Sołtyka, pamiętny wielu wspomnieniami historycznemi, do którego przywiązane jest następujące podanie ludowe:

W zachodniéj stronie rynku znajduje się wielka narożna kamienica, dotąd Krzysztofory zwana, od imienia jakiegoś Krzysztofa, alchemika, w którego posiadaniu długo zostawała. Pod tą kamienicą rozciągają się ogromne piwnice, któremi jak powieść niesie, można się dostać na cmentarz maryacki. Lecz w dzisiejszych czasach nikt tego nie próbował i zapewne próbować nie będzie.

O owych piwnicach krzysztoforskich opowiadają następującą historyą:

Onemi czasy kogut, którego kucharka już miała zarznąć, wyśliznął się jéj z ręku i uciekł do owych piwnic. Kucharka

nie wiele myśląc daléj za nim, z piwnicy w piwnicę; aż nareszcie kogut gdzieś jéj się podział w ciemności, a ona bojąc się zabłądzić, zmartwiona wracała tą samą drogą. Naraz da się jéj spojrzeć: o cudo! widzi przed sobą tego samego swojego koguta, tylko mu rogi na głowie urosły, i tak jakoś dziwnie się zmienił, że od razu poznała, iż to był djabeł. Przestraszona nie wiedziała co począć, gdy w tém on pokornie ludzkim do niéj przemówił głosem, prosząc aby mu dorowała życie, a on jéj za to obiecywał nasypać pełen fartuch złota, pod jednym tylko warunkiem, aby idąc na powrót nie obejrzała się za siebie ani razu. Ośmielona, przystała na wszystko; a gdy jéj djabeł według obietnicy pełną zapaskę złota nasypał, wracała do domu nie oglądając się za siebie według umowy. Ale gdy już była na ostatnim schodzie piwnicy, ciekawość kobieca przemogła i obejrzała się. W téj saméj chwili drzwi zatrzasnęły się z hukiem, ale jéj już tylko piętę urwały, a ona ocalała. Z początku myślała, że djabelski podarunek, jak to zwykle bywa, przemieni się niebawem w śmieci lub zarzewie; gdy jednak z czasem przekonała się, że złoto zawsze jest złotem, dla odjęcia mu mocy czartowskiéj, fundowała za znaczną część jego kaplicę u Panny Maryi, w któréj niedawno jeszcze miało być całe to zdarzenie odmalowane. Dzisiaj zniknął ten obraz, a nawet pewność, którą ona to kaplicę fundowała, i cała ta powieść w ustném tylko podaniu istnieje, a nader jest powszechną w okolicach Krakowa.

Zamek krakowski.

Mieli królowie polscy zamki w Gnieźnie, Poznaniu, Warszawie, Wilnie, Płocku, Knyszynie, Łobzowie, Niepołomicach, Wilanowie i t. d., ale żaden z nich ani jest tak pamiętny, ciekawy i starożytny, ani ma tak piękne położenie, jak zamek królewski w Krakowie.

Nad smoczą jamą, na wysokiéj nad Krakowem wznoszącéj się górze skalistéj Wawelem zwanéj, u któréj stóp szumią fale Wisły, stoi starożytny gmach, wspaniały zamek, niegdyś siedlisko książąt i królów polskich. Podanie niesie, że pierwszy Krakus zamek na miejscu tém wystawił. Już z dala zadziwia

gmach ten podróżnego swą okazałością, już z daleka poznajesz, że ogromny ten zamek, panujący nad całém miastem, tylko królów mógł być mieszkaniem.

»Wielu władzców europejskich *) mogli w świetniejszych przemieszkiwać gmachach, a przepychem dworu, wytworem sprzętów, zbytkiem stołu, górować nad skromném życiem królów naszych, którzy w czasie wojen trudom obozowym nawykli, w chwilach pokoju wzorem życia obywatelskiego stawali się; lecz pewno żadnego panującego mieszkanie piękniejszém nie odznaczyło się położeniem, jak zamek krakowski monarchów polskich. »»Okolice zamku królewskiego w Krakowie wystawiają najweselszy widok, jaki w Europie znaleść można,«« powiedział pewien nieznajomy pisarz niemiecki. — Kto pierwszy z nich (z monarchów polskich) rzekł: tu mieszkać będę!... kto pierwszy zakreślił obwód przyszłego pałacu, samym wyborem miejsca dowiódł, że był pięknéj natury znawcą i miłownikiem. Wzniesiony nad stołeczne miasto, które zaległo u stóp skalistego Wawelu, oblany spławną rzeką, okrążony do koła roskoszną płaszczyzną, cudnemi widokami na dalekie okolice, na niebotyczne Tatry, na żyzną biegiem Wisły przerzniętą i sielskiemi osadami zaludnioną przestrzeń, uderza, zajmuje i zadziwia. Miło pomyśleć, że każdy rzut oka na tak malowną krainę oczy i serca królów naszych zachwycać musiał.

»Z licznych i wielkich gmachów składał się niegdyś zamek krakowski, a jak Cellarius pisze, z rozległości swéj raczéj do miasta niż zamku był podobny. Teraz najznakomitszą jego częścią jest kościół katedralny, a całą powierzchni Wawelu przestrzeń, od południowéj i zachodniéj strony, otacza mur i baszty czyli wieże zadziwiającéj wysokości, które bywały więzieniami, a na które patrząc, od przyznania wyższości starożytnemu budowaniu nad teraźniejszém, wstrzymać się niepodobna. Wewnętrz tego obwodu były dwa kościoły, ś. Michała i ś. Jerzego, fundacyi Kazimierza W., które za austryackiego panowania rozebrano: pozostało się tylko kilka domów, a pomiędzy temi gmach Psałteryi, fundowany przez Jana Długosza.

»Właściwy pałac królewski, zajmujący blisko trzecią część

---

*) Kraków i okolice Ambrożego Grabowskiego.

powierzchni Wawelu, formują gmachy o dwu piętrach galeryami opasanych, stojące w czworobok około dziedzińca znacznéj obszerności będącego w środku, a gmachy te, chociaż im czas dawną świetność wydarł, jeszcze wymownie świadczą, że były królów siedliskiem.

»Wszedłszy na zamek krakowski, niepodobna jest patrzyć na te szanowne obaliny, aby się nie przenieść myślą do czasów dawnéj świetności i nie doznać trudnego do opisu wzruszenia. Upłynione wieki otaczają tu przychodnia bolesnemi przypomnieniami, — a zgasła chwała zdaje się, że połyska jeszcze bladym promieniem na tych zanikłych pomnikach wielkości. Gmach ten przedstawia nam obraz smutnego igrzyska czasu i dziwactw losu..... koleją bywał on albo miejscem świetnych uroczystości, przybytkiem gdzie przebywała wspaniałość majestatu; — lub ostatnim przytułkiem boleści i niedoli. U bram i drzwi podwojów jego stały bogato-strojne straże, liczni dworzanie i wspaniałe przesuwały się towarzystwa; lub w przemianie czasu tłoczyli się przez nie chorzy, kaleki, usługacze szpitalni i nędzarze *).... Starożytne, w wielkie wspomnienia bogate, lecz upadkiem grożące mury jego, musiały się stać łupem zniszczenia, skoro tak dawno od panujących opuszczone zostały, a mianowicie od chwili gdy Zygmunt III. na początku XVII. wieku stolicę państwa do Warszawy przeniósł..... Na próżno strudzone oko szuka tu wspaniałego mieszkania królów, gdyż je zniszczyły czas, zaburzenia wojenne i zmiany polityczne w kraju, tak iż dawnego tychże stanu ani śladów dopatrzyć się nie można. — Powszechnie jest wiadomém, że zamek krakowski za wielki pomnik dziejów narodu uważanym być może, i że mury jego świadkami były niemal wszystkich przeważnych dzieł królów naszych. Tu stanowiono prawa, tu się odbywały sejmy narodowe, koronacye, obrzędy zaślubin i pogrzeby królów; tu przyjmowani byli gościną obcy monarchowie, słuchane ich po-

*) Za rzeczypospolitéj krakowskiéj jedno skrzydło czworoboku składającego zamek królewski oddano pod zarząd towarzystwa dobroczynności, które tu przeszło 300 ubogich wiekiem lub kalectwem przyciśnionych utrzymywało. Tym sposobem gmachy te, przez różne przeszedłszy koleje, stały się wreszcie nędzy ludzkiéj schronieniem. Dziś zamek jest ufortyfikowany i stał się koszarami dla wojska.

selstwa, zawierane sojusze; tu aż do ostatniego rozbioru kraju, był skład klejnotów korony i t. p.....

»Sławna w dziejach bajecznych Polski *smocza jama* w skalistem łonie Wawelu ręką przyrody wydrążona, znajduje się od strony zachodu (od Wisły). Dawne wnijście od niéj w roku 1831 przy regulacyi powierzchni około murów zamku zagubione, w r. 1842 przywrócone, a nawet i nowe daleko wspanialsze otwarte zostało. Ma ona kilkadziesiąt łokci długości i znaczną zajmuje przestrzeń: jest suchą a przez szczególne ukształcenie sklepienia, może dla postrzeżeń geognosty pokazałaby się ważną, tak, jak z powodu wiążącéj się do niéj starożytnéj powieści o Krakusie i smoku uwagę ciekawych na siebie zwraca.

»Z całego dawnego przepychu zamku krakowskiego utrzymał się tylko bez uszkodzenia kościół katedralny, przez czas i niszczącą rękę dotąd ze wszelką omijany ochroną. Nie tyle wprawdzie obiecywać sobie można z skromnéj jego powierzchowności; lecz za to zachwyca tem bardziéj niespodziewaną wewnątrz pięknością....«

Katedra na Wawelu, najwspanialsza świątynia w Polsce, mieszcząca w murach i grobach swoich najdroższe pamiątki narodowe, Bazylika, do któréj tyle jest przywiązanych wspomnień historycznych, z któréj kilka razy do roku jęczy rozgłośnie potężny dzwon Zygmunt, gdzie dotąd Łokietka, Kazimierza Wiel., Jadwigi, Jagiellonów, Sobieskiego, Kościuszki leżą popioły, na osobny szczegółowy zasługuje opis, który w następnym poszycie *Szkółki* podamy. W r. 1804 miał być projekt, aby groby królów z katedry wynieść i obrócić tę starożytną świątynię na kościół garnizonowy; w słusznem rozżaleniu z tego powodu mówi Staszic*): »Obyć im ten przynajmniéj został opoczyska kęs, i na nim pokój i cześć!... Szanujcie ich popioły, aby i wasze kiedyś szanowano.«

Jak wszystkie najdawniejsze budowy w Polsce, tak niezawodnie i zamek krakowski początkowo wystawiony był z drzewa, prosty, skromny, jak skromném i prostém było życie naszych przodków i dawnych królów. Lecz gdy z czasem na dworze

*) O ziemiorodztwie gór.

książąt naszych miejsce dawnéj prostoty wytworniejsze zajęły obyczaje (mówi A. Grabowski), Bolesław Wstydliwy w r. 1265 starożytny zamek rozprzestrzenił, i stósownie do ówczesnego stanu sztuki wojennéj umocnił, a dla pomieszczenia licznego już natedy dworu, gmachami całą górę zabudował.

Wacław, król polski i czeski, przydał jeszcze wysokie wieże i mury zamek otaczające.

Za panowania Władysława Łokietka cały zamek krakowski z wieżami, pałacem i wszelkiemi gmachami z drzewa wystawiony, w czasie pożaru około Wszystkich Świętych wszczętego, który się aż na górę Wawel rozszerzył, do szczętu spłonął *).

Dopiero Kazimierz Wielki gmach zamkowy murowany podniósł, takowy przyozdobił i wzmocnił. Najpodobniéj (mówi A. Grabowski), że budową Kazimierza W. jest część zamku od strony wschodniéj, przytykająca do pawiloniku kurzéj stopy, cała z ciosu.

Ponieważ mury otaczające zamek zbyt były niskie, przeto za wolą Władysława Jagiełły r. 1393 wysokości ich nadłożono. Jagiełło »tóż i burgrabiów przyczynił, aby byli jako stróże zamkowi, i mieli w pogotowiu zawzdy jezdne służebne z strzelbą na zamku.« **) Aż do rozbioru Polski było takich burgrabiów dwunastu.

Do czasów Zygmunta I. zamek krakowski w tak wielkie popadł spustoszenie, iż na zamieszkanie królów wcale stał się niesposobnym, tym bardziéj, że go znów i pożar uszkodził w r. 1500. Zygmunt Stary przyzwał r. 1512 budowniczych włoskich, zamek znów do porządnego przywiódł stanu, stronę od zachodu z fundamentów nowo postawił i inne ściany. Używano przy budowie téj jeńców tatarskich. Współczesny świadek, J. L. Decius, tak pisze: »Zygmunt I. zamek krakowski nowemi budowami w ciągu 10 lat, nakładem wiarę przechodzącym podniósł. Dwa pałace szczególnym i własnym pomysłem z fundamentów postawił, tak dalece, że nie wiedzieć co podziwiać, czy królewską wspaniałość w budowniczym, czy bystrość talentu budowniczego w królu. — Pod ziemią piwnice,

---

*) Długosz.

**) J. Bielski.

a na powierzchni wznieść kazał łuki, między któremi różne mieszkania są urządzone, a zwłaszcza miejsce, gdzie skarbiec i straż jego. Przytém jest i mieszkanie wielkorządzcy, co wszystko otaczają wielkie słupce kamienne, na których obłąki sklepień są wsparte.« — O wewnętrznéj ozdobie pokojów królewskich tak mówi: »jest mieszkań siedm, osobliwego kształtu, a te są obyczajem włoskim w górze różami złocistemi upięknione; i śmiało powiem, że gdy król jeszcze dwuch części (skrzydeł) dokończy, aby gmachy zupełny czworobok kształciły, do czego już są wszystkie potrzeby przysposobione; tedy nigdzie pałacu królewskiego temu podobnego nie będzie.«

Pałac ten zaledwie stanął w okazałości królewskiéj, ledwo go Andrzéj Kościelecki, wielki podskarbi koronny, zdążył wewnątrz ozdobić, tak że był przedmiotem podziwienia cudzoziemców, gdy go na nowo w r. 1536 pożar zniszczył, właśnie kiedy król z całą rodziną w Wilnie przebywał.

Znowu go trzeba było z gruzów dźwigać. Odbudowanie prowadził Seweryn Bonar, kasztelan biecki, i r. 1537 zawarł w téj mierze umowę z budowniczym królewskim Bartłomiejem Florentczykiem.

W r. 1549 znów wszczął się ogień w południowéj części zamku, i nowém mu jako i kościołowi kadedralnemu ołowiem pokrytemu niebezpieczeństwem zagroził. Świadkiem był pożaru z przelęknioną królową Barbarą Zygmunt August, i jego to obecność oraz czynny ratunek ludzi zamkowych płomienie ugasiły.

Za Zygmunta III. zamek krakowski znowu, dwa razy nawet w jednym roku, gorzał. Pisze naoczny świadek: »1595 r. 29. stycznia stał się żałosny przypadek, iż część zamku krakowskiego zgorzała od kurzéj nogi na tę stronę, która ku kościołowi się chyli, aż po pierwszy szczyt: a obronion jest cudownie, gdyż wielki i niebezpieczny był ogień....« Niedługo potém, właśnie w tę porę, kiedy rodzina królewska mieszkała w Łobzowie, dnia 9. czerwca 1595 r., t. j. w tę właśnie noc, która dzień narodzin królewicza Władysława IV. poprzedziła, nastąpił drugi pożar szkodliwszy od pierwszego, w którym ta sama część zamku do szczętu spłonęła.

Zygmunt III. w tym samym roku »wezwawszy najcelniej-

szych budowniczych i malarzów, daleko wspanialéj tenże wyreparował, miedzią pokrył (któréj dostarczył z swéj kopalni Jerzy Radziwiłł, kardynał i biskup krakowski), bramę oraz i nową wieżę od strony miasta, ku ozdobie i razem obronie służyć mającą przybudował; pokoje zaś nowe tak przyozdobił, że piękniejszych i wspanialszych nigdzie widzieć nie można.«

Póki Kraków był stolicą królów, utrzymywał się zamek krakowski w dawnéj wspaniałości, lecz gdy Zygmunt III. przeniósł stolicę z Krakowa do Warszawy, przestał być przedmiotem troskliwego baczenia królów i zaczął podupadać, jak każdy dom, w którym gospodarz nie mieszka. Łożyli jeszcze następni królowie, jak Władysław IV., Jan III. i inni koszta na reparacye zamku, ale te nie starczyły i nie mogły mu już powrócić dawnéj świetności; następne wojny szwedzkie więcéj go jeszcze niż czas wszystko trawiący zniszczyły.

W r. 1649, kiedy zwłoki króla Władysława IV. do grobu przodków jego w katedrze spuszczono, a w dwa dni potem nastąpiła koronacya nowego króla Jana Kazimierza, i gdy tenże 18. stycznia po przyjętéj przysiędze od mieszczan na rynku krakowskim powrócił na zamek i usiadł do wieczerzy, wszczął się pożar w wieży pałacowéj, pokrytéj miedzią; gaszenie było niepodobne, bo topiący się kruszec wzbraniał przystępu, i pożar zrządził wielką na zamku szkodę.

Gdy w r. 1655 wtargnął do Polski Szwed i kraj pustoszył, uległ nowemu zniszczeniu i zamek krakowski. Na reparacyą jego wyznaczono potem sumy, ale czy go odnowiono, nie jest wiadowem.

Kiedy powtórnie Szwedzi pod Karolem XII. Polskę łupili i niszczyli, nie ochronili i zamku krakowskiego. Stało w nim wojsko szwedzkie; chorzy Szwedzi, którzy tam leżeli, palili ognie na posadzce i ztąd się wszczął pożar dnia 15. września 1702. Erazm Otwinowski w pamiętniku swoim tak o tem pisze: »Gdy król szwedzki stał z wojskiem pod Krakowem, jenerał Szteinbock spalił zamek krakowski, t. j. wszystką rezydencyą królewską i owe wyśmienite pokoje, galanterye i staroświecczyzny niewymownie piękne: tylko jedna izba pod głowami została na rogu, którą szczyt murowany między dachami obronił. A gdy się ogień ku kościołowi katedralnemu

i dużo wzmagał, dopiero wtenczas poczęli Szwedzi gasić pożary haniebne. Czy umyślnie zamek zapalono? o tém niemożna się było dowiedzieć; dosyć na tém, że spalono i na kilka milionów szkody stało się.« — »O godzinie trzeciéj, pisze ktoś inny świadek naoczny, już kurza stopa po sam skarbiec i dachy i okna wierzchnie zgorzały. Przy nas dziwujących się srodze, stragarze zapadły i kilku znacznych oficerów zabiły. Kościół katedralny obroniony został i izba poselska. Lubo zrazu nie puszczono ludzi do bronienia, ale potém otwierano brony (bramy) i w Zygmunta (wielki dzwon w katedrze) na gwałt dzwoniono, aby zabiegli ostatniéj ruinie. Gorzał ten zamek do 22. września« (od 15go).

Między rokiem 1726 a 1732, za panowania Augusta II., na nowo zamek odbudowano. Potém znów opuszczony, zaniedbany, coraz więcéj podupadał; Stanisław Poniatowski zwrócił na niego swą uwagę, przeznaczył coroczny fundusz na jego reparacyą, ale skończyło się tylko na odświeżeniu pokojów drugiego piętra i na obwarowaniu go od strony zachodniéj.

Tadeusz Czacki tak w r. 1791 o zamku krakowskim w raporcie do króla pisze: »Zamek ten, gdzie w czasie sławy i potęgi Polski, każdy prawie pokój przypominał w swoich ścianach stworzoną w dziejach naszych epokę, godzien jest, aby rządową baczność zastanowił. Budowa ta, przemagająca władzę czasu swoją trwałością, przez siedm wieków stawiana, pomnażana i utrzymywana, w krótkim czasie zmieni się w zwaliska, gdy władza krajowa swojéj do niéj nie zbliży rozwagi.«

W następnym lat biegu powyjmowano z zamku krakowskiego marmurowe kominki, okna, odrzwia i wszelkie ozdoby, zamurowano wspaniałe wielkie okna i przemieniono go w koszary dla wojska. Zewnętrzne mury i baszty, czyli wysokie wieże stoją poczęści dotąd i świadczą o dawnéj jego okazałości. Dziś nowo i ozdobnie jest ufortyfikowany.

»Przeszłéj gmachu świetności mały został szczątek,
»On świadek sławy przodków....., skład dawnych pamiątek....
»W smutnych jego zwaliskach przeszły blask jaśnieje;
»Ojców swoich Polacy w nim czytają dzieje.«

Zamek krakowski (słowa Amb. Grabowskiego *) jest zaiste

*) Starożytnicze wiadomości o Krakowie. 1852.

najznakomitszym gmachem na przestrzeni dawnéj Polski.... Żadna budowla na ziemi naszéj nie miała nigdy tak ścisłego spojenia z dziejami narodu, jak mury tego pałacu.... W nim jak w sercu ludzkiém, najsilniéj wybijało życie kraju.... Pociechy i smutki ojców naszych, najwcześniéj odbijały się echem o ściany komnat jego,.... a mimo całéj dziejowéj ważności, zbyt mało znane są szczegóły o dawniejszym jego stanie..... Przeszły nad nim chmury brzemienne burzą, a przecież nie ugiął wspaniałego czoła, i zewnętrznie całość jego uszanowana.... Ale wewnętrz!.... świetność jego w skutek wielokrotnych przekształceń aż do najmniejszych śladów zatarta.«

»O gdybyż dawne wróciły się czasy,
»W których mówiły rzeki, góry, lasy,
»Spytany Wawel o dawniejsze losy
»Wysnułby powieść jak z karty kroniki:
»Jakie na niego uderzały ciosy,
»Jak u stóp jego były napastniki;
»Jak tu swe oddawali lennicy pokłony,
»Jak ztąd ludy władczynie, króle brali żony;
»Jak dwór świetny ożywiał grodu tego ściany,
»Gdy w nim mieszkał król chłopków, Każmierz Wielkim zwany.«

Zamek krakowski nigdy nie był połączony z miastem, zawsze część od miasto oddzielną stanowił. Władysław Łokietek, Władysław Jagiełło, dali mieszczanom krakowskim przyrzeczenie w przywilejach, że zamku nigdy murami z miastem Krakowem łączyć nie będą.

Smocza jama, nad którą wznosi się zamek, była niegdyś zamieszkiwana. Tak n. p. roku 1561 mieszkała w smoczéj jamie jakaś Anna, jak o tém świadczą akta miejskie Krakowa.

Baszty czyli wieże w murach otaczających zamek krakowski nazywały się: wieża senatorska, tęczyńska, szlachecka, panieńska albo kobieca, sandomierska i złodziejska.

»Lud muzułmański zbiega się zewsząd do świętego grobu proroka, dla każdego Polaka daleko świętszą jest góra Wawelu. W Mece tylko jeden grób Machometa, na Wawelu groby tysiącznych i najdroższych pamiątek. Na téj ziemi i murach

zarysowały się dziesięciowiekowe dzieje potężnego ludu, a jeżeli dłoń jego sięgała Dniepru i mórz odległych, serce jednakże biło na Wawelu. Czas, zaburzenia wojenne i ręka ludzka zniszczyły ten przybytek narodowy. Niema tu już śladów izby, gdzie się opierały filary tronu Jagiełłów, przed którym książęta Prus, Pomorza, Kurlandyi i wojewodowie wołoscy hołdy składali, gdzie największe mocarstwa Europy związków i przyjaźni, słabsze zaś protekcyi i wsparcia szukały. Ani dojść można, gdzie była komnata Jadwigi, tajemny świadek jéj poświęcenia i modłów; gdzie Elżbieta, Kazimierza Jagiellończyka żona, czterech wykołysała królów, gdzie nakoniec Barbara z światem się rozstała, do którego przez węzły najsłodsze miłości przywiązana była. Dwa tylko sławne w dziejach pozostały pokoje, to jest: izba senatorska sądowa i komnata przybudowana przez Zygmunta Augusta, kurzą stopą zwana. W pierwszéj pozostało jakie takie wyobrażenie dawniéj używanych sufitów: jest to pułap z belek misternie złoconych i malowanych, a między niemi są wyrabiane sztuką snycerską różne ozdoby, zwykle w czworoboki; sto było takich czworoboków, a w środku nich wychylało się sto głów męskich i niewieścich kształtu rozmaitego w kolorach naturalnych. Komnata kurzą stopą zwana jest w wieżyczce na wschód położonéj; nad jéj oknami są herby rzeczypospolitéj. Nazajutrz po przesilenia dnia z nocą pierwsze światło słoneczne rzuca promienie swe na tę wieżę, nie odbijającą ich przez zimę całą i oświeca orła i pogoń, a ztąd to podobno pochodzi, że już przybyło dnia na kurzą stopę.« *)

O kurzéj stopie mówi A. Grabowski, że jest to pokoik mały o sześciu oknach, z których trzy zamurowano. Widoku z tego pokoju na trzy strony, na okazałe miasto, rozległe przedmieścia i roskoszną okolicę, ani pędzel, ani pióro dokładnie nie określi.

O jednéj z komnat zamku krakowskiego, o komnacie *Senatorskiej,* jest takie podanie. W niéj wybrani senatorowie sądy swe odprawiali. Owóż, że to przecież byli ludzie, trafiło się jednego razu, iż niesprawiedliwy sąd wydali. Trzeba

*) Starożytności polskie.

zaś wiedzieć, że owa komnata nader ozdobnie była przybrana, a na jéj pułapie, w kwadraty udatnie podzielonym, z każdego kwadratu wyglądała misterną robotą rzeźbiona głowa. — Otóż gdy już ów sąd mieli ogłosić, jedna z tych głów ozwała się ku nim, wyrzucając im na oczy ich niesprawiedliwość, czém przerażeni pomiarkowali się, natychmiast wyrok zmienili i rzecz całą jak najsprawiedliwiéj powtórnie osądzili.

Podanie o podziemnych komnatach w zamku krakowskim.

Smutny dziś stoi Kraków stary: ni tam dworscy ludzie na krakowskim zamku się uwijają, ni tam wieczorem świecą się rzęsiste światła w zamku królewskim; ni tam na rynku ujrzysz zbrojnego rycerza, hetmana na dzielnym koniu, sędziwego senatora. Śpią w grobach dawni królowie polscy, hetmani, rycerze i senatorowie, a stary Kraków smutny stoi.

W zamku krak. chyba wiatr oknami świszcze i żałośnie jęczy po dawnych komnatach królewskich. Ale tam gdzieś głęboko pod najgłębszém sklepieniem jest jeszcze drugi gród podziemny, niby drugi zamek królewski. Gród ten podziemny nie taki cichy, nie taki smutny, nie taki głuchy i grobowy, jak ten gród nad ziemią, co go ludzie widzą; tamten w głębinach pod zamkiem jest jasny, wesoły, a tak wspaniały, bogaty i strojny, jak ten nad ziemią niegdyś był.

W onym podziemnym grodzie jest wielka świetlica, duża jak kościół. A na ścianach jéj wiszą stare zbroje, tarcze, szable i chorągwie. W środku świetlicy stoi wielki stół, a za tym stołem siedzą wszyscy dawni królowie, siedzą w szatach strojnych, jakby na tronie w dzień koronacyi swojéj. Siedzi za stołem ojciec królów polskich, siedzi w złotéj koronie sędziwy Bolesław Chrobry ze Szczerbcem swym w dłoni; siedzą wszystkie Mieczysławy, Bolesławy, Kazimierze, Władysławy, Jagiellonczykowie, Zygmunty, Batory, Wazowie i Augustowie; siedzi między królami za stołem piękna młoda królowa Jadwiga, w złotych szatach i drogich perłach. Co tam w tym podziemnym grodzie ci królowie robią? nad czém radzą?

Tylko raz w rok, o saméj północy, słyszą ludzie głuchy

podziemny huk z dział i moździerzy, rżenie koni, trąby i wrzawę, a wtedy jeden z królów, pono on stary ojciec Bolesław zwany Chrobrym, wychodzi z podziemnego głębokiego grodu, i przebiega żelaznym krokiem duże dziedzińce zamkowe, a w ramieniu świeci mu Szczerbiec, niby miecz anioła. Gdy się kto z ludzi śmiertelnych z nim spotka, a dobry człowiek, wtedy zobaczy króla ojca Chrobrego, i w sercu zrobi mu się lekko i wdzięczno; lecz gdy jest zły człowiek, to wielkiego Bolesława nie zobaczy, ale zdejmie go taki strach, że w mózgu mu się zakręci, i padnie na ziemię.

Tak więc pod zamkiem krakowskim, w podziemnym głębokim grodzie, w onéj dużéj świetlicy jasnéj, ozdobionéj zbrojami, tarczami, staremi szablami i chorągwiami, żyją dawno zmarli królowie nasi. Tak o tém prawią górale i Krakowiacy przy wieczornych pogadankach, w których pamięci królowie polscy żyją dotąd. *E. E.*

WIT STWOSZ,

rzeźbiarz krakowski z wieku XV.

Wiek XV., wiek szczęśliwie panujących Jagiellonów, był jednym z najświetniejszych w dziejach polskich; poprzedził on wiek złoty. W XV. wieku Polska wzrosła w ogromne, bogate, oświecone i szczęśliwe państwo; rozszerzyła się od morza Czarnego po Bałtyk, od Odry po Dźwinę i aż za Dniepr. Zażywając długiego pokoju, doczekała się najpomyślniejszych czasów. — Z otworzeniem się handlu zbożowego do ujścia Wisły i Dunaju, pomnożyły się wszystkich klas ludzi dochody i dostatki. Bogata szlachta i mieszczanie ubierać się poczęli kosztownie, w bogate sobolowe futra, aksamity, adamaszki i inne tęgie bławaty, złotem i różnemi kolorami mocno i gęsto haftowane. — I mniéj zamożni mieszczanie i kmiecie lepszym cieszyli się bytem. Widziano, jak dobre sukno, pięknie potrzebami i petlicami przeszywane, kutasami ozdobione odziewało mężczyzn, a jedwab i bawełnica wiejskie kobiety i mieszczki. Widziano na stołach ludu mięsiwo. Pomnożona uprawa pszenicy na tłustych gruntach dostarczała ludowi bułek. Szkło krajowe pod naj-

niższą ukazało się strzechą. Chaty opatrywano w piece i kominy. *)

Przy takim ogólnym dostatku ludzie ze wszystkich klas poczęli dbać o to, aby umieli czytać i pisać. Widziano ubogich, szlachtę, mieszczan i kmieci do szkół uczęszczających i sposobiących się do użyteczniejszego życia; ztąd nietylko z uboższéj szlachty, ale i z mieszczan i kmieci wykształciło sie wielu zacnych i krajowi pożytecznych obywateli. Niejeden z nich wyszedł wysoko na prałata, biskupa, zasiadł senatorskie krzesło. Sławny w owym wieku poeta Janicki Klemens był rodem wieśniak; poeta i biskup Dantyszek był synem powroźnika; historyk i biskup Kromer, uczony Grzegórz z Sanoka i wielu innych znakomitych ludzi z niskiego pochodziło rodu.

W wieku też XV. Polska stanęła między najoświeceńszemi narodami, pierwsze miejsce godnie zajęta po Włochach. Uczeni Polacy i dzieła Polaków znane były w całéj Europie. Akademia krakowska jako gwiazda jasna przyświecała Polsce i innym narodom; jak świadczy Kallimach, do 10,000 uczniów w naukach w niéj się ćwiczyło. Wydała uczonych, których nam inne narody *zazdroszczą*, jak Kopernika, Długosza, Grzegórza z Sanoka, Jana Kantego, i tylu innych wsławionych mężów.

Nietylko w naukach ale i w sztukach pięknych Polacy już w owe czasy się doskonalili. Nie dosyć wszakże jeszcze te czasy zbadane i poznane pod względem budownictwa, rzeźbiarstwa, malarstwa i muzyki; lecz są liczne ślady i dowody, że piękne budownictwo, rzeźbiarstwo i malarstwo nie tylko były Polakom już znane, ale że w nich nawet słynąć już wówczas musieli. Między innemi potwierdzają to piękne dzieła wielkiego rzeźbiarza Wita Stwosza, Krakowianina, którego tu krótki podaję opis życia, podług badań Ambrożego Grabowskiego, rozrzuconych po różnych jego dziełach o Krakowie. **) Panu A. Grabowskiemu należy się ta zasługa, że nam dał poznać tego wiel-

*) Lelewel.

**) Oto są szacowne prace A Grabowskiego, podług których ułożyłem biografią Wita Stwosza: *Kraków i okolice*, wydanie czwarte 1844. — *Starożytności historiczne polskie*, 1840. — *Starego Krakowa zabytki i różne pamiątki*, 1850. — Starożytnicze wiadomości

kiego rzeźbiarza, że w aktach i pomnikach krakowskich odkrył jego imię, nazwisko, ród, historyą życia i zapoznał nas z jego dziełami, które są przedmiotem podziwienia znawców krajowych i zagranicznych. Być może, że jeszcze niejeden wielki malarz, rzeźbiarz, budowniczy, urodzony w Polsce, zapomniany, nieznany dotąd, czeka tego, który go ma szczęśliwym trafem wydobyć z zapomnienia i dać poznać rodakom.

Wit Stoss, czyli Veit Stos a raczéj Stwosz, urodził się w Krakowie r. 1447. Pochodzenie jego krakowskie coraz staje się pewniejszém, widoczniejszém; wsparte jest bowiem na blisko podobnych nazwiskach mieszczan krakowskich, o wiele lat go poprzedzających. Wiadomo zaś, że w owych czasach ortografia wcale nie była ustalona, i że jedno i to samo nazwisko często w różny sposób pisano. Nazwiska więc Stochse, Stoss, Stosz, Stocz, Stosh, które w ówczesnych aktach krakowskich się napotykają, mogą jeden tylko ród, jednę familią oznaczać, z któréj bardzo prawdopodobnie nasz rzeźbiarz Wit Stwosz pochodził.

Dziś już nietylko Polacy ale i Niemcy, którzy jak Kopernika tak i Wita Stwosza przywłaszczyć sobie chcieli, przekonali się i przyznali, chociaż jeszcze nie wszyscy, że mistrz ten urodził się w Polsce, w Krakowie, i nazywają go *Veit Stosz der Pole, Veit Stosz aus Krakau.*

Kto był mistrzem, nauczycielem Wita, i gdzieby się tenże w kuszcie rzeźbiarskim sposobił, o tém dotychczas nie ma żadnéj wiadomości. Ale jak Kopernika nauczycielem był Polak, sławny matematyk i akademik krakowski Wojciech z Brudzewa czyli Brudzewski, tak może się jeszcze z czasem wykryje, że i Wita Stwosza mistrzem był jaki biegły rzeźbiarz Polak, osiadły w Krakowie, w stolicy J a g i e l l o n ó w, którzy wspierali w kraju nauki i kunszta, jak o tém świadczą starożytne pomniki Krakowe dotąd przechowane i te, o których tylko wiadomość do nas doszła. — Możnaby to za bliskie prawdy przy-

o Krakowie, 1852.— *Skarbniczka naszéj archeologii*, 1854.— *Ogrójec, płaskorzeźba w kamieniu Wita Stossa*, rozprawa umieszczona w piśmie: Starożytności i pomniki Krakowa, wydawaném przez J. Łepkowskiego.

jąć, — mówi A. Grabowski — że Wit uczył się sztuki rzeźbiarskiéj w Krakowie, bo i dałby się wniosek ten poprzeć dowodem, że już na wiele lat przed nim posiadał Kraków biegłego rzeźbiarza, który r. 1453 wydłótował w kamieniu piękną płaskorzeźbę, umieszczoną i dotąd utrzymującą się w przodowéj ścianie Bursy Jeruzalem z napisem gotyckiemi głoskami, któryto rzeźbiarz mógł być nauczycielem Wita i jednym z tych, których imiona z dodaniem snycérza zamieszczone są w ówczesnych aktach miasta Krakowa. W wieku XV. i następnych dość dużo znajduje się osiedlonych w Krakowie rzeźbiarzy, a szczególnie malarzy, którzy to niezawodnie trudnili się już to wyrobem posągów świętych i ornamentów kościelnych, już téż malowaniem obrazów, a wielka liczba świątyń w Krakowie nastręczała im zapewne dostatek zatrudnienia.

Niemal za pewne przyjąć się godzi, że zanim Wit przystąpił do wypracowania wielkiego dzieła, wielkiego ołtarza w kościele Panny Maryi, tudzież pomnika grobowego Kazimierza Jagiellończyka, wprzód już biegłości swéj złożył dowody. Ale te pierwsze prace jego może na zawsze zaginęły n. p. w czasie pożarów, może je wywieziono za granicę i zatajono imię artysty, a może jeszcze gdzie po prywatnych domach i po różnych kątach się znajdują, i jeszcze kiedyś odszukanemi zostaną.

Edward Rastawiecki w słowniku malarzów polskich pisze, że w Niemczech, w posiadaniu prywatném, dochowały się różne wypukło-rzeźby Wita Stwosza, wyobrażające zdarzenia z życia króla Salomona.

A. Grabowski powiada, że posiada także małą płaskorzeźbę, przedstawiającą ś. Stanisława jak wskrzesza Piotrowina, — i drugą grupę z dwóch figur wyobrażającą chrzest J. Chrystusa; rzeźba ta ma być pięknych zalet, układem i fałdowaniem wielce do szkoły Wita zbliżona, która od lat dawnych była w posiadaniu rodzin miejskich krakowskich. Pan Grabowski domyśla się, że dwie te rzeźby mogły także wyjść z pod dłóta Stwosza. — Dla czegożby więcéj podobnych dzieł pomniejszych po naszym rzeźbiarzu nie miało się w Polsce znajdować?

P. Grabowski domyśla się, wsparty na aktach miasta Krakowa, że Wit Stwosz mieszkał w domu narożnym w ulicy

Grodzkiéj, po prawéj ręce wchodząc w ulicę Poselską pod znakiem słonia Nr. 197, który to dom kupił r. 1481 za 300 złt. węgierskich od Zofii Leymiterowéj. W tym to domu prowadził on dalsze prace rzeźbienia wielkiego ołtarza kościoła Pany Maryi, już wcześniéj w inném miejscu zaczęte.

Z Krakowa przeniósł się Wit Stwosz w r. 1500 do Niemiec, do miasta Norymberga, gdzie zdaje się zyskowniejsze i obszerniejsze otworzyło się dla niego pole działania, a jak się domyślają, przesiedlił się do Norymberga dla roboty około grobowca św. Sebalda, do którego już za poprzedniéj swéj tamże bytności około roku 1486—1488 podał wspaniały rysunek (Entwurf) dzieło to, lecz wówczas dla wielkich kosztów do wykonania przyjść nie mogło.

Wit Stwosz posiadał w Norymbergu największą pracownię rzeźbiarską i wywierał wpływ na prace Piotra Vischera, najsławniejszego odlewnika w Niemczech, dla którego jak się zdaje, wiele robił modelów. Niemcy przyznają, że nawet sławny grobowiec ś. Sebalda w Norymbergu, najznakomitsze odlewnicze dzieło Vischera, wskazuje, że i tu wzorem Vischerowi był rysunek (Entwurf) Wita, który to rysunek dotąd się przechował. Jest na nim monogram Stosza, oraz r. 1488.

Zdaje się, że Wit w Krakowie owdowiał i tu zostawiwszy dzieci, wdowcem z Polski się wydalił. W Norymbergu pojął za żonę Barbarę Hersin.

Stwosz żył bardzo wstrzemięźliwie, nie używał wina, dożył lat 95; w późnych latach ociemniał; umarł około r. 1534. Zwłoki jego spoczywają w témże mieście, na cmentarzu kościoła ś. Jana, tam gdzie spoczywa Albert Dürer i inni mężowie w sztukach pięknych słynni. Na grobie Wita leży wielki płyt kamienny z bronzową tablicą, na któréj jest następujący napis:

Veit Stosz und seine Erben, auch
Hansen Keczler und
Hansen Karner und Iren
Erben Begrebnisz. 1591.

Stwosz miał podobno czterech synów: Stanisława, Marcina, Wita i Filipa, z których dwaj pierwsi mieli pracować w rzeźbiarstwie i pozostali w Krakowie, gdy ojciec ich przeniósł się do Norymberga; dwóch zaś młodszych wziął ojciec

ze sobą do Niemiec, gdzie się uczyli sztuki pięknego pisania, (kalligrafii), poczem weszli w służbę cesarza Maxymiliana II., i dla pięknego pisma szlachectwem zostali obdarzeni.

Stanisław Stwosz jest z synów Wita najwięcéj znany. Wydoskonalił się u ojca w sztuce rzeźbiarskiéj i pomagał mu w pracach tak w Krakowie jak Norymbergu. Został mieszczaninem krakowskim i po kilka razy go wybierano i potwierdzano jako starszego cechu malarskiego w Krakowie. Umarł w Norymbergu około roku 1530 przed ojcem, pozostawiwszy żonę z córkami w stolicy polskiéj. Tak więc Wit i Stanisław, ojciec i syn, Krakowianie, wyrobami sztuk pięknych niemieckie miasta ozdabiali.

O najznakomitszém dziele Wita Stwosza w Krakowie, o jego wielkim ołtarzu w kościele Panny Maryi, jużeśmy na inném miejscu mówili; tu tylko dodamy, że za pracę tę, w nagrodę pilności i kunsztu, obdarzono Wita r. 1484 prawem obywatelstwa miejskiego i uwolniono go na zawsze od płacenia podatków i od wszelkich danin miejskich. Gdy jeszcze mieszkał w Krakowie, za każdą razą obierano go na starszego cechu malarskiego i na tym urzędzie go potwierdzano. Znawcy niemieccy (jak n. p. Faber w Conversat.-Lexicon f. bildende Kunst) uważają ołtarz wielki w kościele Panny Maryi za największy z ołtarzów rzeźbionych, jakie tylko istnieją. »Gdyby Wit Stoss, ten nasz *Phidias* lub *Praxiteles*, nic więcéj nad sam tylko wielki ołtarz w kościele Panny Maryi był wyrzeźbił, utwor ten wielkością i pięknością wykonania wszystkie liczne i słynne wyroby dłuta jego w Niemczech przewyższający, jużby mu był zapewnił imię znakomitego mistrza w dziejach sztuk pięknych. — W dawnych czasach znalazł się u nas mąż z nieposlédniem pojęciem kunsztu, bezimienny autor dziełka *Przewodnik kościołów krakowskich,* wydanego r. 1603., który przy opisie kościoła Panny Maryi o tém arcydziele takie dał postrzeżenie: »Ma ten kościół reliquie znaczne i apparaty ozdobne,.... i obraz na wielkim ołtarzu *tak sztuczną i cudną robotą,* że o taki drugi trudno *).«

Drugiém dziełem Stwosza w Krakowie jest wspaniały na-

*) Starego Krakowa Zabytki i różne Pamiątki — A. Grabowskiego 1850, str. 156.

grobek Kazimierza Jagiellończyka, wykuty ręką tego mistrza z nakrapianego porfiru, z posągiem leżącego króla na wierzchu grobowca. Cały ten pomnik wykuty jest z jednego kamienia. W nogach monumentu wyryty jest rok 1492 i nazwisko rzeźbiarza: *Fit Stvos.*

Do dzieł Wita Stwosza w Krakowie liczy A. Grabowski następujące jeszcze rzeźby:

1) Piękną płaskorzeźbę z kamienia, przedstawiającą *Chrystusa w ogrojcu,* która się znajduje na cmentarzu kościoła Panny Maryi. Jezus Chrystus z boskim wyrazem twarzy, z rękoma złożonemi, klęcząc modli się w ogrodzie oliwnym, a przy nim trzech jego uczniów śpi sobie najspokojniéj; postawy uczniów są jak najnaturalniejsze, ubiory po mistrzowsku zarzucone, a twarze ich śpiące tak są spokojne, jak mężów czystego serca śpiących bez wszelkiéj troski, nieprzewidujących, co się wkrótce stanie. Rzeźba ta należy do najpiękniejszych wyrobów dłóta, a ponieważ jest bardzo podobna i układem, i doskonałością, i wyborną draperyą, do innych prac Stwosza, przeto słusznie uważają i tę za dzieło jego. A. Grabowski domyśla się, że płaskorzeźbę tę kamienną albo kościołowi Panny Maryi Wit darował, lub też prawem kupna z rąk jego w posiadanie kościoła przeszła. Dzieło to, umieszczone w murze kamienicy przytykającéj do kościoła Panny Maryi, z jednego jest kamienia wykute; ma wysokości łokci $2\frac{1}{4}$, szerokości łokci 2; figura Zbawiciela jest łokcieć 1 wysoka. Rzeźba ta, jak widać, była dawniéj malowana, dziś nic jéj nie zachowuje od wpływów powietrza. Lekkość draperyi, która cechuje wszystkie dzieła Stwosza, i twarz modlącego się Zbawiciela — mówi A. G. — na szczególniejszą zasługują uwagę. — Płaskorzeźba ta była dawniéj opatrzona w podwoje, ozdobione malowidłami dawnego pędzla, które przedstawiały zewnątrz patronów polskich, wewnątrz zaś widok piekła i czyśca. Przed temi świętemi wyobrażeniami paliła się lampa z funduszów kościelnych. Kilka stóp naprzód wznosił się drugi pomnik religijny, to jest słup doryckiego stylu z posągiem Panny Maryi Niepokalanéj, a pod nim był wielki grób, w którym ciała w zimie zmarłych tymczasowo składano, a na wiosnę dopiero w pojedyncze doły cmętarza grzebano.

2) Za czwarte dzieło Wita Stwosza w Krakowie poczytuje pan Grabowski i inni płaskorzeźbę z drzewa w kościele ś. Floryana. Jest to prześliczna płaskorzeźba, przedstawiająca zdarzenie z życia ś. Jana Chrzciciela, kiedy przy obchodzie dnia urodzin Heroda, tańczyła przed nim córka występnéj Herodyady Salome i zachwyciła go swym tańcem. Herod przysiągł jéj, że da jéj czegobykolwiek żądała od niego, a ona usłuchawszy podszeptów występnéj swéj matki, rzekła do Heroda: »Daj mi tu na misie głowę Jana Chrzciciela.« — Otóż owa płaskorzeźba przedstawia wymownie to zdarzenie. Za stołem siedzi Herod i daje przysięgę Salomei, podniósłszy w górę dwa palce prawéj ręki; Salome w piękném ubraniu stoi przed nim, a za nią jéj matka, układająca właśnie zbrodniczą myśl w głowie. Po drugiéj stronie stoi jakiś mężczyzna poważny, zamyślony obok muzyków. Komnata Heroda bardzo pięknie i ozdobnie przedstawiona, grupa osób niezmiernie zajmuje. Ale daleko jeszcze więcéj uwagę na siebie zwracają osoby na górnéj ramie płaskorzeźby umieszczone; jest ich pięć; charakterystyczne ich twarze i postacie jako i ubiór podziwienie wzbudzają. Prawie nie można się mylić, że wyszły z pod dłóta tego samego mistrza, który wyrzeźbił tak charakterystyczne i święte oblicze 12 apostołów w wielkim ołtarzu Panny Maryi.

3) Oprócz powyższéj bardzo pięknéj płaskorzeźby znajduje się w tymże samym kościele jeszcza druga rzeźba w 2ch częściach, wyobrażająca historyą ś. Jana Chrzciciela, którą znawcy także za dzieło Wita poczytują; szkoda, że jest niezgrabnie zamazana.

4) Uważają jeszcze za dzieło Wita ołtarze szafiaste starożytne w kaplicy ś. krzyża w katedrze; wielką płaskorzeźbę kamienną z herbem Wieniawa i stósownym napisem ku pamiętce Jana Długosza, osadzoną w murze kollegium jagiellońskiego na dziedzińcu, na któréj jest wyrznięty r. 1471; i wreszcie rzeźbę osadzoną w murze kollegium księży Psałterystów w zamku krakowskim z datą r. 1480 i inne. Akademia krakowska posiada także w swéj bibliotece piękną małą rzeźbę Stwosza z wyrzniętém na niéj nazwiskiem mistrza.

Pomnik kardynała Fryderyka Jagiellończyka w katetrze krakowskiéj, odlany jak się zdaje przez sławnego Vischera, ma

być, jak się znawcy domyślają, zrobiony podług rysunku także Stwosza.

Wit Stwosz robił także krzesła czyli ławki do kościoła Panny Maryi, za które w r. 1495 odebrał zapłaty 150 złotych ówczesnych. Ale które to są ławki, nie można dziś dojść z pewnością.

W Krakowie tytułowano Wita zawsze majstrem, mistrzem. »Godne uwagi — mówi A. Gr. w Starożytniczych wiadomościach o Krakowie — iż tytuł Magister, Meister, w owym czasie służył prawie wkłącznie Witowi, dla odznaczenia pracującego w sztukach pięknych; gdyż wyrazu tego nie dawano przy żadném rękodzielnictwie, i w aktach krakowskich nigdzie się nie napotyka.«

Ale oprócz w Polsce zostawił Wit Stwosz liczne dzieła w Niemczech a najwięcéj w Norymbergu, które znawcy należycie ocenili, do arcydzieł rzeźbiarstwa szkoły niemieckiéj policzyli tak, że imię Stwosza w dziejach sztuk w Niemczech osobną stanowi epokę.

Sława, jaką się Wit Stwosz okrył wykonaniem tak znakomitego dzieła, jakiem jest wielki ołtarz w kościele Panny Maryi w Krakowie — mówi Dr. Nagler *) — w dalekich się odbiła krajach, a do Norymberga doszła zapewne drogą wielokrotnych stosunków pomiędzy Krakowem a tém miastem, w którém sztuki wyzwolone w owym czasie najtroskliwiéj były pielęgnowane.

Oto są znaczniejsze dzieła krakowskiego mistrza w Niemczech:

1) *Ołtarz szafiasty w Schwabach.* Nagler uważa ołtarz ten za dzieło Stwosza i tak o nim mówi: **) »W kościele gotyckiéj budowy w Schwabach, znajduje się znamienitéj piękności ołtarz szafiasty roboty Wita Stosza. Część jego wewnętrzną składają złocone posągi Maryi i Anny, przy których znajdują się Józef i Joachim, a na drzwiach wewnątrz wyobrażone są w dziesięciu płaskorzeźbach inne członki téj świętéj rodziny,

*) »Autor znakomitego dzieła o życiu kunszt-mistrzów wszelkich narodów« (A. Grabowski).

**) W Lexykonie, tom 17ty.

których głowy są roboty wybornéj i z wielką pilnością wykonane.... Na zewnętrznéj stronie tychże już tylko pędzlem malarskim oddane są wyobrażenia ś. Joachima i Anny....«

W Norymbergu zostawił Stwosz następujące dzieła dłóta swego:

2) *Wielki ołtarz w kościele Panny Maryi*, który mu Jakób Welser z Augsburga w r. 1504 zrobić kazał.

3) *Ołtarz w kościele Zbawiciela* (Salvatora).

4) *Pozdrowienie anielskie* w chórze kościoła św. Wawrzyńca, zrobione z polecenia Antoniego Tuchera roku 1518; dzieło mające 13 stóp wysokości.

5) *Piękny krucifix* w chórze kościoła ś. Sebalda z r. 1526.

6) *Koronacya N. Panny*, wypukło-rzeźba z drzewa w kaplicy zamkowéj (przez wielu ale nie przez wszystkich znawców Stwoszowi przypisywana).

7) Stwoszowi także przypytują *dwa posągi: św Pawła i Najśw. Panny* z dzieciątkiem Jezus, która ś. Katarzynie pierścionek podaje.

O rzeźbie przedstawiającéj *Pozdrowienie angielskie* (wymienionéj pod liczbą 4) tak pisze R. v. Rettberg: *) »W kościele ś. Wawrzyńca, pod sklepieniem w znacznéj wysokości, zawieszone jest sławne mistrzowskie dzieło Wita Stosza z Krakowa, Pozdrowieniem angielskiem zwane (der Englische Gruß). Jest to wielkiego rozmiaru wieniec różowy (różaniec), który w sposobie ram opasuje wolno stojące posągi N. Panny i anioła zwiastuna, które to dzieło w czasach naszych fatalnego ciosu doznało. Dawniéj zawieszone było na łańcuchu, a ten późniéj na sznur zamieniony, który niezbyt trwały na utrzymanie przez długi czas wielkiego ciężaru, zerwał się w r. 1817, i arcydzieło w tysiąc rozbiło się kawałków, i od tego czasu brakuje mu korony. Przecież pod dozorem Heideloffa, biegłą ręką rzeźbiarzy braci Rottermundów na powrót w całość złożone i odświeżone zostało. Dłużéj tu wypada się zastanowić nad pracami Wita Stosza, których pochodzenie jest niewątpliwe, a których naczelném dziełem jest to Pozdrowienie angielskie. Antoni Tucher

---

*) W dziele: Nürnberger Briefe zur Geschichte der Kunst. Hannover, 1846.

(r. 1518) ożywiony chwalebnym zapałem dla sztuki, naśladując w tém Hansa Imkofa i Sebalda Schreyer, poświęcił sumkę flor. 593 na jaki znamienity utwor kunsztu, który według jego życzenia, koniecznie z pod dłóta Wita Stosza wyjść miał *). To dzieło (jak wszystkie tego rodzaju rzeźby kolorami pociągnione) takiego jest układu: modląca się Marya Panna i Anioł zwiastun, są figurami wielkości przechodzącéj naturalną, otoczone do koła wieńcem róż. Nad wieńcem Bóg Ojciec w koronie, pośród dwu aniołów, błogosławi; pod wieńcem wąż z jabłkiem zwodziciel Ewy, który tu wyobraża grzech pierworodny, zgładzony przez odwrócony wyraz *Ave*, którym anioł Maryą Pannę pozdrawia. Na obwodzie samego wieńca zawieszonych jest siedm radości N. Panny, w tyluż płaskorzeźbach, które niewątpliwie są najpiękniejszém z dzieł Wita Stosza. Rzec można, iż wyraz pobożności rozlany w postawie Maryi Panny jest nieporównanego wdzięku, którym zwykle odznaczają się wszystkie postacie niewiast tego mistrza. Żałować należy, że ten utwór zawieszony jest bardzo wysoko; co dokładne obejrzenie i ocenienie, szczególniéj tych siedmiu płaskorzeźb, niezmiernie utrudnia, i tylko temu zaradzono w ten sposób, że te płaskorzeźby istną w pięknych odlewach gipsowych.

Franciszek Kugler, w dziele: *Handbuch der Kunstgeschichte. Stuttgart* 1842. roku, pisze: »Wit Stosz znakomity rzeźbiarz z Krakowa (żył od r. 1447 do 1542) zjawia się w Norymbergu na początku XVI. wieku. Wykształcenie się jego w sztuce, i kwitnąca epoka wykonywania przez niego snycerstwa, miejsce miały w kraju rodzinnym w czasach, gdy upodobanie Jagiellonów w świetności i kunsztach, silny dawały popęd do kształcenia się w sztukach pięknych.«

Tenże pisarz Kugler tak mówi o *Pozdrowieniu anielskiém* Stwosza: »W pozdrowieniu anielskiém z r. 1518, głowy figur za nadto zaokrąglone, ani w kształcie swym, ani w wyrazie, nader szlachetnemi nazwane być nie mogą, a draperye zbyt lotne, pojęcie plastycznego stylu szszególniéj osłabiają; zawsze przecież dzieło to arcyznakomitém nazwane być zasługuje. Już sam pomysł, że przedmiot ten wolno jest wyrze-

*) Rzeźba ta ma wysokości 13, szerokości 11 stóp.

żbiony i do żadnego tła nie przypiéra, przez co się wszystkie zewnętrzne obrysy wyraźnie w powietrzu odbijają, jest oryginalnym, a staranne wykończenie nosi na sobie cechę właściwego z Dürerowskim spokrewnionego uczucia kunsztu. Pomalowanie i wyzłocenie tego utworu sztuki jest nader świetne.«

O rzeźbie Stwosza, wyobrażającéj *ukrzyżowanego Chrystusa* (wymienionéj pod liczbą 5), tak się wyraża R. v. Rettberg: »Polak Wit Stosz przybył tu jak się zdaje w latach już podeszłych. — Wyobrażenie ukrzyżowanego Chrystusa wyzłocone (niestety!), zdobiące ołtarz wielki w kościele ś. Sebalda, robione także przez Wita Stosza r. 1526; wtedy ten mistrz liczył sobie 79 lat. Głowa Chrystusa, winna być zamieszczoną pomiędzy dzieła wyrazem boskości oznaczone. Posągi Maryi i ś. Jana osadzone są na filarach po prawéj i lewéj stronie ołtarza.« Krucyfix ten naprawił Jerzy Schweigger, najlepszy norymbergski rzeźbiarz w wieku XVII., a chcąc go nabyć, ofiarował zań tysiąc dukatów.

Dr. Nagler utrzymuje, że Chrystus ten na krzyżu z Maryą i ś. Janem w kościele ś. Sebalda w Norymbergu jest już ostatniém dziełem Wita, starca lat 79 mającego, »a jednak — mówi — głowa Zbawiciela jest arcy-dziełem co do wyrazu. Po r. 1526, kiedy Stwosz ociemniał, już żadne dzieło tego mistrza za niewątpliwe jego ręki poczytaném być nie może.«

O wypukłéj rzeźbie z drzewa, przedstawiającéj *Koronacyą Najś. Panny* w kaplicy zamkowéj w Norymbergu (wymienionéj pod liczbą 6) tak się wyraża Rettberg: »Dodać winieniem, że mnie przyjemnie zadziwił widok arcypięknego rzeźbionego obrazu, który się w kaplicy cesarskiéj w Norymbergu znajduje. — Jest dziełem nacechowaném wielką szlachetnością, pilnością w wykonaniu i miłemi kształtami, i sprawiedliwiéj od tylu innych prac Witowi Stoszowi przypisywanych, przyznaném mu być może.«

W kościele klasztornym w Heilbronn pokazują Chrystusa Pana na krzyżu, którego głowę znawcy podziwiają. Chrystus ten ma być także dziełem Stwosza i liczą go do prac, które się mistrzowi najlepiéj powiodły.

W Bambergu, w kościele farnym N. Panny, wchodząc do kościoła drzwiami obok wieży, postrzega się po lewéj stronie ołtarz snycerskiéj roboty z drzewa, w którym figury naturalnéj

wielkości wyobrażają pasterzów oddających cześć nowo narodzonemu Jezusowi (Betleem).

Na kamieniu łuk zamykającym (*Schlussstein eines Bogens*), widać datę r. 1523, i znak o którym znawcy mniemają, że jest monogramem artysty, ja zaś zdania tego nie podzielam *). Na przeciwnéj ścianie zawieszone są skrzydła (drzwi szafiaste), na których wyobrażone jest w płaskorzeźbie: Narodzenie N. Panny, Zwiastowanie, Nawiedzenie i Ofiarowanie. Dzieło to przypomina bardzo znajome Pozdrowienie anielskie Wita Stosza, i jemu téż z całą słusznością jest przypisywane. I tu i indziéj, żaden inny rzeźbiarz nie ulegał tyle wpływowi Alberta Dürera, i żaden téż tyle jak on, nie przedstawia jego zalet i błędów. Głowy mają wiele charakteru i wyrazu, ale im brakuje pięknych kształtów.

I w bliskich od Krakowa Węgrzech mają się znajdować dzieła naszego Krakowianina Stwosza. A. Grabowski tak o tém pisze: **)

»Nawet i pobliższe krajowi naszemu Węgry, chlubią się z posiadania pięknych drzeworzeźb w kościołach, o których wprawdzie jeszcze dostatecznie nie zawyrokowano czyjém są dziełem, atoli zważając na stosunki bliskości z Krakowem i inne jeszcze do rachuby téj przyjąwszy względy, można się oprzeć przy tym domyśle, że i te prace snycerskie wyszły z Krakowa, a Wit Stosz jest ich mistrzem; tém bardziéj gdy gruntowni w badaniach swoich Niemcy, sami nam do tego mniemania dostarczają osnowy.

»Jeszcze i w Lewoczy (*Leutschau*) miasteczku hrabstwa Spiskiego, kościół ś. Jakóba, obudza najmocniejsze zajęcie swemi wybornemi drzewo-rzeźbami i malowaniami z końca XV. a początku XVI. stólecia. Przypominają one bardzo im podobne roboty w Norymbergu i Salzburgu, i wyszły bez wątpienia z ręki Wita Stosza lub uczniów jego, którzy na dworze królów polskich długi czas byli czynnymi. Ołtarz wielki, dzieło bez-

*) A. Grabowski.

**) Starożytności i pomniki Krakowa, wydawane przez Łepkowskiego w Krakowie r. 1847, w rozprawie: »*Ogrójec, płaskorzeźba w kamieniu Wita Stossa, tudzież wiadomość o dziełach tego mistrza w Niemczech drukowanych, skreślił Amb. Grabowski.*«

sprzecznie najzupełniejszego w tym rodzaju sztuki wykończenia, przedstawia posągi Matki Boskiéj, ś. Jana i ś. Jakóba, a u spodu Wieczerzę Pańską wieńcem do koła omajoną, wszystko to w najdokładniejszém wykonaniu. Jakiś szczęśliwy anioł opiekuńczy czuwał nad ochroną tego dzieła, bo w pośród tak wielu religijnych wstrząśnień i niepokojów (długi czas był ten kościół w ręku wyznania protestanckiego), wszystko dotrwało w takiém poszanowaniu i zachowaniu, jak wyszło z rąk swego mistrza. Bogaty prócz tego jest tenże kościół w pomniki grobowe pięknego wyrobu możnéj niegdyś rodziny Turzonów.« *) (Leipziger Illustr. Zeitung Nr. 170 z r. 1846).

»W Kościelnéj wsi (Kirchdorf), miasteczku o milę od Lewoczy, w kościele świętego Marcina (Domkirche) również zadziwiają wspaniałe ołtarze roboty rzeźbiarskiéj, pochodzące z téjże saméj epoki (końca XV. wieku), i niezawodnie są utworem téjże saméj ręki co i rzeźby w kościele święt. Jakóba w Lewowczy. (W téjże gazecie Illustr. Zeitung).

»W Bardiowie, miasteczku górnych Węgier przy podnóżu Karpatów (wody kwaśne lekarskie miejsca tego, niegdyś w wielkiém były użyciu), w kościele ś. Idziego znajdują się wspaniałe ołtarze roboty snycerskiéj, wskazujące na czasy Jagiellońskie, i mające wiele wspólności i podobieństwa z dziełami dłóta Krakowianina Wita Stossa.« (Conversat.-Lexicon f. bildende Künste. Leipzig 1843, w tomie 2, str. 55.)

»W Bystrycy (Neusohl) w Węgrzech, w komitacie orawskim, w tamtejszym kościele parafialnym, jest ołtarz przedstawiający chrzest Chrystusa, podobnéj rzeźby i wykonania jak są prace Stosza w Krakowie: że zaś miasteczko to w dawnych czasach było własnością polsko-węgierskiéj rodziny Turzonów, i dotąd jeszcze posiadają takowe potomkowie téj familii po kądzieli; gdy Jan Turzo bogaty mieszczanin krakowski, trudnił się dozorem budowy wielkiego ołtarza kościoła Panny Maryi, i był w bezpośrednich stosunkach z Witem Stoszem, łatwo wyrodzić się może domysł, że mistrz ten wyrzeźbił ołtarze do Bardiowa i Bystrycy zamówione, które potém do Węgier zawieziono.«

*) Dodać tu wienieniem, że Turzonowie równie do Węgrów jak i do Polaków należą; bywali bowiem mieszczanami krakowskimi.
Przyp. Grab.

Do robót naszego krakowskiego artysty liczy jeszcze profesor Heideloff: *pastorał biskupi i krzyż*, z drzewa wyrzeźbione i wyzłocone, znajdujące się w kościele w Hersbruck w Bawaryi (każda z tych rzeźb ma 16 cali wysokości); tudzież *wspaniały posąg ś. Sebalda* w ołtarzu kościelnym w Schwäbisch-Gmund.

W Norymbergu istnieje słynący grób świet. Sebalda, pod względem sztuki wielce chwalony, roboty znakomitego artysty niemieckiego Piotra Vischera, współczesnego Stwosza. Mówią, że gdy Vischerowi polecono zrobić grobowiec ś. Sebalda, wezwano z Krakowa naszego Stwosza, aby do monumentu tego zrobił model. Stwosz wygotował rysunek na pargaminie dotąd dochowany, ale wystawienie grobowca podług tego rysunku nie przyszło do skutku, bo uznano je za nadto kosztowne. Miała to być budowa, podług planu Stwosza, w czysto niemieckim stylu i w śmiałych pomysłach, arcydzieło przepychu, 60 stóp wysokości. Vischer odlał pomnik daleko mniejszy, ale jak twierdzi prof. Heideloff, jednakże podług rysunku Stwosza, tylko w daleko mniejszych rozmiarach; również zaniechał uwieńczenia gotyckiego tego dzieła, jak to było na rysunku Stwosza. Mimo to, grobowiec ten znajdujący się w kościele św. Sebalda w Norymbergu, jest przedmiotem podziwu wszystkich znawców i miłośników kunsztu, chociaż wyrównywa zaledwie 5téj części téj wielkości, jaką mu Wit na rysunku zamierzył. Jakże byłby nieskończenie więcéj podziwiany, gdyby był wykonany podług rysunku Wita!

»Wiadomo jest, pisze prof. Heideloff, że w czasach Piotra Vischera jak jeszcze i teraz, w odlewniach drzewiane modele były w używaniu, i rzeźbienie takowych osobną kunsztu było gałęzią. — Vischer atoli nie posiadał téj sztuki, i tylko modelował w wosku, a do większych przedmiotów, do których wosk nie wystarcza i modele koniecznie być muszą z drzewa, potrzebował rzeźbiarza, mistrza w snycerstwie. — A do kogoż właściwiéj udać się miał, jeźli nie do sławnego Wita Stosza, który nietylko że był wybornym malarzem i rysownikiem, ale jeszcze zawołanym architektem i posążnikiem, wówczas najznakomitszą pracownię rzeźbiarską w Norymbergu posiadającym, z któréj najwyborniejsze rzeźby w drzewie, jako ołtarze, stalla, taber-

nacula, posągi świętych, i tym podobne rzeczy, wychodziły i w dalekie je strony rozwożono.«

Profesor Heideloff uważa więc naszego Wita nietylko za sławnego rzeźbiarza i rysownika, ale jeszcze za zawołanego architekta i wybornego malarza. Wszakże dotąd nieznane są jego obrazy ani budowle, i niewiadomo zkąd go Heideloff nazywa malarzem i architektem.

Podług modelów Stwosza, jak domyśla się i utrzymuje Heideloff, mają być odlane przez Vischera następujące pomniki:

1) wspaniały grobowy pomnik Ernesta, arcybiskupa magdeburskiego, w tamtejszéj katedrze, odlany r. 1497;

2) grobowy pomnik w płaskorzeźbie z bronzu Hermana hennebergskiego i żony jego,

3) pomnik grobowy Eitela Fryderyka hrabi na Hennebergu, znajdujący się w kościele miasta Römhield w księstwie Meiningen;

4) chrzcielnica katedry wittenbergskiéj i inne podobne dzieła.

»Wit Stosz, — mówi Heideloff, — w czasie swym daleko większą niż Vischer posiadał sławę. Prace jego w całem chrześciańśtwie były znane i bardzo poszukiwane, a wspaniałe ołtarze jego roboty, równych sobie nie miały. — Niestety! najwyborniejsze jego dzieła, które się w Norymbergu w kościele N. Panny oraz u Augustynów i Karmelitów znajdowały, już nie istnieją. — Ale szafiasty ołtarz jego dłóta w Szwabach, jego Chrystus Pan w mieście Rotweil w Wirtembergskiem, przecudnéj roboty Chrystus w kościele św. Sebalda i Matka Boska w szkole sztuk pięknych w Norymbergu, tudzież rożaniec w kaplicy cesarskiéj w Königsbergu tamże, — utrzymały się dotąd w całości, jako poszanowania godne pomniki dawnéj sztuki.« Przepomniał jeszcze Heideloff dodać najznakomitsze dzieło Stwosza, wielki ołtarz w kościele Panny Maryi i inne prace jego w Krakowie.

»Wit, — mówi jeszcze prof. Heideloff, — twórca tych powabnych i prześlicznych obliczów niewieścich, oraz pięknie urządzonych fałdowań, był mężem sławy europejskiéj, o którym jeszcze wiele powiedziećby się dało.«

»Wit Stosz — mówi inny pisarz niemiecki, Fr. Kugler — znakomity rzeźbiarz z Krakowa, zjawia się w Norymbergu na

początku XVI. wieku. Wykształcenie się jego w sztuce, i kwitnąca epoka wykonywania przez niego snycerstwa, miejsce miały w kraju rodzinnym (w Polsce) w czasach, gdy upodobanie Jagiellonów w świetności i kunsztach, silny dawały popęd do kształcenia się w sztukach pięknych.«

Dodać tu jeszcze wypada, że Stwosz mieszkał w Krakowie blisko do końca wieku XV., lecz w roku 1486 wybierał się do Niemiec, może na odgłos sławy z biegłości w sztuce, wezwany tamże do robót snycerskich. Wszelako wyjazd ten jego uważać trzeba tylko za dorywczy, gdyż żonę i dzieci w Krakowie pozostawił i opiekuna im mianował. Po trzechletniéj przerwie za powrotem do rodziny, zjawia się znowu imię jego w r. 1490 (w aktach miasta Krakowa) a ostatni raz w r. 1495, i potém już wszelkie o nim dalsze wiadomości urywają się. *)

Imię tego znakomitego artysty rzeźbiarza polskiego, jakeśmy się wyżéj o tém przekonali, przez trzy wieki było u nas nieznane, zapomniane. Panu A. Grabowskiemu należy się ta zasługa, że je napowrót z księgi akt radzieckich krakowskich wydobył, że nam odszukał, odzyskał z godną podziwienia gorliwością męża, który jest chlubą Krakowa i narodu, którego pomniki podziwienie wzbudzają, przed którego wspaniałym ołtarzem w kościele Panny Maryi lud od trzech wieków korne do Boga zasyła modły.

A. Grabowski dodał portret Wita Stwosza do dziełka swego »*Starego Krakowa zabytki i różne pamiątki,*« zdjęty z małego portretu wydanego w Niemczech w miedziorycie, na którym znajduje się *fac-simile* (naśladowanie własnoręcznego podpisu) tegoż mistrza. *E. E.*

SPRAWOZDANIE
z odbytych examinów w szkole Batyniolskiéj.

Kochany.... Z prawdziwą przyjemnością pośpieszam z doniesieniem o rezultacie tegorocznych examinów naszéj szkoły Batyniolskiej, któréj urządzenie, tryb i szczęśliwy wzrost i rozwój

*) Starożytności historyczne polskie A. Grabowskiego, t. I. str. 440.

sam niedawno miałeś sposobność poznać i ocenić podczas swego krótkiego pobytu w Paryżu. Nadzieje, które wtenczas powziąłeś Cię nie zawiodły, drogi przyjacielu! a świetne owoce, które sobie i nam rokowałeś z jéj obecnego stanu, już wczęści teraz dojrzewać zaczynają. Co do mnie, wyznaję szczerze, że tryumf, który nasza poczciwa szkoła odniosła na tegorocznym uniwersyteckim konkursie, przeszedł wszystkie moje oczekiwania, wszystkie najśmielsze nawet moje życzenia.

Nasamprzód ze siedmiu uczniów, których szkoła przygotowała w tym roku do examinu tak zwanego *du Bacalouréat ès sciences* (odpowiadającego pruskiemu examinowi dojrzałości) miała szczęście widzieć wszystkich przyjętych a sześciu złożyło examin z taką świetnością, że rada examinacyjna uroczysty ich zakładowi hołd oddała.

Ale świetniejszy jeszcze plon miała zebrać nasze szkoła na tegorocznym lycealnym i uniwersyteckim konkursie.

Kilka tylko słów przedwstępnych dla objaśnienia Twoich czytelników o trybie i znaczeniu tych konkursów we Francyi.

Szkoły we Francyi są dwojakie: rządowe (czyli tak zwane Lycea), i prywatne. Te ostatnie wykładają ten sam kurs co i rządowe gimnazya, a wyższe swoje klasy zazwyczaj posyłają do lyceum, udzielając im nadto w zakładzie samym potrzebnych repetyci, tudzież, jak wszystkim swoim klasom, mieszkania, żywności i opatrzenia. W tym samym przypadku znajduje się i nasza szkoła Batyniolska. Udziela ona wszystkim swoim uczniom (250) klasycznéj francuskiéj instrukcyi, a dwie swoje wyższe klasy posyła do gimnazyum rządowego, do *liceum Bonaparte.*

Roczne szkolne examina we Francyi są tym sposobem dwojakiéj natury: nasamprzód w zakładzie samym, a potém w lyceum rządowem dla tych uczniów zakładu, którzy na klasy tego lyceum uczęszczają. Tak w zakładzie jak i w lyceum jest konkurs między uczniami, a odznaczający się tu jak tam stopniowe odbierają nagrody.

Nadto, w Paryżu samym jest jeszcze inny, wyższy konkurs tak zwany uniwersytecki, czyli inaczéj *Concours général de la Sorbonne* dla pierwszych klas wszystkich rządowych lyceów Paryża i jego departamentu. Każda taka szkoła rządowa

w Paryżu i departamencie posyła wyborowy zastęp uczniów ze swoich pierwszych klas, którzy się w Sorbonie o nagrodę ubiegają, przechodząc przez próbę ścisłego ustnego i piśmiennego examinu. — Konkurs ten uniwersytecki ma we Francyi ogromne znaczenie. Imiona tych co odnoszą nagrody, bywają ogłaszane w Monitorze, a laureat konkursu ma przywileje i chwałę, które są pociechą rodziców i rękojmią świetnego w przyszłości zawodu. Jaką wielką przypisują tutaj wagę do takiego odznaczenia się w konkursie Sorbony już to jedno okaże, że w życiopisach sławnych ludzi we Francyi prawie nigdy nie przepominają o tém, że mąż, o którym mowa, otrzymał pierwszą lub drugą i t. p. nagrodę na jeneralnym konkursie tego lub owego roku.

A teraz przejdźmy do naszéj szkoły Batyniolskiéj.

Jakem nadmienił, posyła ona uczniów dwóch swoich pierwszych klas do lyceum Bonaparte: w tym roku było ich nie więcéj jak dwudziestu. Ta jednak tak mała liczba, która tylko *szósta* była częścią uczącego się grona klas rządowych w lyceum, otrzymała jednak blisko *połowę* nagród przeznaczonych dla ogółu spółzawodników. Wyrażę się szczegółowo. W klasie tak zwanéj logiki scientyficznéj było uczniów razem siedmdziesięciu pięciu, a z tych siedmiu Polaków; nagród do odebrania było zaś razem czternaście, a z tych Polacy otrzymali cztery. W klasie zaś tak zwanéj *de l'Enseignement spécial* było uczniów razem pięćdziesięciu pięciu, a z tych Polaków trzynastu; nagród do odebrania było zaś razem trzydzieści, a z tych Polacy otrzymali szesnaście.

Nadto, gdy lyceum Bonaparte zrobiło wybór między uczniami swoich pierwszych klas dla przedstawienia ich do konkursu uniwersyteckiego w Sorbonie, zaszczyciło tem swojem zaufaniem (w pośród 75 uczniów składających klasę logiki scientyficznéj) czterech polskich wychowańców naszego Batyniolskiego zakładu.

Wybór takowy daje wprawdzie świetne świadectwo o opinii, którą ma lyceum o takich swoich wybrańcach — ale zwycięstwa na konkursie uniwersyteckim w Sorbonie jeszcze bynajmniéj nie przesądza; bo nieraz takie gimnazyum ani jednego nazwiska ze swojéj klasy przez probę jeneralnego konkursu do

wyższéj nagrody przeprowadzić nie może. Jakoż wyznaję, że nam dosyć było i na tym, już i tak świetnym zaprawdę sukcesie, któryśmy otrzymali w lyceum; o odznaczeniu się jeszcze na jeneralnym konkursie ledwo żeśmy marzyć myśleli. Jakaż więc była dla nas radość, gdyśmy dnia 11. sierpnia w wielkiéj sali Sorbony usłyszeli wywołane imię *Adrjana Migurskiego*, jako tego który otrzymał *pierwszą* nagrodę z matematyki najwyższéj klasy, a imię następnie *Koziorowicza*, jako piątego co z kolei zasłużył na nominacyą w tym samym przedmiocie téj saméj klasy — imiona dwóch uczniów szkoły batyniolskiéj, któreśmy nazajutrz powtórnie przywitali w Monitorze, gdzie ich tryumf z urzędu został ogłoszonym!

Tak świetnego powodzenia jeszcze nigdy nie miała biedna szkoła batyniolska, a zaszczytu nominacyi w konkursie Sorbony od roku 1812 dotąd trzech tylko w ogóle dostąpiło Polaków: w r. 1812 pierwszy Matuszewicz, a przed kilkoma laty Władysław i Bolesław Ordęgowie, synowie pana Józefa Ordęgi, członka rady szkoły polskiéj. Po raz to więc czwarty dopiero w tym wieku rozległy się polskie imiona o starożytne mury Sorbony! Migurski i Koziorowicz, obaj wychowani w szkole batyniolskiéj od dzieciństwa, wyuczyli się w niéj doskonale ojczystéj mowy, i ufam w Bogu, że nie zapomną nigdy o tém co winni téj szkole, nie zapomną przedewszystkiem o tém co winni swemu krajowi. Obaj ci uczniowie są jeszcze bardzo młodzi, a już złożyli examin dojrzałości. Migurski ma podobno wstąpić do szkoły politechnicznéj, któréj bramy mu, zamknięte dla cudzoziemca, świetne i wyjątkowe odznaczenie się na konkursie Sorbony otworzyło.

W sobotę nareszcie, 12. sierpnia, odbyła się uroczystość rozdawania nagród w łonie szkoły saméj. Piękna pogoda pozwoliła na dość obszernym dziedzińcu szkolnego gmachu roztoczyć namiot, pod którym tak publiczność jak osoby należące do szkoły, wygodnie zasiąść mogły. W głębi rysowały się popiersia Niemczewicza i Konarskiego, a we środku odbijały o tło czerwone marmurowe biusty cesarza i księcia Napoleona, szczególnego opiekuna i dobroczyńcy naszego zakładu. Na amfiteatralnie ustawionych ławkach zasiedli uczniowie w swoich mundurach, a na estradzie w głębi zabrali miejsce członkowie rady, profesorowie i znakomitsi goście, którzy tę uroczystość

swoją obecnością zaszczycić raczyli, a między którymi spostrzegłam księdza Jełowickiego, księcia Adama Czartoryskiego, księcia Sapiehę, pana Xawerego Branickiego, Jlów Gawrońskiego, Jerzmanowskiego i t. d., tudzież w zastępstwie księcia Napoleona jego sekretarza Pana Mathieu. Uroczystości prezydował pan Buillet, inspektor akademii, którego dniem wprzódy był delegował ad hoc minister oświecenia dla uczczenia szkoły za świetne jéj odznaczenie się na uniwersyteckim konkursie. Asystował mu delegowany od ministerstwa spr. wewnętrznych pan Paoli, inspektor dobroczynnych emigracyjnych zakładów we Francyi.

Po odśpiewaniu przez uczniów oficyalnéj szkolnéj francuskiéj pieśni, któréj tytułu nie pamiętam, zabrał głos pan Bouillet i winszował sobie, że może przewodniczyć tak pięknéj uroczystości, winszował uczniom ich postępów i odniesionych zaszczytów w lyceum i Sorbonie*). Następnie przemówił po polsku Adam Mickiewicz, wiceprezes rady szkolnéj, i w krótkich ale treściwych słowach wskazał dzieciom ich obowiązki. Potém zamiprowizował pan Paoli mowę, która zelektryzowała wszystkich słuchaczów. Trzeba było widzieć, jak te nasze biedne dziatki przyklaskiwały serdecznym słowom tego męża, przez którego usta zdawał się przemawiać ten duch, który niegdyś ożywiał jego ojca, sławnego jenerała Paoli. — Cały gmach zadrżał od oklasków a oczy wszystkich przytomnych zabłysły we łzach.

Nareszcie po odczytaném sprawozdaniu o stanie szkoły przez jéj dyrektora p. Mikołaja Malinowskiego, przystąpiono do rozdawnictwa nagród. Według przyjętego tu we Francyi zwyczaju, każden uczeń pierwszą lub drugą w jakim przedmiocie zaszczycony nominacyą wstępował na estradę i tam z rąk pana Bouillet odbierał wieniec i nagrodę w książkach. Imiona odczytywał pan Tyle, profesor szkoły, ale gdy w końcu przyszła kolej na dwóch laureatów konkursu Sorbony, wstał sam p. Bouillet i wywołał ich nazwiska, wśród grzmotu oklasków, któremu tylko zaintonowany przez wszystkich uczniów śpiew koniec położył.

---

*) Pan Bouillet ogłosił swą mowę w urzędowym dzienniku wychowania (Journal de l'Instruction publique, 19. Août 1854.).

Tak się odbyła uroczystość rozdawnictwa nagród w szkole batyniolskiéj, która tu dla nas prawdziwie nie małą była uroczystością. Oby świetny ten rezultat tegorocznych examinów był bodźcem dla szkoły w dalszem doskonaleniu się, zachętą dla wszystkich w niesieniu jéj pomocy i wsparcia, a dla szanownych mężów, co się jéj zarządem opiekują, małem wynagrodzeniem za gorycze i oszczerstwa, których właśnie w tym roku tak sowicie — i mamże dodać tak niezasłużenie? — doznali! *K—o.*

Wspomnienie Seweryna Gołębiowskiego.

W maju tego roku umarł na Wołyniu młody literat, Seweryn Gołębiowski, syn Łukasza, młodzieniec z duszą poetyczną, pełen zapału, gorliwy pracownik w dziejach ojczystych, biedny, walczący z losem o kawałek codziennego chleba, mimo to nieugięty, pełen szlachetności i uczucia osobistéj godności. Seweryna Gołębiowskiego znała już publiczność czytająca z różnych prac jego historycznych, drukowanych najwięcéj w *Bibliotece Warszawskiéj*; obiecywano sobie wiele po nim na przyszłość. Ale jak wielu szlachetnych, ciężko na kawałek chleba pracujących w zawodach często usposobieniu swemu przeciwnych, a przytém w godzinach po za pracami zarobkowemi z miłością naukom się oddajacych młodzieńców, w wytężonéj pracy zapada i kończy na piersiowe słabości; tak i młody Seweryn w niezmordowanéj pracy zaniemógł, dostał trawiącéj gorączki i skończył na suchoty. Śmierć jego powszechny żal obudziła. Pan Kraszewski, który osobiście znał, cenił i w pracach go wspierał, uczcił pamięć jego serdecznèm wspomnieniem: wydrukował w Gazecie Warszawskiéj krótką biografią zmarłego, oraz ogłosił zajmujące wyjątki z notat własnych tegoż, które w każdém szlachetnèm sercu, szczególnie w młodéj duszy, obudzić są zdolne dobre przedsięwzięcia i serdeczne współczucie dla młodzieńca, który walcząc mężnie z trudami codziennego życia sposobił się i rozpoczynał piękny ale niełatwy zawód literacki.

Pozwalamy sobie przedrukować w *Szkółce* dla pożytku naszych czytelników wspomnienie ś. p. Seweryna Gołębiowskiego, skreślone przez pana J. I. Kraszewskiego.

W jednym z ostatnich listów naszych (pisze Kraszewski) wspomnieliśmy o stracie, jaką poniosła literatura przez śmierć skromnego a niezmordowanego pracownika, Sew. Gołębiowskiego; wywiązując się z danego naówczas słowa, obszerniejszą dziś chcemy o nim udzielić wiadomość. Seweryn, syn zacnego Łukasza i Józefy z Pałuskich Gołębiowski, urodził się w pierwszych dniach stycznia 1820 r., w Nowéj Aleksandryi (Puławach). Za młodu jaż okazywać począł i zdolność i zapał do nauki. Mógłże nie obudzić się zawczasu do pracy głosami, które biły o dziecinne jego ucho? — »Dnie liczyłem od środy do niedzieli, od niedzieli do środy, powiada w pozostałych notatkach. Co środę zbierało się u ojca kilka osób na wista; bywali i u nas goście, a jeśli ich nie było, siadałem przy stoliku najczęściéj koło Brodzińskiego i słuchałem co powie, patrzyłem na niego z upodobaniem, tyle miał dobroci, łagodności, tak pociągający wyraz twarzy. I mój ojciec go kochał... W niedzielę znowu chodziłem do Bentkowskich, tam zbierały się dzieci i bawiliśmy się wesoło.«

Pierwiastkowe wychowanie odebrał w domu rodziców w Warszawie, a skończył gimnazyum w starym naszym Lublinie, zkąd w r. 1837 wysłany został do uniwersytetu w St. Petersburgu.

Wkrótce wyjechał na służbę do Permu, gdzie w kancelaryi gubernatora miejscowego przez lat pięć zostawał. Postępowanie jego zasłużyło i tu na względ zwierzchności, dosłużywszy się bowiem rangi otrzymał przemieszczenie do Grodna; a w r. 1844 po śmierci matki, powrócił uwolniony od obowiązków w rodzinny kątek w Hrubieszowskiém. W r. 1845 wyjechał był ztąd do Odessy w celu zajmowania się prywatném nauczycielstwem, ale to powołanie ciężkie i rzadko dla kogo dostępne, przy żywości jego charakteru, pełnéj szlachetności duszy, którą drażniły najmniejsze przeciwieństwa, nie mogło być dlań stósownėm. Powrócił więc po raz drugi do ojca i oddał się zajęciom literackim, które mu przedewszystkiém smakowały. Kierunek badań ojcowskich wpłynął zapewne na jego studya, z tą wielką różnicą, że zacny Łukasz szukał tylko faktów i zbierał materyały, a syn uczuł potrzebę wlania w nie życia i tworzenia z nich organicznéj całości.

Nie można zaprzeczyć, że talent miał po temu i gdyby okoliczności dozwoliły były mu się rozwinąć w pełni, byłby nam dał owoce, które niestety w zawiązkach zmarniały wczesnym jego obalone zgonem.

Po śmierci ojca w r. 1849 wyjechał Seweryn do Wilna, gdzie bawił przez lat dwa, i tu dokonawszy swéj pierwszéj pracy: *Czasy Zygmunta Augusta, ustęp z przeszłości*, wydał ją drukiem u Zawadzkich. W listach naszych nieco obszerniéj mówiliśmy o tém dziele, i nie chcemy się dziś ani z pochwałami ani z krytyką rozszerzać o niém powtórnie. Jako pierwszy występ młodzieńca, historya ta znakomitą była pracą, ale jeszcze więcéj materyałem niż księgą dziejową w pełni znaczenia swego. Przy ograniczonych środkach Seweryn nie mógł do niéj użyć i nie użył wielu bardzo materyałów ważnych; wreszcie plan sobie obrał nie właściwy, co i słusznie naówczas zarzucał mu acz za surowo może Jul. Bartoszewicz, i plan ten nie dozwolił jego pierwszéj próbie stać się tém, czémby być mogła. Wyżéj on tu stanął od ojca, acz jeszcze nie na równi wymagań czasu; nie wątpim jednak, że rękojmią postępu w nim było to, że sam późniéj niedostateczność swojéj pracy uznawał i przerobienie jéj zamierzał.

Z Wilna Seweryn przeniół się do Warszawy, i rozpoczął szereg badań historycznych, które różnemi czasy umieszczane były w różnych pismach peryodycznych. Nie możemy ich tu wyliczyć wszystkich, ale przywiedziemy główniejsze, znajdujące się w Bibliotece Warszawskiéj. Temi były:

Stefan Chmielecki. Pociągnęła Gołębowskiego ta fiziognomia wojaka, wsławiona pieśnią ludową, o któréj Jerlicz z takim przemawia zapałem. Kilka listów jego, znalezionych w archiwach Zamojskich, obudziły chętkę skreślenia jego żywota, co też o ile się to dało zrobić, dokonał dosyć szczęśliwie. Rzecz tém ciekawsza, że zbudowana na korespondencyach nieznanych i po raz pierwszy w jakąś uszykowanych całość, daje próbkę wytrwałéj pracy Gołębiowskiego.

Szahin Giraj i Kozacy, (umieszczono w t. II. kwiecień 1852). Pamiętam, że w czasie ostatniéj mojéj bytności w Warszawie, rzecz ta czytaną była na posiedzeniu redakcyi Biblioteki; uderzył mnie naówczas styl i sposób obrobienia Gołębiow-

skiego, który widocznie starał się ile tylko mógł wlać życia w suche kronikarskie szczegóły; nie żałował wyrazów jędrnych, wyrażeń pospolitego języka i rubaszności niekiedy, ale zmuszony zbytecznem przywiązaniem się do epoki i wypadku okręcać w szczupłym obrębie jaki sobie zakreślał, z ciężkością dopinał celu. Myśl jego bała się, że tak rzekę, wybiedz za granicę wypadków i szukać przyczyn jego charakteru, rozwoju w dalszych nieco sferach, ztąd mimo usilnego pragnienia, nie zadowalniał zupełnie. Nie miał jeszcze téj swobody ruchów, téj śmiałości pociągów, jaką daje dłuższa wprawa i zaufanie w swych siłach. Wszakże niepodobna było nieuznać w nim dzielnego już zapaśnika, pracą niezmordowaną wyrabiającego się na przyszłość.

W tymże rodzaju był ustęp: *Wezwanie na tron króla Henryka, opowiadanie ułożone z Dyaryusza utrzymywanego przez dworzanina Andrzeja Górkę kasztelana międzyrzeckiego,* umieszczony w Bibliotece t. I. marzec 1853 r. Opowiadanie to ułożył Gołębiowski z rękopismu Andrzeja Lissieckiego, 1612, który jak się domyślam znaleźć musiał w bogatym księgozbiorze Zamojskich, w Warszawie. W odbitku, który mam przed sobą, z papierów po Sewerynie mi udzielonych, znajduję liczne dodatki i poprawki późniéj dołożone, a dowodzące, że roboty raz dokonanéj nigdy za dostateczną nie uważając, chętnie ją doskonalił i zbogacał, myśląc zapewne, że mu Bóg dozwoli zabrać późniéj te okruchy i wydać je powtórnie. Tak podokładał tu wypisy z Heidensteina i innych źródeł, które później w rękę mu wpadły.

Wyprawa Multańska z 1600 r., (była drukowaną w Bibl. warsz. t. II. maj 1853), jest ustępem z przedsięwziętego przez Gołębiowskiego żywota Stanisława Żółkiewskiego hetmana, do którego materyały zbierał od lat kilku, i byliśmy tak szczęśliwi, żeśmy mu, bawiącemu dni kilka u nas, cokolwiek do nich dostarczyć mogli nowego, a późniéj pośredniczyć w układach o druk już dokonanéj biografii z panem Zawadzkim. Spodziewamy się, że pan Adam nie zechce dłużéj rękopismu tego, z wielu miar ważnego, i jako praca daleko już od poprzednich Gołębiowskiego stojącego wyżéj, zatrzymywać w ukryciu. — Wzywamy go i prosimy, by nań dłużéj czekać nie kazał.

Jako główny materyał posłużyły tu, oprócz znajomych materyałów, dawniéj już drukowanych, sto trzydzieści listów hetmana, trzynaście jego żony i czternaście różnych osób, z bliska go dotyczących. Z rękopismów, naówczas naszą będących własnością, wypisał Gołębiowski ciekawe z r. 1610 do króla posyłane doniesienia, dotąd tylko ze wspomnień w Pamiętniku JW. p. Muchanowa znane, i Tranzakcyę z Bojarami, którzy obrali carem Władysława IV. i t. d.

Z żywota hetmana dał także Gołębiowski wyjątek drugi (Rozdz. IV. Obrona granic południowych. R. V. Kółko rodzinne), w Bibl. Warszawskiéj (T. IV. października 1852) *Hetman Żółkiewski*. Z tego urywku widać już jak dalece Gołębiowski postąpił od wydawania swych *Czasów Zygmunta Augusta*; pełno tu życia, uporządkowanie faktów jasne, wybór trafny cytacyi, pojęcie charakteru wypadku zdrowe, styl skromny, trzeźwy, bez ubiegania się o oryginalność i napuszenie, bez gonienia za effektem. Dość na dowód przywieść opis śmierci hetmana, tak piękny i poruszający w swojéj prostocie, w którym więcéj mówi rzecz sama, niżeli pisarz umyślnie zasłaniający się za nią, by nie był dojrzanym.

»Żółkiewski, widząc że wszystko stracone, ścisnął syna za rękę i wziął od spowiednika rozgrzeszenie: kiedy Tatarzy w tabor wpadli, oba hetmani byli na przodzie taboru, a przy nich jeszcze ze trzysta koni. »Poczciwi bracia!« krzyknęli «my wszyscy z koni, konie pobatożyć, i tak od koni odstrzelwając się, będziemy uchodzić;« co téż uczynili. Żółkiewski, zsiadłszy z konia, przebił go szablą, na znak, że uciekać nie myśli, i szedł tak piechotą ćwierć mili. Przyskoczyło ze 2,000 Tatarów; poczciwym braciom nie stało bohaterskiego ducha; wszyscy prawie co konie mieli, wpadłszy na nie poczęli uciekać; zostało tylko jedenastu, a pan hetman polny z panem kanclerzem dwunasty i trzynasty. Szli pieszo na kilkoro strzelania z łuku, prosząc wodza, żeby na konia wsiadł i równo z drugiemi uchodził; ale niechciał, mówiąc: »Nie wsiądę, miło mi przy was życie położyć: niechaj Pan Bóg nademną wyrok swój kończy.« Mało co postąpiwszy, poczęli go znowu prosić. Złotopolski zbił jakiegoś towarzysza z konia i wsadził nań pana kanclerza;

wtém z boku naszych kilkaset koni przypapło. »i jużem go więcéj nie widział,« powiada Złotopolski.«

Temi to wyrazy, wziętemi z prostego opowiadania żołnierskiego, kończy Gołębiowski dramat życia wielkiego męża.

Ostatni rozdział, *Kółko rodzinne,* żywiéj jeszcze od innych kreśli tę postać dziejową, przepiękną w swéj postaci bohaterskiéj, a urywek testamentu hetmana, w którym jakby przeczuciem, wspomina o zgonie Warneńczyka, namaszcza go na proroka. »Sławniejszy« powiada »żywot i śmierć Władysława co u Warny zginął, niż wielu innych, co na ich nagrobki patrzymy. Życzę sobie śmierci tak słodkiéj dla wiary świętéj, ale nie wiem, jeślim téj łaski od Pana Boga godzien.« Gołębiowski kreśli treściwie przymioty Żółkiewskiego, jako ojca, męża i prywatnego człowieka, ze szczęśliwą trzeźwością pióra i wyborem szczegółów charakterystycznych. Nie wątpim, że ten żywot jego gdy da Bóg się ukaże, wyżéj go postawi, niż wszystkie dotąd znajome prace, bo podobno według takiegoż planu, przedsięwziętego i dokonanego jeszcze nie całkowicie życia wielkiego Jana Zamojskiego nie przyjdzie nam w druku oglądać.

Jako urywek od niego i próba czém być miał życiorys ten, ktorego materyał u najwłaściwszego źródła czerpał Seweryn, z zapałem i poświęceniem, które życie jego skróciły — służyć może *Pamiętnik Tomasza Zamojskiego, kanclerza w. kor.* syna Jana, drukowany w Bibl. Warsz. T. IV. listopad 1853 r. i T. IV. grudzień 1853. Obszerniejsze to nieco studyum wskazuje jak dalece w nowe szczegóły obfitować miała praca Gołębiowskiego, oparta szczególniéj na rękopismach rodziny i listach własnoręcznych. Massa tu ogromna faktów nowych, szczegółów zajmujących i drobnostek wielkiéj wagi. Nie dziwię się, że te lody łamiąc pierwszy Seweryn często nie zdobył się na pogląd wyższy w dziejach o których mówił; materyalna praca około tego gmachu brała mu siły życia i siły umysłowe. Nie miał dosyć swobody, dość niezależnego położenia, by badania prowadzić powoli, z umiarkowaniem czas dzieląc, spieszył się, obawiał, by niepodołał zadaniu, czuł użyteczność swych badań i w nich tonął całkowicie. Dla kawałka chleba zmuszony do zajęć w kancelaryi centralnéj dóbr i interesów hr. Zamojskich,

po utrapionéj pracy kilkogodzinnéj nad regestraturą, rachunkami i t. p., kiedy mu potrzeba było odetchnąć, zamykał się o suchym chleba kawałku, święcąc zdrowie dla drugiéj ważniejszéj pracy dla ogółu, którą się nikt może prócz niego nie zajmował z równém poświęceniem.

Ta praca podwójna zwątliła w końcu jego siły całkowicie i przywiodła go do stanu prawie zrozpaczonego, a przecież nie rzucił jéj do samego ostatka, nie rzucił aż mu pióro z dłoni wypadło!

Smutno pomyśleć, smutno wyznać, nikt się nie znalazł coby to umiał dojrzeć wcześnie i poczciwemu pracownikowi zapewnić skromny chleba kawałek, którył go od połowy jego zabijających zatrudnień uwolnił. Tymczasem wirtuozi przejeżdżający, skoczki, histryony, śpiewacy, skrzypki i pseudoartyści ze lwiemi grzywami i tancerki o małych nóżkach, zbierały, w téj saméj Warszawie gdzie on się zabijał pracą — tysiące co tygodnia! Lepiéj być skoczkiem, spiewakiem, skrzypkiem, lwem niż pracownikiem jak nasz nieboszczyk! lepiéj grać na jednéj strunie i brzdąkać w sposób oryginalny pseudokompozycye własne, niż poświęcić się dziejom i literaturze.

Oprócz prac większych, wydał jeszcze Gołębiowski życiorys ojca swego Łukasza, o którym jużeśmy w czasie gdy się ukazał wspominali, i w Bibliotece Warszawskiéj następujące mniejsze robótki swoje: *Wiadomości do żywota Jana Tarnowskiego i Piotra Kmity.* — *Ślady prawa feudalnego w Polsce.* — *Wiadomość o księdze poselskiéj litewskiéj metryki, wydanéj przez Pogodina i Dubińskiego.* — *Przegląd kilku dzieł ruskich historycznych, między innemi Zbornika księcia Obolenskiego* — *Jerłyk hana Tochtamysza do Jagiełły.* — *Rozbiór listów Annibala z Kapui wydanych przez Przezdzieckiego.* — *Recenzye Pamiętnika Wydżgi* i t. d. i t. d.

Dzieląc się tak ciągle na dwoistą pracę, Gołębiowski zaniemógł już w Warszawie, ale trwał w niéj jeszcze; dopiero widoczny brak siły zniewolił go do zmiany sposobu życia. Zdawało mu się że wróciwszy na wieś, odetchnąwszy powietrzem naszych pól i lasów, w ciszy wioski, ograniczając się tylko jedną już pracą, odzyszcze zdrowie — ale już było za późno. Jeden z przyjaciół Seweryna w najszlachetniejszym celu dźwi-

gnienia go, ofiarował mu na Wołyniu w okolicach Żytomierza dzierżawę, na warunkach najprzystępniejszych. Dla czegożbyśmy nie mieli wspomnieć nazwiska, które choć nieznane za przykład posłużyć może. Był to młody Juliusz Moczulski. Ten podjął się Gołębiowskiemu jednę ze swoich wsi wypuścić i namówił go do przeniesienia się na Wołyń. Kiedym przybyłego Gołębiowskiego zobaczył po kilkudziesiąt milowéj podróży, kaszlącego, znużonego, trawionego gorączką niedozwalającą już wątpić o naturze choroby, zgarbionego od pracy, z piersią wklęsłą i iskrzącem okiem, miałem jakby przeczucie jego rychłego zgonu i stan jego przykre na mnie zrobił wrażenie.

Alem i ja myślał jeszcze, że wielką i cudowną jest siła młodości, spokoju duszy i woli potężnéj.

Stanął nareszcie Seweryn Gołębiowski dnia 20 kwietnia w Diwoczkach, ale na krótko; choroba poczęła się szybko z zastraszającą rozwijać siłą, a doktora niechciał jeszcze, ciągle utrzymując, że go powietrze i spoczynek uzdrowią. Gdy Dra Galli wezwano, już nie było ani nadziei, ani ratunku i żaden środek ocalić go nie mógł; lekarz ze smutkiem w duszy objawił tylko rodzinie, że najmniejszéj nie ma nadziei. Suchoty go pożerały i dnia 8 (20) maja o godzinie czwartéj z południa, zakończył życie, w kilka dni potém pochowany przy filijalnéj kaplicy, we wsi Wysokiem, z żalem tych wszystkich co go znali i cenili.

Jako pisarza, kilkakrotnie już mieliśmy zręczność oceniać go i sądzić; sąd ten bez wątpienia na korzyść zmarłego zmienić się musi po wyjściu żywotu hetmana Żółkiewskiego i przygotewanéj może biografii Zamojskiego; to pewna, że w miarę sił swych i zdolności zrobił co tylko mógł i powołaniu życia tak uczynił zadosyć, jak nikt z nas może nie potrafi. Jako człowieka, pełnego uczuć szlachetnych i nieustannie dobijającego się coraz wyższego ukształcenia moralnego, malują go ze strony najpiękniejszéj notaty z różnych epok jego życia, które mamy w ręku, a z których nauczyliśmy się jeszcze wyżéj cenić go i szanować. Noty te, dosyć pourywane i niekompletne, a widocznie dla siebie nie dla druku pisane, obejmują tylko część życia jego i nie dochodzą do lat ostatnich. Są to wyznania słabości, westchnienia ku ideałom, rysy charakterów spotykanych

na drodze życia; myśli, uwagi, pragnienia, słowem, poufne wywnętrzenia się człowieka, który walczył z sobą, usiłując z danego przez Boga i wychowanie materyału wyrobić co tylko było można, i postawić się tam, gdzie widział swój ideał zacnosci, prawości i poświęcenia.

Nad trzecią częścią tych not, ręką jego napisana zwrotka z poezyi Bohdana Zaleskiego, najlepiéj je charakteryzuje:

Duch nie zgaśnie przez skonanie,
A dla ziemi u mogiły
Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mnie wznosiły.

Niżéj dodał Gołębiowski: »Skruszyłem zęby o suchar doświadczenia.«

Nie wiem wcale, jaki los spotkać może te notaty, z których zaledwie kilka na próbkę urywków dać nam wolno, ale za epigraf położylibyśmy, jako słowa Seweryna, które w nich znajdujemy daléj: »Ani myślę o przyszłości; co człowiek z całém swém przewidywaniem wymyśli? Barometry, które pokazują pogodę lub deszcz na jutro, a o tém co pojutrze będzie nie wiedzą, prognostyki z kalendarza, że będzie miejscami zimno, miejscami ciepło, miejscami deszcz, miejscami pogoda. Lepiéj powiedzieć: będzie co Bóg da, a żyć prawdą i pracą, płynąć z prądem, jeśli jego siły moje osobiste przeważają, ale zepchnąć raczéj łódź, niż przeniewierzyć się Bogu, niżeli skrzywić sumieniem.«

W listach tych i notatach maluje się doskonale charakter człowieka żywego, pełnego szlachetności i dobrych popędów, tęsknie przywiązanego do rodziny, trafnie postrzegającego wady ludzkie, umiejącego czuć i piękności natury i piękno moralne w towarzyszach; a jako pisarz, Gołębiowski wygląda w nich wcale inaczéj i nowo. W historycznych swoich badaniach często bywa mu jakoś ciasno; zdaje się, że obawia się powiedzieć wszystko, że na odwagę wyrzeczenia swéj myśli zbierać mu się potrzeba; tu przeciwnie, idzie śmiało, mówi po prostu co w sercu uczuje i przez głowę przeleci, a sam o tém nie wiedząc, może tworzy w swych notatach księgę pełną oryginalności, wdzięku i studyum psychologiczne z samego siebie.

Nie wiemy wcale, jaki los czeka te noty, listy, dzienniki

rozpisane i z ciężkością uporządkować się dające, może być, że się one nigdy na świat nie ukażą; tém bardzięj więc zapoznać z niemi chcemy następującemi wyjątkami, które dla nas przynajmniéj miały wielki urok prawdy,

Nie będzie w tych urywkach ciągu żadnego, dajemy tylko luźne obrazki.

I.

»Rok 1842.

Mniéj z ludźmi, więcéj z Bogiem,
a zresztą jednaki.
MALCZEWSKI.

»Nowy rok z nowém zaczynam uczuciem — z uczuciem religijném; byłem niedowiarkiem, błędném rozumowaniem starałem się niegdyś w drugich niszczyć wiarę na korzyść swobodnego myślenia; dzisiaj cierpienie doprowadziło mnie do wiary.

»Wróciła mi żywa, gorąca, dziecinna wiara, a z nią spokojność duszy. Winienem to wpojonym od dzieciństwa zasadom. Śmieli się ze mnie przed pięciu laty, nazywali mnie romansowym materyalistą, gdy utrzymywałem, że śmierć jest tylko przejściem pierwiastków do nowych kombinacyi. W błędzie było ukryte nawrócenie, pojęcie o nieśmiertelności, miłość bliźniego. Błąkałem się, tworząc sobie systemata, dla zapełnienia wewnętrznéj czczości; chciałem cnotę nawet przez egoizm tłumaczyć, to znowu utrzymywałem, że piękność moralna nie potrzebuje innéj nad siebie samą nagrody, że Chrystus z rozkoszą poświęcił się dla dobra ludzi. Ubóstwiałem naturę, jak gdyby ona była panem nie sługą; czas jakiś żywo mnie zajmowała nauka o dwóch początkach. A w końcu, przejąłem się wyższą nad wszystko com widział i słyszał godnością mojéj katolickiéj religii i umysł mój spoczął w głębi tajemnic, choć ich znurtować nie zdołał. Cierpiałem i Bóg mnie pocieszył. Gdym na świat wstępował, piękny dzień mi jaśniał. Któż tego z wieszczem powtórzyć nie może, komu choć raz zorza nie błysła? Miłość, ufność, gorliwość żebrząc podawałem, ale mnie nie zrozumiano. Czynnego z zapałem zimny przyjął rozsądek, ufnego zdradzili, kochającego w jednéj zapomniano chwili. Zwątpienie, smutek mnie przejął. Wzniosłem myśl do źródła wszystkiego co jest pięknėm i doskonałém, do źródła prawdy, poezyi i nieśmiertel-

ności. Kamień spadł z serca, odetchnąłem swobodnie, stałem się czystszy i lżejszy. Pójdę w dalszą drogę z wiarą, nadzieją i miłością, trzema niebieskiemi siostrami; uzbroję się w cierpliwość, krzyż wezmę za towarzysza. Wśród cierni może jeszcze niejeden kwiat dla mnie błyśnie.

7go stycznia. Dzień zaczynam i kończę krótką modlitwą po sześcioletniéj blisko obojętności. Kocham Boga, on mi na miłość odpowie....

8go stycznia. Miesiącu, darmo jész chléb u Pana Boga, świecisz a nie grzejesz; toż samo możnaby nadziei powiedzieć.... Nie uskarżam się na jéj zawody.... Szedł biedak boso ze zranionemi nogami i zobaczył na ziemi nędzarza, który bez nóg leżał. Są drudzy nieszczęśliwsi, dla których zaszło słońce i podobno już nie wejdzie.....

II.

»Ostatni wieczór (w Permie) przepędziłem z kolegami w zakątku, z butelką madery i dońskiego, a przedewszystkiem z szczerością wzajemną. Ile wspomnień z Permu wywiozę.

12go grudnia, wyjechałem z Permu. Oto obrazek mojéj jazdy przez step śnieżysty: kibitka zaprzężona trójką, na przedzie rzeczy, w głębi moja godność.... Dzienszczyk, którego wziąłem przez grzeczność dla Orsowa, bije jemszczyków pod pozorem jakiéjś wyższości, bije chłopów, których po drodze spotykamy, bije Tatarów za to, że kiedyś w tatarskiéj wiosce ukradli mu wór mąki.

Nie ma koników jak w Wiackiéj gubernii — szczególna to rassa: Piotr Wielki wypisał je z wyspy Oesel i zaprowadził ich stada w żyznych pastwiskach nad Obwą, zkąd rozeszły się po okolicy. Miernego wzrostu, nie nader kształtne, lecz silne i wytrzymałe jak sto diabłów. Ze stacyi do stacyi grzmią pędem i stają niespocone, niezmęczone, sześćdziesiąt do ośmdziesięciu werst to dla nich bagatela.

Leciemy z wiatrem, droga wyborna, do Kazania jechałem jak po maśle, stanęliśmy we trzy doby, mil z górą ośmdziesiąt. Kazań porządne było miasto, znać to mimo ruiny, którą sprawiło kilkanaście pożarów, półtora tysiąca najpiękniejszych domów stały się ich pastwą. Podniesie się — bo ludne, bogate i handlowe.

III.

W drodze przyszła mi fantazya, dla czegobym też tak jak drudzy nie miał majątku robić? na to nie trzeba wielkiego rozumu: jestem młody, przedsiębiorczy, mam trochę mocnéj woli — tak chcę i tak być musi.

Mylnie utrzymują astronomowie, że nasza ziemia kręci się koło swéj osi, która jest linią matematyczną przechodzącą przez bieguny okryte wiecznym lodem. Kręci się, to prawda, i dla tego na ziemi często bywa do góry nogami; ale ziemia jest po prostu zatknięta na bardzo grubym złotym sztyfcie, który jednym końcem grzęźnie w pierworodném błocie, a drugim jest usadzony w przeczystym diamencie. Oto sekret 2ch biegunów.

Chcesz robić majątek? a więc bądź zdrowa poezyo życia? O nie! w mojém życiu było wiele poezyi, poezyi czynów, nie kłamanych wykrzykników, a będzie jéj więcéj, bo mam serce kochające i krew nie prędko w żyłach zakrzepnie. Pieniądz uważam za środek, za sprężynę czynienia dobrze, aby została jaka taka pamięć mego bytu, aby przechodzący w dziesięć lat po mojéj śmierci na grób nie plunął.

Jakże robić majątek? W zawodzie naukowym? poniżałbym siebie tak myśląc: nauki kocham dla nich samych, nie dla zysku. Literatura, to moja kochanka, a moja kochanka, choćby tańczyła jak Sylfida, choćby miała głos czarodziejski, nie będzie występować w balecie ani w operach. Jeśli zaświta myśl słońce na moim umysłowym widnokręgu, wydobędę ją w górę aby jaśniała swiatu i ogrzewała żywotném ciepłem. Nie sprzedam podrygów literackich za marne tysiąc kilkaset złotych. Zresztą, zawód naukowy dotychczas przedemną na cztery kłódki zamknięty. Guwernerka w domu magnackim? wszakże ich dzieciom potrzeba żeby były po francuzku rozumne, a po swojemu głupie. Urzędowanie? na służbie majątku nie zrobię. Gospodarka? na małéj wiosce dałbym sobie radę, i to może... na lodzie i na papierze umiem budować zamki, zobaczylibyśmy cobym budował na gruncie. Medycyna? Chryste Jezu! zlituj się nad duszą mojego pacyenta!! bo ja nad ciałem nie miałbym litości! Byłby ze mnie najfatalniejszy doktor. Ot lepiéj coś nowego podpowiem, przysuń się do ławki. Handel? kupiec po-

winien jak najtaniéj kupować, jak najdrożéj sprzedawać; do pododnego rodzaju obrotów nie czuję powołania.

Wszystko to na wierzbie gruszki.

IV.

Po powrocie z domu było mi bardzo tęskno i smutno. Nie miałem do niczego ochoty, prócz nauki. Pracując nad historyą, nad literaturą włoską i niemiecką, zapomniałem że świat istnieje, oprócz kilku drogich mi osób. Skutkiem ciągłego siedzenia, doświadczałem bicia krwi i zawrotu głowy i bez tego przewróconéj. Teraz wracam powoli do dawnego sposobu życia; wstaję o szóstéj, koło dziewiątéj idę do bióra, o drugiéj obiad, potém drzemię lub fajka, potém wieczorne posiedzenie w domu sam na sam i kładę się spać o dziesiątéj, albo jak się zdarzy. W liczbie moich przyjemności ważne zajmują miejsce samotne przechadzki. Zwykle powracam lekki i rzeźwy, bo kto ma duszę brzmiącą, posłyszy rozlane w naturze dźwięki, znajdzie piękność i w litewskich borach i na północném niebie. Wyszedłem dzisaj, noc była jasna, księżyc rozkosznie leżał śród ciemnego kręgu, jego promienie, skupione w pewnych kierunkach, tworzyły krzyż foremny, a z dwóch końców promienistego krzyża widać było dwa bledsze księżyce; na tle ciemném od głównego księżyca jaśniała gwiazda, a niżéj cokolwiek rozciągało się półkole nakształt tęczy. Tyle miał wdzięku ten widok, że szedłem nie myśląc o powrocie, byle go miéć przed oczyma i zawędrowałbym do Indury, gdzie jaja tanie sprzedają, ale psy opadły, zląkłem się o szarawary, a upadłszy z górnéj strefy w prozę życia, wziąłem na uwagę, że na rogatce zapytają nocnego włóczęgę zkąd idzie i po co? Lewo w tył i zawróciłem się ku miastu, a księżyc został za mną i cień długi marszerował przedemną, podobny do biedy i zdawał się mówić: »ja zawsze byłem z tobą, choć mnie nie widziałeś.«

Głupia biéda; czy ja dbam o nią, kiedy jéj nie widzę? ja pan póki ona nie siędzie mi na karku i nie przydusi obydwoma kolanami. Księżyc został za mną i rozstrzygnął wątpliwość co milsze, czy nadzieja w przyszłości, czy wspomnienie o tém co minęło. Marzymy bez końca, aż młodość przekwitnie i wtedy strudzony wędrownik zwraca się myślą ku dniom szczęśliwym i wspomina, wspomina bez końca czy jest czy nie ma o

czém; wspomina, jeżeli mu już nie stało wyraźnego celu przed oczyma, a jeśli się ożenił i ma dziatki, pieści się z żoną, kłopoce z dziećmi i żyje cichém, spokojném, rzeczywistém życiem, bez marzeń, którym już dawno dał krzyżyk na drogę. Będę mu zazdrościć, gdy onego czasu powiem, westchnąwszy: »Bóg mnie skazał na samotną wędrówkę!« Noc była jasna, miesięczna, choć szpilki zbierać, a z drugiéj strony piętrzyły się chmury gęste, ciężkie, straszne, w rozmaitych przelewach kolorów od ciemno-siwego do zupełnéj czarności, co tém smutniéj odbijało wśród ciemnéj nocy. Powiał wiatr chłodny i widocznie ciągnęły ku księżycowi. Znowu przedmiot do porównań, lecz kroku przyśpieszam i schronię się przed deszczem do chaty. Nieraz bywam w Poniemoniu; spory kawał nudnéj, piaszczystéj drogi, nim się dojdzie do alei, złożonéj z rozmaitych drzew; wierzby, brzozy, lipy, topole, dęby, klony, rozrosłe, cieniste, wziąwszy się na ręce, stoją dwoma długiemi rzędami, gałęzie tańczą, a wiatr muzykę wyprawia. Aleja kończy się około oberży; obok domek właściciela z chińską altanką na wiérzchu, ogródek i lasek, przerznięty ścieżkami w rozmaitych kierunkach, po którym lubię się przechadzać z książką lub myślami, w którym zrobił się projekt wyjazdu do rodziców. Zwykle wracam do miasta ponad Niemnem. Jeden brzeg okryty lasem, drugi wynioślejszy i nagi, spadzisty, gdzieniegdzie przerywają go głębokie wąwozy, u spodu leżą rozrzucone bryły granitu.... rzeka miejscami gotuje się, szumi, to znowu płynie zwolna i po cichu.

Lubię przechadzkę; przez kilka ludniejszych ulic wydobywam się nad Niemen i za mostem zwracam między żydowskie kletki; po skończonéj niewoli egipskiéj pokazuje się rzeka i pole; na jednym brzegu rozrzucone miasto w całéj okazałości, z drugiéj strony gruzy Radziwiłłowskiego pałacu. Ścieżka wije nad brzegiem nieró wnemi zakrętami, aż wreszcie ginie w głuchym lesie. Siadam na kamieniu i myślę, że ta przechadzka to moje życie; z początku ulice miasta, plac publiczny, potém zaduch i ciasnota, trochę wolniejszego powietrza i głuchy las sosnowy.

W środku miasta ogród Zawirskiego, staruszka, kawalera, który bawi się z nim jak z dzieckiem; rad gościom i chętnie

go otwiera 'dla publiczności. Jest to raczéj sad gęsto zarosły, z pretensyami do ogrodu. Szpalery z żółtéj akacyi, równo, gładko podstrzyżone, schodki z kamieni polewanych jak garnki, jak kafle na piecach, piramidki z nieobrobionych wielkich kamieni, huśtawki, siedzenia, altanki; w jednéj na sofach materace z mchu, pokryte siatką, takie same stoliki, stołeczki pod nogi; ściany plecione ze słomy; otwarta ściana, w miejscu słupków ma drzewa sosnowe; na poobcieranych gałęziach buławy z mchu pokryte siatką; kto chce, niechaj wiesza kapelusz, szalik, mantylkę, burnus; gospodarz dał przykład i raz na zawsze powiesił swój kapelusz słomiany: to znowu altanka z krąglaków brzozowych, jak w Kopyłowie, tylko że wiérzch w miejscu dzwonków i chińszczyzny pokryty świeżą zielonością. Widoków żadnych, co krok drzewa owocowe gną się pod ciężarem a więc jest widok na śliczne czerwone jabłka, na panny, mężatki i wdowy, na sapieżanki książęcego rodu, na szlachcianki i proste sobie gruszki. Wolno pożywać, i kto chciwy, w kieszenie sobie napchać. Otóż sposób robienia majątku, który wyszedł mi z uwagi. Ruszaj codzień w taratatce do ogrodu Zawirskiego, obładuj się należycie, załóż sklepik z fruktami — wszak i to gałęź przemysłu.

V.

Jedziemy sporem kłusem, konie klapią po błocie, koła grzęzną lub rzną się w piasku do żywego. Biedne koniska, a nam droga wyśmienita. W najtyczance leżymy okutani płaszczami, zimno nie dokucza, deszcz nie leje za kołnierz; mglista pogoda rozesłała po niebie szarą zasłonę i do takiéj pogody stosówny krajobraz, szerokie ścierniska, okolone zewsząd lasami. Doskonale byłoby upędzać się za zającem, niebo mgliste, ziemia jesienna i droga jednostajna. Minęliśmy Skideł, miasteczko książąt Czetwertyńskich, Szczuczyn Scypionowéj.

Daléj Żołudek, rezydencya Tyzenhauzów, przeszła na własność hrabi Uruskiego. Przeprawiliśmy się przez Niemen, parskają koniki, będą nam radzi w Nohorodowiczach.

W Nohorodowiczach wszystko znaleźliśmy po staremu; ten sam dwór szlachecki z wysokim gdzieś pod obłoki uciekającym dachem, z oknami w kuchni i śpiżarni złożonemi z tysiąca szy-

bek; ciż sami ludzie ze staroświecką gościnnością, a życzliwość ich dla mnie jeszcze urosła.

VI.

Na pierwszy dzień świąt pojechaliśmy do Mirowszczyzny; poznałem pana chorążego. W powiecie po marszałku podkomorzy był drugą, chorąży trzecią figurą. Osobliwość w swoim rodzaju: co do powierzchowności tak wysoki i tak szeroki jak duży piec, trzech ludzi wziąwszy się za ręce wątpię czyby go objęło. Mocno zbudowany i silny w nogach, jednak wstając z kanapy (na stołku nigdy nie siada) pierwéj się musi rozhajdać. Dla tego też z Karolem nie robiliśmy mu subjekcyi i gdy chcąc nas powitać zaczynał się hajdać, myśmy go całowali w brzuch lub ramię i szliśmy daléj. Pan chorąży jé przyzwoicie, nie siadł z nami do stołu, a gdyśmy go pytali o przyczynę, odpowiedział, że i tak cokolwiek uchwyci. Oglądałem się z ciekawością, gdy pan chorąży chwytał całkie półmiski. Pan chorąży jest to chodząca genealogia polskich i litewskich rodzin; wié o każdym z kogo się rodzi, z kim żonaty, jaki ma majątek, i o każdéj rodzinie posiada przyzwoity zapas anegdot. Zrazu był obojętny, ale gdym wytrzymał ogień o Ogińskich, o Ponińskich i t. d., gdym pokazał że i ja mam o tém wyobrażenie, wstał z miejsca rozhajdawszy się, wziął mnie za ramie i pocałował dwa razy, a całując zrzucił mi ogromnym nosem okulary i ledwie na dotkliwą stratę nie naraził.

Nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać człowieka tak ciekawego i wiedzącego tyle rzeczy małéj wagi, co pan Chorąży. Niech garczek pęknie, niech gwoździk wbiją w ścianę, pierwéj się o tém dowie niż gospodarz. Każda nowina z ust jego najpierwéj wychodzi i gniewa się, jeśli go kto uprzedzi w towarzystwie. Koło domu przechodzi gościniec: jadący w pilnym interesie mijają go z daleka, aby nie zatrzymano, rozpytując o nowiny. Służący, gdy go wysyłają do miasteczka, za powrotem powinien zdać najdokładniejszą sprawę o nowinkach. Raz klacz się oźrebiła u pułkownika w Zdzięciole, lokaj pana chorążego przychodzi i prosi, żeby mu źrebię pokazać. — A tobie na co? — Potrzeba i bardzo, jeszcze służbę stracę, gdy powiem że klacz się oźrebiła, a nie będę wiedział jakiéj maści źrebię.

W M.... poznałem drugą osobliwość, Indyanina w rosyj-

skiéj służbie, podporucznika od artyleryi. Nazywa się Sułtan Ali Chan Nabab. Jego ojciec jest małym władzcą w Lahorze, kraju potężnym za rządów Rundżet-Singa, a dziś rozerwanym przez wojnę domową. Krew się leje, a Anglicy podżegają rozterki. Anglicy — Nabab ich cierpieć nie może, drży na wzmiankę o nich; chwyciłby kindżał i na ulicy Londynu rzucał się na przechodzących, gdyby to mogło zachwiać potęgę nieprzyjaciół.

Nabab, będąc wraz z ojcem w Persyi, uciekł od niego i udał się pod opiekę rosyjskiego konsulatu; ten go wyprawił do Gruzyi, gdzie uczył się z książątkami Lezgińskiemi i usposabiał do europejskich obyczajów; potém skończywszy kurs w petersburgskim korpusie, wyszedł na oficera artyleryi. Głowa bystra i obejmująca, umeblował ją pięknie wiadomościami. Twarz ma piękną, rysy regularne, oko wielkie, pełne ognia, usta małe, włosy czarne, kręcone, miękkie jak jedwab, a najwięcéj go odznaczają białe, wytoczone z kości słoniowéj zęby, które błyskają gdy mówi; płeć ciemna, oliwkowa czy brunatna podwyższa jeszcze zaślepiającą ich białość.

VII.

Najmłodszy U.... malarz, chybił powołania; należało mu zostać aktorem komicznym. Niezrównany gdy udaje zwierzęta, albo wiejską dziewuchę, jak stoi w kącie obrócona tyłem do swatów i drapie ręką po ścianie, albo chłopca w oberży. Psy układa z rzadkim talentem i cierpliwością. D... oddał mu wyżła na naukę; przez wdzięczność i posłuszeństwo, wbrew własnemu przekonaniu że wyżeł do niczego, wziął się do pracy; nauczyciel się męczył, pies nic nie korzystał. D... nie wiedząc o tém, powiada pogładziwszy wyżła: »Doskonały będzie, jak go ułożysz.« — »Da porzuć pan, weź mnie lepiéj na lato, trochę mleczka, ja więcéj niepotrzebuję; będę panu kaczki z wody przynosił, do bekasów nie stanę, bo tabaczkę zażywam, ale przeto się przydać mogę.« Nastąpiło szczegółowe pokazywanie psiéj służby. Układ, mina, ubiór, wszystko oryginalne. Brzydki, aż straszno patrzeć, lecz ubiera się starannie; na przykład surdut, który on nazywa mazurką, oblamowany błękitnemi wstążkami, z tyłu i po bokach wyszywane zygzaki; spodnie ze zgrzebnego płótna, mocnego pomarańczowego koloru w lecie, skórzane w zimie; buty palone węgierskie z kutasami, chustka

na szyi także z kutasami, kapelusz słomiany na czarno, skrzydła szerokie, na wierzchu buja pióro nakształt strusiego, krajowéj fabryki, z konopi. Niezmiernie skąpy; żałował pokryć kożucha. Wymawiał mu to Z..., który z nim mieszkał. Wraca raz do domu i zastaje drzwi zamknięte, klucz w zamku z drugiéj strony, ale darmo stuka; podważył drzwi nareszcie i zastaje U.... na klęczkach, kożuch rozesłany na ziemi i na wpół już pokryty braunrotem, farbami różnych odcieniów, w kwiaty i zygzaki. Pokój umeblował sobie własnym gustem, stoliki jego ręką pomalowane, ściany wybielone, na nich pełne surowizny bohomazy rodziców i kochanki. Niedaleko odedrzwi pies, żeby się go zląkł kto przyjdzie (*cave canem*), u okna kanarek w klatce (także malowany), gdzie się zasuwa blacha komina, lwia paszcza.

VIII.

Okolica od Grodna malownicza, zwłaszcza w téj porze, w pierwszym miesiącu wiosny; żywa zieloność murawy, zboża, drzew ze świeżo rozpuszczonemi liśćmi, tém mocniéj odbijała przy ciemnych zimowych borach iglastego drzewa; nad nami jasne niebo, z lekka odziane chmurkami, w całéj naturze rozlane żywotne ciepło. Cichy, lekki, piękny dzień wiosenny. Droga ciągnie się nad granicą, którą oznacza rzeczka Łosośna.

Nad wieczorem, nie dojeżdżając kilka mil do Różanego Stoku, dogoniliśmy ostatnią część kompanii.... Różany Stok na łagodném wzniesieniu (na słodkiéj pancie, jak mówi Henryk C....), panuje nad okolicą. Z klasztoru oko swobodnie może się rozbiegać po szerokiéj płaszczyźnie; kościół o parę mil widać, a odgłos dzwonów wieczorem po rosie aż do Grodna dochodził, jak ksiądz przeor utrzymuje. Kościół słynie odpustami; lud pobożny tłumnie się zbiera, a ponieważ sam kościół nie obejmuje więcéj nad 4000 ludzi, w wystawie kościelnéj na pierwszém piętrze ubierano ołtarz, przy którym ksiądz mszę śtą celebrował, a lud zalegał płaszczyznę.

Wspaniała masa murów na wieki zdaje się zmurowana w 1780 r., jak świadczy napis na tablicy marmurowéj. Dawniéj znać był kościół drewniany, lub inny; dowodem odwieczny grób Tyszkiewicza hetmana i jego żony, znajdujący się w sklepach kościelnych. Prócz tych trumien jest jeszcze kilkanaście

zwalonych bez ładu. W kościele wielki obraz Tyszkiewicza, w dawnym stroju, karabela, wąs zawiesisty, mina marsowa.

Przy kościele jest klasztor księży Dominikanów i oficyna, w któréj myśmy się rozgościli; zresztą żadnych zabudowań, żadnéj wioseczki, tłumy koczują pod gołém niebem. Ponieważ to dzień powszedni, byliśmy sami gospodarzami. W oficynie dostały się nam dwie stancye, jedna obszerna, jak raz dla przyjęcia tak licznéj kompanii, nocleg kobiecy, druga mniejsza dla nas.....

IX.

Nareszcie ułożywszy zawiniątko, wybrałem się do Druskienik. Przez miasto szliśmy piechotą, a za miastem siedliśmy do ekwipażu nakształt wozu, lecz wóz to królewski, doskonale w nim leżeć, rozciągnąwszy się jak długi. Udawałem téż śpiącego, a wyobraźnia rysowała mi Druskieniki i nowe w nich znajomości.

Byle był ogień w duszy, iskry się z oczów posypią i rozjaśnią, ozłocą najbardziéj prozaiczny widok. Nie może być nudniejszéj drogi, a jednak mi się nie dłużyła; udało mi się nawet znaleźć piękne widoki na ziemi i na niebie. Na niebie słońce zachodzi, a nad niem w szerokiem półkolu rozściela się łuk tryumfalny z obłoków, umalowanych mocno różowym i fijoletowym kolorem; nad łukiem i wewnątrz błękit, przy kraju widnokręgu Boska źrenica nasuwa się powieką i błyszczy chwil kilka promienistemi rzęsami. Z dwóch stron przypierają do bramy białawe chmury i piętrzą się murem w różne kształty, jak gdyby z za muru wyglądały wierzchy gmachów. Na ziemi znowu w Krynicznéj piękna dolina, kępy drzew, chaty leśnicze, mignęły przelotem i znowu płyniemy szczerozłotym litewskim piaskiem, bez śladu wegetacyi; nawet wrzos, czembr, rozchodnik nie chcą na nim porastać i tylko tu i owdzie podnosi się bukietem jarzębina, sosenka, układa się kępiasto jałowiec (znać to szczególny gatunek, rośnie równo i gęsto, niby starannie pielęgnowany i obcinany według formy nożycami ogrodnika), tu i owdzie mały wzgórek porosły rzadką trawą. To morze kilkowiorstowe piasku, niedojeżdżając do Szendubry, naokoło jest opasane wstążką czarnéj, żyznéj ziemi, w dwóch punktach przecina je droga; od wjazdu gęsty lasek i zboża, przy wy-

jeździe łąka, rzeczułka i na wzgórzu zabudowana wioska. Droga znowu tonie w piaskach, konie grzęzną po brzuchy, pracując, nim się wydobędą na górę. Daléj ciągłe lasy i zarośla, kraj senny i smutny.

Stanęliśmy w Druskienikach około dziesiątéj wieczorem i można było przebyć miasto w naszym pojeździe nie lękając się złośliwych uwag. Druskieniki rano spać się kładną... Dziwnie i pięknie wydały mi się Druskieniki przy blasku księżyca, który płynął poważnie w łodzi z obłoków po chmurzystém morzu, a muzyka nocna, powiew wiatru w okolicznych zaroślach, szmer nadrzeczny, muzyka uroczysta, gdy ludzie snem zdjęci a natura czuwa i z wolnéj piersi głos dobywa, przejmowała duszę pobożną trwogą, usposabiała do fantastycznych uniesień. Przed memi oczyma nie było ruchawego, pełnego zgiełku miasteczka, po którem ludzie snują się jak w mrowisku; przedemną był cień miasta milczący, zamglony i przeze mgłę promienny. Mój cicerone opowiadał jak się nazywają właściciele domów, ulice, które pierwszeństwo trzymają, lecz te statystyczne wiadomości kołatały w bębenek ucha nakształt wieczornéj pobudki, temi słowy — już późno, czas zabrać się do spoczynku. Bądź zdrów mój cieniu! po dniu jakże mi się wydasz?

Po dniu co innego, rozjaśnił się plan miasta, przypomniałem sobie statystyczne uwagi, wpłynąłem do ogólnego ruchu. Domki wybielały, straciły osobliwość swoją; już mi myśl nie przyszła jak wczoraj, coby ludzie myśleli za kilkanaście wieków gdyby Druskieniki zasypał piasek, i gdyby kiedyś wypadkiem odkopano to litewskie Herkulanum. Jakże szczęśliwy musiał być lud w tym wieku, powiedzianoby wtedy, nie było nędzarzy ani ubogich; bo w saméj rzeczy ledwie rzemieślnik lub handlarz jaki zabłąkał się tu między tłumem panów obywateli...

....Wszcząwszy rozmowę z chłopkiem, dowiedziałem się od niego naprzód, że blisko Grodna, przy samym Niemnie, znajduje się ogromny pokład kredy, zkąd ją tutejsi mieszkańcy na bielenie domów sprowadzają. — Zkądżeś sam? — zapytałem. — Tutejszy, dobrodzieju. — Musisz tu dobre miewać zyski. — Oj były panie dobre czasy i dla nas, ale jak panowie opanowali Druskieniki i nastawiali pałaców, tak na nasze

chatki nikt patrzeć niechce. Bywało człowiek i nie wie o swoich pieniędzach, bo jak najadą chorzy panowie, to płacą za każdy kątek jak sam zechcesz, a mieszczą się jak Bóg dał. Kto spóźnił się do nas, musiał mieszkać o pół mili i codzień wozić ztąd wodę na wanny, a dla tego byli kontenci, bawili się wesoło i dobrze płacili. — Dawnoż to tak było? — Ot panie temu jeszcze ledwie lat sześć nazad jak tamta chałupa nazywała się pałacem i sam pan gubernator w niéj mieszkał, w odrynach było pełno karet, a w oborach i chlewkach takie wielkie konie, żeśmy czasem uszaki wyrąbać musieli, żeby je można było wprowadzić; ale czemu nie rąbać, kiedy za to rublów jak lodu? — I samiż tylko chorzy tu przyjeżdżali? — A jakie panie? ale to już wiadomo, pańska choroba lepsza niż nesze zdrowie...

Pieniądze przez ręce chłopków płynęły do żydowskich kieszeni, a tymczasem rosło miasteczko; dzisiaj zakwitło, dzisiaj może w najświetniejszym stanie, przy ogólnym najeździe z prowincyi zachodnich. Panowie pobudowali domki dla siebie, dla przyjezdnych, budowali roskosznie dla roskosznych gości. Niektóre wraz z oficynami liczą do sześćdziesięciu pokoi; pierwszy dom w Druskienikach, dom sędziego Hłaski, także drewniany, cenią na 15 tysięcy rubli....

Założono cukiernią, sklepy, traktyer, salę resursową, nawet kościołek.

Nad brzegiem Niemna jest kilka źródeł starannie ocembrowanych, tuż obok olszynki, niegdyś dzikim laskiem rosnącéj wśród błotnistéj niziny, którą zamieniono w ogród spacerowy. Tu co ranek gra muzyka i plączą się w ciasném kółku roje przechodzących, brzęczą jak pszczoły koło ula; kobiety połyskują różnobarwnemi strojami niby kwiatki latające, niby motyle. Na tle ciemno-zieloném olszynki ładnie odbijają białe ściany łazienek, długiéj prostokątnéj budowli. Tego roku wiosnę i lato mieliśmy nadzwyczaj dżdżyste i chłodne, zjazd jednak liczny i na lipiec obiecują mnóstwo gości. Cieszą się panowie gospodarze: dwa, trzy miesiące stanowią ich dochód, a kto wie może dwa, trzy lata, póki szał nie minie, póki napływ nie zwróci się w inną stronę. Ogród Hłaski nad Rotniczanką, któréj brzegi wysokie, urwiste, założony na pochyłości z widokiem

na brzeg przeciwny, na którym są rozrzucone domy bliskiéj wioseczki. Rzeczka ta przed kilku laty bardzo zajmujący musiała przedstawiać widok, gdy obszerny wąwóz między dwoma brzegami wypełniał się masą spienionéj wody. Jezioro Sałackie, o 6 mil odległe, znudziło się widać ciągle siedząc na jedném miejscu i poszło w świat szukać szczęścia, narobiło wiele hałasu, i wlawszy się do Niemna, nie zostawiło po sobie śladu prócz dawnego osuszonego łożyska.

Łazienki i olszyna leżą nad samym brzegiem Niemna, po drugiéj stronie królestwo. Druskieniki, choć nad brzegiem Niemna, leżą w arcy-nudném miejscu, między sosnowemi zarośłami, na piaskach, oddychają delikatnym pyłkiem, który podnosi się kłębami, przebija się przez odzież i ściany, wyjada oczy, tłumi oddech. A jednak na ziemi czczéj i jałowéj wyrosło miasto, rozwinęło się życie, gdy tyle miejsc w najżyzniejszéj okolicy, w najpiękniejszém położeniu, dziczeje jak wyszły z rąk Stwórcy.

X.

Przeszłość rozwinęła się przedemną długim rzędem obrazów, a między niemi odbijały się najwyraźniéj białe ściany Kazimierówki. Dom wiejski ze słomianą strzechą, z dużemi oknami, gankiem o czterech słupach oplecionych dzikiém winem, a na około domu wiankiem gęste zabudowania i kępy zieloności. W pokoju rodziców widziałem siwego jak gołąb' starca, na twarzy za pierwszym rzutem oka wyczytałbyś spokojność sumienia, czerstwość ciała i umysłu, któréj nie zamąciły nigdy burzliwe namiętności; siedział w wygodném krześle z książką w ręku lub kraśląc z wolna długie listy do dzieci. Obok zajęta jaką robotą dobra moja matka, nieodstępna towarzyska doli i niedoli; pociocia Kasia krząta się koło zatrudnień gospodarskich. Z pokoju rodziców drzwi do salonu, salon pusty, gość rzadko się pokaże; i po cóżby jeździli? ani tu huku, ani zabaw, ani wielkich dostatków, w salonie miniatury chłopców i mojéj bratowéńki. Przejdźmy daléj z salonu do naszego pokoju..... Na uboczu wygodne kawalerskie mieszkanie, okno na ogród zasłonięte siatką, dniem i nocą otwarte, przez nie zaglądają gałęzie wiśni; w pokoju dwa łóżka, szafa z książkami, stolik. Tuśmy mieszkali z Ignacym, tuśmy czytali, rozumowali, fajkę palili

i nieraz po północy zbudził rodziców śmiech głośny, serdeczny, śmiech młodego wieku, bez ironii i troski o jutro. Ogród, jest to czworograniasty kawał pola przy domu, zasłonięty od wiatrów wschodnich i zachodnich gęstym rzędem czereśni, od północy wysokim parkanem, przy którym ojciec pielęgnuje winograd, morele, brzoskwinie: ściana od południa otwarta, płot otarniowany. Ogród warzywny i owocowy. Zostawiłbym mu ten charakter, wyrzuciłbym klombiki, kwiatki i kwiatuszki: przed oknami niech będzie murawa i jeden klomb wielki, w którym kształtnie wygrupowane krzewy i kwiaty krzaczyste, a dalej tuż za ścianami z malin, porzeczek, agrestu, szłyby warzywa, konopie i szparagi; wśród nich, długiemi sznurami drzewa owocowe. Przed domem, w miejscu akacyj lub drzew rozłożystych, które nadto rzucają cienia na słomianą strzechę, posadziłbym pięć wysmukłych topoli, niby kolumny domowego porządku. Za ogrodem ciągną się żyzne niwy, dalej łączka, wprost przed domem lasek, na prawo widać gościniec pocztowy.

Jakby to dobrze było zostać pełnym właścicielem Kazimirówki! Z zamiłowaniem oddałbym się gospodarstwu, dla zabawy nauczyłbym się orać, żąć, kosić, młócić, chodzić koło uprzęży. Chodowałbym konie, pszczoły, zaprowadziłbym płodozmienne gospodarstwo, utrzymywanie bydła na stajni itd. itd. Wieleż mi brakuje na to.... kilkunastu tysięcy, które niejeden ziewając stawia na waleta lub damę.

XI.

Już jestem na bitym gościńcu, już pędzę co w koniach tchu staje i płacę przyzwoite tryngielta. Do maleńkiéj bryczki zakładali mi cztery konie: pędzę, a pierś wysoko się podnosi, swobodnie oddycham i wciągam głębiéj do płuc powietrze, jakby to znaglić mogło konie do biegu.

We dwa dni stanąłem we Włodzimierzu, u wujowstwa P.... mil 55. Ciotka oświadczyła, że mnie do rodziców odwiezie, ale nim się kobiety wyguzdrały, dwa dni uszło. Deszcz lał rzęsisty, nie uważaliśmy na to, a raczéj ciotka miała wzgląd na moją niecierpliwość. Minęliśmy granicę, już i znajome miejsca. Lecz jakże długo wiorsty się wloką! konie udają, że biegną, proszę, krzyczę, major P.... przykazał... nic nie pomaga! Wo-

łałbym biedz w błocie po kolana. Wyskakuję nareszcie do nitki przemokły na ganku. Nowe psy szczekają, mój wychowanek wyjez radości i łasi się koło mnie. Z okien tego nie postrzegli, z okien widzą tylko nieznajomego mężczyznę; właśnie moja kuzynka za mąż wychodziła, pewnie jéj narzeczony. Wychodzi smagły jak cygan student podrostek, miałem tyle mocy nad sobą, żem się z nim grzecznie przywitał. Nie poznali mnie. Ciotce Kasi powiedziałem komplement: »jak pani dobrze wygląda!« pocałowałem w rękę, ona mnie w ramię. Ojca nie miałem serca zwodzić, rzuciłem się do kolan i prosiłem o sekret przed matką. A! muszę się pochwalić, że matka robiła do mnie tualetę; była dopiero ósma czy dziewiąta zrana. — Matka wyszła mówiąc: »Tego jeszcze nie znam!« ale usta jéj kłamały sercu, serce zadrgało w téj chwili i krzyknęła: »Seweryn!!«

Co daléj było, jak mnie ściskali, jak byli radzi, jak miejsca znaleźć nie mogli — zbytecznie mówić.

A dziecię kochane, a miłe, a moje!
A jakie to dworne, a mężne, a grzeczne!
A jakie to strojne! a jakie stateczne!.....

XII.

Sposób życia mojego ojca regularny jak zegarek.

Zrana wstaje około ósméj, modli się i pije kawę, o dziesiątéj kieliszek wina, obiad powinien być punktualnie w południe, po obiedzie kawa, koło szóstéj herbata. Cały dzień czyta, po herbacie patrzy jak siostra ciągnie pasians, a teraz że jest partya, grywamy dwa lub trzy robry w wista, który mnie szczerze unudzi; o dziewiątéj kładnie się spać z zawiązanemi oczyma, bo do oczu na noc przykłada wodę różaną.

Dwom rzeczom tylko się dziwię. Jak ojcu w wieku podeszłym służą oczy, żeby cały dzień czytać, uwaga i cierpliwość, żeby czytać francuzkie romanse, których G.... obficie dostarcza, i jak ojciec może wytrzymać całą zimę w swojém krześle....

XIII.

Bóg nie naznaczył mnie piętnem wyższości: sława mnie nie czeka, życie moje nie było bogate w wypadki, te wspomnienia są niczém dla obcych mi osób. Byłem cierpiący, zaród mojéj choroby leżał w usposobieniu skrofuliczném, przyczyny mo-

ralne je rozwinęły; gdyby nie czuła troskliwości J... i M. Sz..., gdyby nie nadzieja powrotu w rodzinne strony i zaczęcia nowego lepszego życia, możebym nie pisał tych notatek. Pomimo kuracyi zaród złego nie jest zniszczony; nie wiem kiedy mi przyjdzie rozstać się ze światem, chciałbym zostawić pamiątkę kilku osobom. Dla rodziców każda wiadomość, najdrobniejszy szczegół nie będzie obojętny; znam szlachetny charakter i wierzę w przyjaźń Aleksandra B., Michała, Teressy... W ich pamięci radbym żyć zawsze i dla nich piszę.

Dla moich notatek mam czułość rodzicielską, to moje pierworodne, ulubione, może jedyne dziecko. Mam je nie dla świata, lecz dla siebie i dla swoich. W nich jak w czystym zdroju odbija się jasne niebo mojéj duszy, ich oblicze zaćmi się chmurami jak zwierciadło wód, nieraz nad niemi zawiśnie mgła smutku i tęsknoty. Piszę je pod wrażeniem chwili, bez sztuki, w prostocie ducha. Przyjmcie je moi drodzy, z taką chęcią z jaką je wam przekazuję....

XIV.

Odessa ma zupełnie odrębną fiziognomiją od miast rosyjskich, jest to miasto cudzoziemskie i handlowe. Wiele domów polskich osiada tu dla edukacyi dzieci, którą matki biorą na siebie w postaci żaknotów i koronek; w porze letniéj zjeżdżają się do kąpieli morskich obywatele, liczna klasa komisantów składa się po większéj części z szlachty naszych prowincyi, lecz główny ruch handlowy i przemysłowy utrzymują Włosi, Grecy i Francuzi. W Odessie przemaga pieniądz i towar, moralna wartość człowieka ustępuje przed duchem spekulacyjnym. Każdy zajęty sobą, zajęty zyskiem, spieszy za swemi interesami, zbędzie pytającego krótko. Dobra poczta jest najważniejszą nowiną, karbowańce ciągle się obijają o uszy. Miasto całe murowane z muszlowego kamienia nie lęka się ognia. Szosse z tegoż kamienia zbudowane, za najmniejszym wiatrem, rzuca tumanami wapnistego pyłu, który wyjada oczy i płuca; w jesieni robi się z niego rzadkie błoto, które przechodzący zabierają w kalosze. Dwie rzeczy dla mnie nieznośne są w Odessie, pył i gorąco. W dzień i w nocy jak piec paruje, kąpiel morska otrzeźwia i utrzymuje przy siłach; rzeczna w porównanie z nią iść nie może, szczególniéj gdy fale unoszą. Woda czysta, dno

piasczyste, od brzegów płytko, coraz dalej to głębiéj. W Odessie nauczyłem się pływać.

Pierwszych dni, pomimo pyłu i gorąca, zwiedziłem punkta główne. Palais-Royal, zbudowany w czworokąt, zajęty przez najpierwsze magazyny, środkiem plac wolny, na którym jest kilka drzewek zwiędłych i zakurzonych. Tutaj odbywają się wieczorne przechadzki, a tłum ludzi ciśnie się jak na procesyi, wśród zaduchu i mieszkań pod ziemią, z których dolatują zapachy potraw i tłustości. Bulwar nad portem, drugi punkt spacerowy, z którego na brzeg morski prowadzą wspaniałe granitowe wschody o dwiestu kilkudziesiąt stopniach.

Zrana zbierają się chorzy u wód; nie lubię bywać w tym ogrodzie, staje mi zaraz w oczach nasz ogród Saski, gdzie drzewa rozrosłe, zieloność świeża, powietrze czyste, a szum miasta niedolatuje.

Główne ulice Deribasowska, Richelieu. Byłem na chotorze Langerona, trochę akacyj, widok na morze, i pomnik który hrabina Langeron wystawiła na pamiątkę odwiedzin cesarzowéj. Byłem na operze, wydała mi się przecudna, dla tego że lepszéj nie słyszałem. Otóż skończone — podobno mało już znajdę resursów w Odessie, prócz tych które z sobą przywiozłem.

XV.

......Od Grodka uderzająca różnica położenia kraju; wjechaliśmy w powiat hajsyński na Podole; krajobraz ciągle urozmaicony, połamany w najpiękniejsze okolice, wśród których wioski tulą się po jarach nad wodami, lub wieszają po wzgórzach. Tu chciałbym mieszkać jéśli ludzie mają dusze. Nie ma ziemi nad Podole....

W Ładyżynie spotkaliśmy się z Bohem, był to majątek Aleksandra Potockiego... przez bałcki powiat wjechaliśmy w stepy chersońskie, a deszcz który nas poprzedzał, przybił kurzawę i odświeżył powietrze. Pędziliśmy bez znużenia przez bujne stepy, bez drogi prawie, pokrzyżowanemi śladami.... Z Bałty do Araniowéj jechaliśmy doliną stepową, między dwoma wzgórzami, przez którą płynęły wody morza, jak świadczy dno muszlowate. Między Araniową a Odessą również dolina Kujalnik — pod Odessą byliśmy w kamieniołomach, zkąd dobywają kamień miękki do budowli, trą piłami w czworograny....

Na stepie nieurodzaj pewny przez lat kilka, lecz jeden rok dżdżysty hojnie wynagradza straty. Gaspodarstwo stepowe jest więcéj pasterskie niż rolnicze; konie, bydło, owce, stanowią główne bogactwo... Lud na stepie rozmaitego pochodzenia, najwięcéj zbiegów z pogranicznych gubernij. — Smutny widok stepowéj chaty, sama sterczy, bez żadnych zabudowań, niekiedy tylko podwórze obwiedzione niskim murem z kamienia. Chaty lepione z gliny i kamieni. Zboże i siano składają w stogi, a młócą końmi przywiązanemi do słupa, które obiegają rozłożone zboże; — nawozem palą, urobiwszy go w cegły ze słomą i wysuszywszy na słońcu. Konie i bydło zimują pod gołém niebem.

Byłem na kilku mogiłach i z mogiły wszędzie na dwie strony dwie mogił widziałem, wyraźnie oznaczają ślad szlaku.

Krzywe Jezioro, tu już step się kończy, a nasz kraj zaczyna; widok kraju weselszy, wioski i dwory po naszemu zabudowane. — Sofijówka zupełnie odpowiedziała moim oczekiwaniom; ogródek niewielki, bo obejść go można bez utrudzenia, ale śliczny jak cacko. Mnóstwo pięknych rzeczy zebranych w małym obrębie, jednak natłok ich nie razi, tak są zręcznie rozmieszczone i ukryte.

Na miejscu gdzie stoi kolumna strzaskana, rosło kilka brzóz i grusz dzikich; dzisiaj mamy przed sobą gaje cieniste. Więcéj jak zasadzenie drzew musiało kosztować trudu dźwignięcie i przeniesienie ogromnych skał. Czasami straszno stanąć pod skałą, zdaje się na głowę runie, a jednak kunsztownie położona, wieki przetrwa bez odmiany.

Na jednéj ze skał rośnie brzoza; biedna, korzeniami granit rozpiera, jak człowiek młody i silny duchem, który do ostatniego walczy z losem; jak on, smutna schyliła czoło, opuściła ramiona, a życie krótkie i nędzne, brak pokarmu wyniszczy albo wiatr ją złamie.

Ze sztucznych ozdób najwięcéj mi się podobało źródło Hipokreny; amfiteatr z obu stron otoczony wzgórzem porosłem drzewami, z kamiennego słupa szeroką wstęgą przelewa się woda jak łza czysta, przez szklanny kosz z kwiatami. Widoków dalekich nie ma Sofijówka i to jedno można jéj zarzucić; piękności są zaciśnione, ustronne, lecz miłe; sztuka wzięła sierotę opuszczoną przez matkę naturę i była dla niéj troskliwym ojcem.

Na polach elizejskich jest popiersie Trembeckiego, dworaka i pańskiego wierszopisa. Obiegłem i zrozumiałem ogród, choć od natłoku wrażeń bolała mnie głowa; po obiedzie poszliśmy znowu. Była to niedziela; przy odgłosie muzyki zwiedziliśmy Sofijówkę, ożywioną przez puszczone wody; woda dla krajobrazu jest krwią krążącą po jego żyłach. Trzydzieści stawów spuszczono, by Sofijówka miała przez kilka godzin co tygodnia wodę. Zachwycił mnie widok z mostka, niedaleko od place de reunion, targowiska na panny w języku bałagułów. Z jednéj strony kaskada, dolina, na któréj są porozrzucane olbrzymie głazy; z drugiéj zbiór wody, wśród którego wytryska na trzydzieści stóp fontanna, a w koło brzegi i tarasy, strojne drzewami i murawą. Pyszna to rzecz kaskada! massa wody wali z góry i rozbija się o skały.... a potém znów poważnie i spokojnie płynie. Stojąc nad nią, przychodzi ochota cisnąć się w głąb i zginąć.... Z widoków wart jeszcze wspomnienia ze śluzy na wyspę i rozrzucone grupy drzew.

Zamykam wreszcie notaty, ledwie zastygłą spisane ręką, z których tyle tryska życia; zdaje mi się, że one z nowéj strony dałyby poznać Seweryna Gołębiowskiego, gdyby je ktoś ułożył, uporządkował, okrzesał z powtarzań i odjął co nazbyt osobiste, a dla ogółu obojętném być może. Wszędzie w nich widać człowieka, który przedewszystkiem starał się o wyrobienie w sobie silnego charakteru i niezłomnéj woli; wszędzie się przebija pragnienie udoskonalenia, popęd ku ideałowi moralnemu i najpoczciwsze serce. Żal zaprawdę człowieka, któremu śmierć zabiegła drogę w chwili, gdy ją pewniejszy coraz siebie, śmielszy, silniejszy, rozpoczynał z odwagą i wytrwałością za przykład służyć mogącą. Przecież nie stracone to życie, nie zmarnowane te lata, a owoc ich, w stosunku do okoliczności, obfity i piękny. Do nielicznych w literaturze współczesnéj gwiazdek, które już błyszczeć przestały, przybywa nam jedna, mająca swój własny blask, barwę indywidualną i charakter wyrobiony nie naśladownictwem, ale osobistą siłą — nie wątpię, że ocenić ją potrafimy.

Dotąd w ogólności w literaturze naszéj, w sądach o lu-

dziach pracujących dla niéj, jest wielka niesprawiedliwość; skłonni jesteśmy do dwojga ostateczności tylko: apoteozę lub potępienie rzucamy nieodwołalnie. Co gorzéj, jak to Siemiński słusznie uważał, dwóch imion nawet utrzymać nie umiemy na szali i przeważyć z sobą; jedna gwiazda ćmi i zabija drugą, nowy przybysz musi być mordercą poprzednika...... Krytyka nasza jest wyrazem mody raczéj i jakiegoś szału chwilowego, niżeli rozsądku i uczucia piękna; tak Deotyma detronizuje zaraz wszystkich poetów bez wyjątku, tak pan Z. Kaczkowski rozpoczyna nową erę i dynastyę, a to co ich poprzedziło, idzie w otchłanie zapomnienia. Każdy z kolei ma swój dzień weselny, ale gdy drugiemu wieniec plotą, pierwszemu trzeba się w trumnę położyć, choćby był żyw i najżywszy. Dla tego na gwiazdach drugiego rzędu literatury naszéj krytyka nigdy poznać się, ocenić ich, wyznaczyć im miejsc stósownych nie umiała, a pierwszorzędne nawet talenta, byle jakaś nowostka, ustępować jéj muszą z drogi. Krytyka nasza jak wszystko namiętna, żywa, unosząca się, zamiast wskazywać drogę sądom ogółu, bałamuci je i kieruje fałszywie wedle chwilowego swego widzimisię; nie umie kleić, łączyć, jednoczyć; wyłącza tylko, neguje i zabija. Ale i to jest dobrym znakiem: nie jesteśmy w epoce krytyki, tworzymy jeszcze i żyjem; wnukom pozostanie chłodne porządkowanie bogactw dzisiejszych i anatomia przeszłości; mamy nadzieję, że i Seweryn Gołębiowski choć nie dziś może, skromne miejsce, na jakie zasłużył, w kronice literatury naszéj otrzyma.

Kisiele, dnia 17. lipca 1854.

J. I. Kraszewski w życiu domowem.

Mało jest takich pisarzów, którychby dzieła tak były powszechnie znane i czytane, którzyby tyle drukiem ogłosili, tak nieustannie, tak niezmordowanie pracowali, jak J. I. Kraszewski, ten poeta, powieściopisarz, historyk, badacz starożytności, recenzent dzieł, artysta itd. Od roku 1832, lat więc już przeszło dwadzieścia, Kraszewski bezustannie coraz nowe prace drukiem ogłasza, to w Wilnie, to w Poznaniu, to w Kijowie, Peters-

burgu, Warszawie. Nieomal co kilka tygodni nową wydaje powieść, pomimo że pracuje i w innych jeszcze gałęziach literackich; zdaje się, że się wyczerpać nie może, że coraz staje się płodniejszym i artystyczniejszym, jak tego dowodzi ostatnia jego powieść drukowana w Gaz. Warszawskiéj pod tytułem: »Powieść bez tytułu.« Prawie w każdym numerze Gazety Warszawskiéj drukują to jego powieści, to listy różnéj treści, recenzye dzieł, doniesienia i tym podobne rzeczy.

Każdy ciekawie dopytuje się o szczegóły życia mężów zasłużonych, wsławionych, ze czcią wspominanych. Spodziewamy się przeto sprawić przyjemność czytelnikom naszym, gdy im podamy wiadomość, acz krótką, urywkową, o domowém życiu Kraszewskiego i jego rodzinie.

».....Dni temu kilka *) byłem u Kraszewskiego w Żytomierzu; zastałem go na wyjezdném prawie. Bardzo, bardzo jestem zadowolony z poznania go: miły, dobry, łatwy w pożyciu, przyjemny w obcowaniu, otwarty. Takim mi się wydał przy pierwszéj z nim znajomości. Widywałem go przez trzy dni. Dowiedziawszy się od księgarza, iż Kraszewski jest w mieście, natychmiast poszedłem do niego wieczorem; zastałem go przy herbacie, w familijném gronie. Żona i czworo dzieci otaczały tego człowieka, któremu nasi czytelnicy wiejscy dają za kochanki wszystkie bohaterki jego powieści. Kraszewski wygląda jeszcze młodo; rzeźwy, dowcipny, z miłą bardzo twarzą, podobniuteńką, jak dwie krople wody, do portretu wydanego przez Wilczyńskiego.«

».....Mówiłem z Kraszewskim o jego dziełach, o osobliwszéj jego płodności, pracowitości, o zadziwiających siłach, z któremi tak pracuje i pracuje od lat 22. Mówił mi na to: »Zarzucają mi brak wypracowania w moich dziełach; zdaje się im, iż one mię nic nie kosztują myśli i trudu, dla tego, że wydaję kilka tomów do roku. Nie wiedzą tego, iż każda choćby najmniejsza powiastka obmyśla się więcéj roku, że pierwéj robię plan, określam charaktery osób działających, notuję, spisuję ich biografie, kreślę szczegółową kartę miejscowości; długo żyję z niemi, długo badam te wyrojone postacie, nim one uwy-

*) Pisze P. Nowosielski w liście do znajomego.

datnią się dla mnie, nabiorą życia i wyraźnych kształtów. Pokażę ci dowody tego. Każda powieść ma liczne materyały. Nie tylko, iż nie dyktuję nikomu moich romansów, ale sam własną moją ręką przepisuję najmniejszą powiastkę na czysto. Mnóstwo pracy! Jeśli jéj nie widać dla oka czytelnika, tém lepiéj.« Widziałem bruliony i odpisy na czysto. Bóg jeden zna tajemnice tego człowieka, jak mu czas wystarcza na to wszystko. Pracy mnóstwo — lecz Kraszewski nie lęka się jéj, owszem, szuka jéj, wymyśla sobie zajęcia. Mnóstwo listów na stole, na które ma odpowiedzieć i odpowiedzieć po swojemu: obszernie, szczerze, po przyjacielsku. W gabinecie jego i bibliotece mnóstwo obrazów, pomiędzy któremi są oryginały. Pokazywał mi Madonnę Guido-Reniego, na blasze miedzianéj malowaną; z drugiéj strony napis po polsku:

Cnego mi Guido-Reni ręka życie dała,
A ciekawość dowcipu w Rzymie wychowała;
Potém ze Włoch do Polski na prezent oddany,
Z podłéj ręki do zacnéj widzę me przemiany,
Oh! dziwne jakieś ze mną fortuny odmiany!
Pierwym był wizerunkiem malarskiéj dzielności,
Potém usług ofiarą, acz celem godności.

Obraz ten był pierwéj w Horodcu, w zbiorze Urbanowskich; wspomniał o nim Kraszewski w swoich Wspomnieniach Wołynia, Polesia i Litwy. Bodaj najzasłużeńszy nasz pisarz sam zajmuje się malarstwem; obrał sobie rodzaj widoków — i w pracach jego widać talent wyraźny, osobliwie wielkie uczucie piękna. Pejzaże jego wiele mają w sobie tego wyrazu, przez który natura przemawia do duszy człowieka, a artysta rozumie i stara się wytłumaczyć innym za pomocą sztuki. Nie masz książki, gazety, którychby Kraszewski nie czytał. Co jest najnowszego, wszystko to leży w około niego; w wielu miejscach znajdziesz zakładki, uwagi robione ołówkiem na maryginesach. Książka nie zabiera mu całkiem duszy i serca. W każdéj porze wbiega do jego pracowni śliczne dziecko, pięcio czy sześcioletnia córeczka, i stanąwszy we drzwiach, jakby obrazek z ramek, pogląda na swego ojca. Wiele, wiele tu serca i myśli! Takim przynajmniéj wydał mi się Kraszewski. Dowiedziawszy się, iż wcale nie znam Żytomierza, powiózł mię pokazać prześliczne

jego okolice po nad Teterowem. Nie myślałem, żeby to było coś tak pięknego! Widok Żytomierza Wilczyńskiego najmniéj jest piękny. Nie mówię już o tém, iż potrzeba wielkiego mistrza, aby odtworzył charakter tych krajobrazów. Kraszewski kocha się w tych widokach. Co krok inne ramy, inna natura, inszy jéj charakter! Gdyśmy powrócili, Kraszewski pokazał mi grube album, w którém znalazłem pełno widoków zdjętych z najpiękniejszych miejsc, zwiedzonych przez autora *Poety i Świata;* tu były Wołyń i okolice Odessy, widoki Akermanu, stepy Chersońskie, i tylko co zwiedzone przez nas brzegi Teterowa. Piękna, poczciwa praca! Wyjechałem z Żytomierza, pokochawszy więcéj jeszcze Kraszewskiego niż go kochałem pierwéj. Dla czego u nas tak mało podobnych mu ludzi?« *Tadeusz Padalica.*

Podajemy jeszcze drugi wyjątek z innego listu drukowanego w Gazecie Warszawskiéj: *)

»Jako podróżny, udawszy się najprzód do kościoła, z tém większém upragnieniem pospieszyłem ztamtąd powitać naszego znakomitego pisarza, uczonego i artystę, I. J. Kraszewskiego, którego prace wszystkim znane, lecz którego osobista znajomość tak miła i droga tym, komu ją los szczęśliwy zdarzył. Chociaż wyłącznie zajęty drogą osobą samego gospodarza, uczułem wkrótce uwagę moją rozerwaną mnóstwem przedmiotów rożnorodnych, których całe zastępy i każdy pojedynczy szczegół żywą budziły ciekawość. Już w pierwszym gabineciku oko zaczęło się błąkać od Madony Guido Reniego, czuwającéj nad przecudnie uśpioném boskiém dziecięciem, od oryginalnego nader portretu pędzla pana Kazim. Komarnickiego, od pejzażu Gudin'a, do pejzażów samego gospodarza, tak wybitnie nacechowanych odrębną manierą kompozycyi, któréj charakter skreśliliśmy dawniéj w liście jeszcze z Odessy pisanym. A tuż obok, stosy starożytności, a z tych najciekawsze te, które na naszéj znalezione ziemi. Z półek drugiego gabinetu wyglądają tłumnie folianty bibliograficznych rzadkości, rzadkie broszury polityczne przeszłych dwóch wieków, dzieła fundamentalne wielkich bibliotek — skarbnice erudycyi, fury listów z podpisami imion wsławionych w rozmaitych gałęziach nauk i sztuki — i najciekawsze

*) Patrz Nr. 181. r. b.

rękopisma gospodarza, na których niedyskretne oko wyczyta tytuły nieznane jeszcze ani gazetom, ani nakładcom. Chociaż to niedyskrecyi korespondentów wolno zdradzać tajemnice podpatrzone lub podsłuchane, byle ciekawe — możebym się i ja na to zdobył; lecz gdy zdrada zawsze rzecz bardzo brzydka, zatrzymam się na zapowiedzianym już rękopiśmie najciekawszego z dzieł, jakie mogą wyjść obecnie: »O sztuce w Słowiańszczyznie przed-chrześciańskiéj.« — Dość było przejrzeć same tytuły rozdziałów i ich następstwo, ażeby ujrzeć, z jak nowego stanowiska i w jak gruntowny sposób autor obrobił ten przedmiot, który dotąd, zamiast wyjaśniania, jeszcze więcéj gmatwały niedorzeczne brednie tych, którzy hipotetycznemi marzeniami starali się otrzymać rezultaty, trudne do osiągnienia nawet dla wytrwałéj pracy umysłów wspartych głęboką erudycyą. Wielka ilość rysunków, robionych przez samego autora z wiernością, o którą wybornemu rysownikowi nie trudno, da materyał nie mały do wniosków innym pracownikom, którzy, gdyby się nawet nie zgadzali z krytyką archeologiczną pana Kraszewskiego, w nim znajdą najobfitszy zasób materyałów i najlogiczniejsze przewodnictwo. Zdaje mi się tylko, iż nie łatwém będzie u nas wydanie podobnego dzieła. A cóż mówić o wydaniu całéj *Ikonoteki?* Czy nie mogłaby też spółka nakładowa warszawska zająć się godném wydaniem dzieł tak wielkiéj wagi. — Trzydniowy pobyt w Żytomierzu przemknął mi jak chwila i dopiero poznałem, że zaledwo trzy tygodnie codziennéj pracy wystarczyłyby na korzystne przejrzenie skarbów tych, z których sam gabinet sztychów polskich liczy już dwadzieścia kilka tysięcy egzemplarzy. I jak miło pomyśleć, że wszystko to nie jest pleśniejącą własnością kollekcyomana, a materyałami, z których niestrudzony i uczony pracownik da nam dzieła, nietylko niezmiernéj erudycyi lecz i umiejętnéj krytyki o sztuce w naszym kraju, od najdawniejszych do najnowszych czasów.

ROZMAITOŚCI.

Ludwik Dmuszewski, przeszły redaktor Kuryerka Warsz. i ubogi rzemieślniczek.

Przed siedmnastu czy ośmnastu laty pan Ludwik Dmuszewski siedział w swoim gabinecie porządkując materyały do jutrzejszego Kuryera, gdy wszedł dyspozytor drukarni z oznajmieniem, że jakiś młody rzemieślnik chce się z samym panem redaktorem widzić. — Pan Ludwik kazał go przywołać. Przybyły mógł mieć lat około dwadzieścia, ubrany był w granatowy szpencer dobrze już podszarzany, twarz miał ogorzałą od dymu, a ręce czarne, zapracowane.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków. A co mi powiesz mój chłopcze? zapytał łagodnie pan Ludwik.

— Z przeproszeniem, czy to jegomość sam majster od Kuryera?

Uśmiechnął się poważny czcigodny wydawca i odrzekł:

— Tak moje dziecko, ja nim jestem. A na cóż ci ten majster od Kuryera potrzebny?

— Ej bo widzi jegomość, ja siła o nim słyszałem, że on człowiek miłosierny i nad biednemi ma zlitowanie.

— Nie zawsze, odrzekł wesoło pan Ludwik i dodał, ale o cóż to chodzi?

— Nie o mało, bo ja przyszedłem prosić jegomości żeby mi pożyczył sto złotych.

— Sto złotych, a to na co?

— Ej wieleby o tém gadać, a jegomość by nie uwierzył, jeszczeby się naśmiał. Ot ja jegomości powiem, że dalibóg jak Matkę Boską Częstochowską kocham, tak za sześć lat oddam jegomości pieniądze co do grosika, i jeszcze do nóg upadnę za łaskę.

— Cóżeś ty za jeden?

— Chłopiec kowalski proszę jegomości. Jestem u kowala Jankowskiego na Chłodnéj ulicy, może się jegomość o mnie dowiedzieć.

— Przyjdźże jutro, ja wprzód każe się o ciebie zapytać.

— Jutro! to już ja dziękuję jegomości za łaskę, do jutra inaczéj sobie poradzę.

— Jak naprzykład?

— Ej co tam gadać, dość że poradzę, trudno ręce opuścić, kiedy potrzeba.

Pan Dmuszewski popatrzył uważnie w ogorzałą twarz chłopca, co tam dojrzał, nie wiemy, dość że odsunął szufladkę biórka i wyliczył na stole piętnaście srebrnych rubli. Chłopcu z radości łzy się zakręciły w oczach, zagarnął pieniądze do kalety, ujął za kolana dobroczyńcę i znów po małéj chwili, pan Ludwik porządkował materyały do Kuryera.

Czy zasięgał wiadomości o swoim dłużniku u kowala Jankowskiego, mieszkającego na Chłodnéj ulicy w domu, który teraz zowią *pod zegarem*, nie wiemy, dość że lata mijały jak zwykle, szybko w radości, leniwo w smutku, a pan Dmuszewski ani razu nie wspomniał o chłopcu od kowala.

W sześć lat nasz redaktor zajmował się znów w swoim gabinecie taką samą czynnością, bo wiadomo, jak on zatrudnienia swoje do zegarka stosował, gdy już bez meldowania wszedł jakiś jegomość w długim, czarnym, porządnym surducie, w cienkiéj bieliźnie, i nie czekając zapytania, ujął go za kolana.

— A co mi pan powie, rzekł usuwając się w głąb fotelu.

— Cóż to, jegomość nie poznał swego dłużnika, chłopaka od kowala Jankowskiego.

— A to ty! rzekł pan Ludwik z twarzą uradowaną, pewnie nie dla tego, że odzyska swoje sto złotych, ale że spotkał taką uczciwość w człowieku prostym, nieoświeconym.

Gdy dłużnik odliczył znów na tym samym stole piętnaście nowych srebrnych rubli, pan Dmuszewski zapytał:

— Powiedzże mi teraz mój kochany, na co ci te pieniądze wtenczas tak pilno były potrzebne, i jakbyś sobie był poradził, gdybym ci kredytu odmówił?

— Widzi bo jegomość, że ja wtenczas byłem bardzo biedny, sierota bez ojca i matki, a nawet i krewnych; ot na łasce kowala, u którego za kawałek chleba i starą odzież terminowałem; a była w tym samym domu uczciwa dziewucha, także sierota po żołnierzu, w służbie u jakiéjś wdowy. Ja ją lubiłem,

bo ona tak ślicznie wyśpiewywała wiejskie piosenki i taka była uczciwa, żeby ją niewiem za jakie pieniądze nie kupił. Trafiło się nieszczęście, że téj pani, u któréj służyła, zginęło cztery srebrnych łyżek, i daléj w posądzki na nią. Nieboga płakała serdecznemi łzami, wywoływała z grobu ojca i matkę, ale nic nie pomogło; zawzięta pani powiedziała, że jeżeli nie zapłaci jéj zaraz sto złotych, odda ją na ratusz. Myślałem, że biedactwo zemrze z żałości; nie spała, nie jadła, tylko przemyśliwała nad swoją dolą. Żal mi się jéj zrobiło, a nie miałem sam ani szeląga przy duszy. Ej trzeba ją ratować, choćby duszę zaprzedać, pomyślałem sobie, i poszedłem do jegomości, bo wiedziałem, że jegomość ma nad biednemi zlitowanie.

— A gdybym go nie miał? pochwycił niecierpliwie pan Ludwik.

— Tobym był ukradł komu te sto złotych, już nawet porobiłem sobie wytrychy do majstrowego kuferka! Wiedziałem, co mnie za to czekało, że to sąd boży kraść, ale ją trzeba było ratować.

— A ona jakże ci się wywdzięczyła za te ratunki?

— Co się miała wywdzięczyć? Czekała na mnie, dopóki nie wygrzebałem się na ludzi. Termin za pięć lat się skończył, zostałem pierwszym czeladnikiem, ożeniłem się z nią i teraz za dwa miesiące moja Magdusia doda mi poszanowania u ludzi, bo będę ojcem.

Pan Ludwik schował pieniądze do téj saméj szufladki, z któréj przed sześciu laty wyszły i coś sobie zanotował na karteczce. Nie wyszło i pół roku, a ów czeladnik kowalski założył sobie warsztat na swoją rękę przy Orléj ulicy, roboty miał pod dostatkiem, że czasem nie mógł wydążyć. Ludzie mówili, że w tém wszystkiém dopomagał mu bardzo ów pan majster od Kuryera; może mówili prawdę, bo pan Ludwik lubił takie ciche sprawki płatać, ale dowodnie nikt się o tém nie przekonał.

Około roku 1847, kowal uzbierawszy sporo grosza, zatęsknił do stron rodzinnych i przeniósł się do niewielkiego miasteczka w Podlaskiém. Jak mu tam idzie, nie wiemy, dość że wybawienie od hańby i byt swój, winien jednemu szlachetnemu uczynkowi.

Gr. K.

Wierny pies.

W Lubelskiém, w wiosce nad rzeką Wieprzem położonéj, od gajów wśród których leży biorącéj nazwisko, w kwietniu r. b. umarł jeden 28letni człowiek. Wierzyciele zaraz rozszarpali sprzęty, tak dalece, że w lichym dworku biednego dzierżawcy zostały tylko puste kąty, na środku katafalk z kilkunastu świecami, przy nim dwóch dziadów śpiewających psalmy, a u progu wierny pies *Łysek* z oczyma w katafalk utkwionemi, jakby wyglądał rychło pan jego z niego wstanie.

Zajechał wóz prosty z dwoma chłopskiemi końmi, wyniesiono trumnę, zebrała się gromadka poczciwych wieśniaków pragnących oddać ostatnią posługę zmarłemu; ruszyły konie, orszak pociągnął powoli ku wrotom, psiko wlokło się za wozem ze łbem ponuro zwieszonym, z ogonem wlokącym się po ziemi.

— Odpędzić psa! krzyknął jakiś kuzynek zmarłego, gniewny, że mu się żadna spuścizna nie dostała.

— Albo on odejdzie, odrzekł parobczak, jego z izby, gdzie nieboszczyk leżał, wodą parzyli, a on wracał.

— To go zamknąć w komórce, dodał tym samym tonem ów jegomość.

Parobczak spełnił rozkaz i wyjącego żałośnie Łyska zamknął w drwalni.

Wkrótce mogiły wiejskiego cmentarza powitały nową sąsiadkę. Nie było w niéj ani bryłki ziemi przyjazną ręką rzuconéj, usypał ją całkiem grabarz, i niczyja łza jéj nie zrosiła. Bo nikt nie wziął spadku, więc nikt nie płakał, a ojca, matki, brata, siostry nie było.

Wieczorem do znanego nam już kuzynka przyszedł parobczak.

— Proszę jegomości, rzekł, Łysek się wygryzł.

— Co to znaczy?

— Przegryzł sznurek i poleciał.

— A to niech leci.

I na tém skończyło się sprawozdanie z ubytku ostatniéj własności nieboszczyka.

Nazajutrz grabarz mieszkający pod cmentarzem poszedł przejść się po swém dziedzictwie. Spostrzegł wczorajszą mogiłę

rozkopaną, i przybiegłszy co mu tchu wystarczyło, znalazł Łyska, który dokopawszy się do trumny, leżał na niéj. Uderzył go kijem raz i drugi, ale pies tylko warczał, a nie ruszył się z miejsca.

Oburzony takiém zuchwalstwem stróż grobowy, pobiegł po gajowego, przyśli wkrótce ze strzelbą i zastrzelili psisko, które poważyło się cmentarną ziemię poruszyć; bo cóż ich mogło obchodzić, że poczciwe zwierze aż w mogile szukało swego pana!

Lew Sapieha.

Gościnnie w Wilnie podejmował Lew Sapieha weneckich posłów. Opowiadał przy uczcie liczne przygody i dzieła rycerskie, wesele i niedolę, położone zasługi i chęci niedokonane. Ale jeszcze się uczta niezbliżała do końca, gdy rzekł synowi swemu: Czas już nadchodzi, zajmij synu miejsce gospodarza, częstuj jakom ja zaczął, i moje chęci dopełnij. I poszedł do komnaty, a po krótkiéj modlitwie, tak życie zkończył jak ucztę.

Dodatek Literacki.

№. 3.

WARSZAWA. Wyszły z drukarni Gazety Codziennéj dwie powieści w trzech tomikach J. K. Gregorowicza, p. t. **Proszaki i Tomek bez nogi.**

— P. Seweryna z Żochowskich Pruszakowa przygotowała do druku **„Obraz literatury polskiéj dla kobiet.“** Dzieło to — jak się wyraża Bibliot. Warszawska — w obszernych ramach, obejmuje trzy spore tomy, albowiem przedstawia obraz piśmiennictwa naszego od najdawniejszych czasów aż do obecnéj chwili. — Dziennik Warsz. udzielając grzecznie słusznych rad, takie uwagi podaje o tém przedsięwzięciu:

»Dowiadujemy się z Biblioteki Warszawskiéj, że pani Seweryna Pruszakowa pisze »Historyą literatury polskiéj dla kobiet« w trzech tomach. Ta wiadomość bardzo nas zajęła. Wyglądamy z niecierpliwością téj przyobiecanéj historyi. Ciekawiśmy najwięcéj tego, co usprawiedliwi ów tytuł autorki »dla kobiet.« W istocie kobiety nasze potrzebują historyi literatury polskiéj, bo nie dla nich ani Wiszniewski, ani Jocher, ani Maciejowski, ani odważamy się to powiedzieć, Majorkiewicz. Kobiety nasze zajęłaby może najbardziéj z tych mnożących się coraz więcéj historyi, historya literatury spisana przez Syrokomlę. Ale Syrokomla pisał dla ogólnego pożytku nie dla kobiet, więc ze spółczuciem czekamy dzieła pani Pruszakowéj. Oczywiście nie będzie tam, bo nie może być, zdania własnego; żeby dzieje literatury napisać, trzeba wszystko przeczytać, a szanowna autorka tylko wycieczkę zrobiła do dziejów i to niedawno, bo jéj talent więcéj powieściowy i więcéj poetyczny w innéj sferze gości, inne przegląda okolice. Studyów więc tutaj być nie mogło, zresztą w głębokie studya kobiety nie wierzymy. Będzie tu kompilacya jak Syrokomli, jak wielu innych, ale zawsze dzieło może *odpowiedzieć i nieodpowiedzieć celowi.* Przed kilku laty zdolna niewiasta polska podjęła się wygotować dzieło w kilkunastu tomach edukacyjne dla kobiet, obejmujące wszystkie gałęzie wiedzy, weszła by tam i historya literatury, nie ma kwestyi, ale rzecz cała skończyła się na jednym tomie podobno. Wielka szkoda! Mamy nadzieję teraz, że co do historyi literatury, brak ten pani Pruszakowa godnie zapełni i przepełni nawet, kiedy nam zapowiadają aż trzy tomy. W kompilacyi téj albowiem sztuka cała zależyć będzie od

wyboru i faktów i wzorów, jeżeli autorka za przykładem Wojcickiego wzory dawać myśli. Dla tego radzibyśmy widzieli z téj historyi literatury usunięte męzkie rzeczy, owe poglądy na postęp matematyki, nauk filologicznych i t. d. Niech tam będzie tego wszystkiego o tyle, o ile to przystoi wiedzieć niewieście polskiéj. Zresztą mamy najzupełniejszą nadzieję, że pani Pruszakowa godnie odpowie powszechnemu oczekiwaniu, niech ją w pracy prowadzi zawsze natchnienie Hoffmanowéj, ale nie Ziemięckiéj; lepiéj skromnie po domowemu, po kobiecemu, jak górnie po uczonemu, po męzku.

— Nakładem G. L. Glücksberga drukuje się powieść Alexandra Niewiarowskiego, autora „Laokona," p. n. **„Rotmistrz bez roty, romans bez planu"** w 3 tomach. Gazeta Warsz. podała z powieści téj kilka wyjątków w feljetonie.

— **„Powieść bez tytułu"** Kraszewskiego zapewne wkrótce prasę opuści, bo druk jéj już ukończył się w Gazecie Warsz.

— I. J. Kraszewski ukończył tom trzeci i ostatni powieści **„Chata za wsią,"** którą Biblioteka Warsz. przyrzekła wydrukować w swoich kolumnach.

— Wykończył także i przygotował już do druku ten niespracowany pisarz dzieło **„O sztuce i starożytnościach słowiańskich"** z 200 rycinami.

Oprócz tego ma pan Kraszewski już gotowych także do druku 6 tomów drobnych powieści, rozpraw, sprawozdań i fantazyi, p. t. **„Zbierana drużyna."** Jest to zbiór — mówi Bibl. Warsz. — już znanych i rozrzuconych różnych pism tego autora po rozmaitych pismach, lub też świeżo napisanych.

— Zapowiedziane dzieło K. Wł. Wojcickiego: **„Cmentarz powązkowski pod Warszawą,"** wkrótce w zupełności ukończone zostanie. Ryciny grobowców i nagrobków do pierwszego zeszytu odbijają się w litografii M. Fajansa, z rysunku p. Matuszkiewicza, i przedstawiają (w 1szym zeszycie): kościołek powązkowski, katakumby, pomnik Szymanowskich, którzy darowali ziemię na pierwszy zakład tego cmentarza, i grobowiec Jana Majorkiewicza. Format dzieła z powodu rycin będzie w 4ce. Oprócz historyi cmentarzy naszych, składają to dzieło obszerne życiorysy, czerpane po większéj części z nieznanych dotąd źródeł.

— Karol Drzewicki, autor dramatu **„Kontrakty,"** napisał

prozą komedyą w 2ch aktach p. t. „**Pantofel.**“ Gazeta Warsz. zamieściła ją w całości, a obecnie ma wyjść oddzielnie.

— Nakładem H. Natansona wyszło dzieło p. tyt.: **Nowe listy o chemii zastósowanéj do przemysłu, fizyologii i rolnictwa**, przez Dra Justusa Liebiega, profes. uniwers. w Monachium, przełożył L. Natanson Dr. medycyny.

— Nakładem Bernsteina wyszła z druku książka p. nap. **Pieniądze czyli sztuka dorobienia się majątku.** Praktyczny traktat o interesach. Przekład z francuskiego.

Prócz tego wyszły z druku w r. b. w Warszawie następujące prace:

Słownik geografii powszechnéj. Opis geograficzno-statystyczny państw, krajów, okolic, miast, wysp, mórz, rzek, jezior. Ułożony według najlepszych dzieł niemieckich, francuskich, angielskich i polskich przez Romana Lisickiego i Wojciecha Szymanowskiego. W 2ch tomach, nakładem H. Natansona.

Skorowidz mieszkańców miasta Warszawy z przedmieściami na r. 1854.

Laokon, szkic obyczajowy przez Alexandra Niewiarowskiego.

Treść roczników gospodarstwa krajowego z pierwszych lat 12tu.

Chów pszczół, przez ks. Jana Dolinowskiego.

Nowa mnemonika, czyli sposób ułatwiający naukę języków obcych, tudzież spamiętanie imion własnych i cyfr w geografii, statystyce i t. p., przez W. Dawida.

Starożytności Warszawy z rycinami, tom III., przez Alexandra Wejnerta. Szczupłą liczbę wydrukowanych egzemplarzy, bo tylko w liczbie 200, przeznaczył na wydanie tomu IV, do którego rękopism ma już w zupełności ukończony, a do tomu V. i VI. materyały prawie już wszystkie zebrane.

— P. Seweryna z Żochowskich Pruszakowa, autorka »Domowéj zagrody i Dwóch dworów« wykończyła powieść poetyczną z XVIII. wieku p. n.: »Powiśle,« którą w następnych zeszytach Bibl. War. ma podać.

— Spór wytoczony o nazwisko Marcina Urzędowa, wywołał ze strony p. Juliana Bartoszewicza ważną rozprawę dzie-

jów naszych dotyczącą: »Jak się tworzyły nazwiska w Polsce,« którą częściami ogłosił ten badacz w Dzienniku Warszawskim.

— Gazeta Warszawska ukończywszy druk powieści J. I. Kraszewskiego p. n.: »Powieść bez tytułu,« i powieść Korzeniowskiego p. t. »*Jedynaczka*,« zapowiedziała nową powieść Zygmunta Kaczkowskiego. Dzien. Warsz. ogłosił w swoim odcinku na miesiąc lipiec szkic historyczny (J. Bartoszewicza) z XIII. wieku: Iwo z Końskich Odrowąż biskup krakowski. J. I. Kraszewski nadesłał Gaz. Codziennéj wyjątek z dzieła swego o Starożytnościach słowiańskich, w którym zachwiał autentyczność wykopalisk prilwitzkich. Czas wskaże po czyjéj stronie prawda.

— Nakładem G. Sennewalda już wyszły lub wyjdą wkrótce z pod prasy drukarskiéj następujące dzieła: 1) Biblia dla dzieci ks. Noirlieu, z francuskiego. 2) Nauki ks. Piramowicza. 3) Wzniesienie myśli do Boga, wydanie piąte. (Jest to zbiór modlitw ułożony przez profes. A. Wagę). 4) Elementarz ks. Bogdana, z rycinami. 5) Wesołe powieści dla dzieci przez S. z rycinami.

— Nakładem S. Orgelbranda wyszedł tom VIty Historyi Powszechnéj, a wkrótce pod prasę drukarską pójdzie tom VIII.

— Pamiętników lekarza Polaka już wydrukowano tom III; całe dzieło obejmować będzie tomów cztery. Jest to utwór znanego w literaturze naszéj Dr. Teodora Tripplina. — Tegoż autora dalszy ciąg »Asmodeusza,« w 4ch także tomach p. n.: »Pamiętniki lekarza w Szwajcaryi,« niedługo pójdzie do druku. — Nakładem tegoż księgarza wkrótce wyjdą: Kazania ks. Koenigsdorfera, przekład ks. Rzewuskiego w 4ch tomach; i Książka do nabożeństwa dla dzieci przez autorkę Pamiątki po dobréj matce, nowe wydanie ozdobne.

Jan Kanty Gregorowicz wykończa obecnie dzieło: »O rolnictwie« w wykładzie popularnym.

— Leon Kunicki przygotował do druku Zbiór powieści i obrazków, które w 3ch tomach zamierza ogłosić.

— Pan Marcinkowski, znany pod pseudonimem Antoniego Nowosielskiego, wykończył rękopism obszerny: »Lud ukrainski, jego podania, klechdy, obrzędy, zwyczaje, przysłowia, zabobony, dumy, pieśni, bajki, zagadki, zamawiania, sekreta lekarskie, ubiory, tańce, gry« i t. d., który w 3ch tomach zamierza ogłosić.

— W jednéj z bibliotek większych znalazły się kazania ks. Albertrandego, rękopism własnoręczny tego uczonego historyka. Księgarz G. Sennewald ma je ogłosić swoim nakładem.

»Przejrzeliśmy — pisze Bibliotek Warsz. za miesiąc wrzesień — własnoręczny rękopism kazań Albertrandego znanego historyka: zbiór ich wyniesie dwa spore tomy. Nie ma w nich dni i świąt oznaczonych, na które były pisane; na czele są tylko teksta krótkie z pisma św., które w kazanich swoich rozwija. Jest tu kilkanaście kazań w języku francuzkim przez Albertrandego napisanych i powiedzianych.«

— Komedyą Ponsarda, p. t. »**Honor i pieniądze**,« któréj autorowi przyznano w Paryżu pierwszą z nagród, 5000 franków, przełożył wierszem Wacław Szymanowski.

— Sędziwy nasz nestor literacki, jak się wyraża Bibliot. Warsz., Kajetan Kaźmian, autor poemata dydaktycznego »Ziemiaństwo« ogłosił w Gazecie Codziennéj (Warszawskiéj): **Trybunał Lubelski**; opis nadzwyczaj zajmujący i wielkiéj wartości dla dziejów naszych. Jest to wyciąg ze wspomnień starca 82 letniego, jak czytamy w nadpisie. Wspomnienia te, biorąc miarę z danego wyjątku, będą nieocenionym nabytkiem do zarysów przeszłości ubiegłéj.

— Gazeta Warszawska, główny organ bieżącego życia literackiego u nas, wydrukowała w ostatnim czasie w kolumnach ważne rozprawy i wiadomości, jak:

ważną historyczną wiadomość o obserwatoryum wileńskiém, p. t.: „**sto lat istnienia wileńskiego obserwatoryum astronomicznego.**" Wiadomość ta ciągnie się przez Nra Gazety od 203 do 215);

ciekawy dla dziejów teatru polskiego nabytek, p. t. „**Krótki rys dziejów sceny krakowskiéj**;"

„**Listy Wladyslawa Syrakomli** (Kondratowicza) **o zbiorach archeologicznych w Wilnie**" i

„**Legendy i podania krakowskie,** zebrane przez **J. Ł.** i **G. C.**"

— Dziennik Warszawski ogłosił **nowe materyały do życiorysu hetmana Mazepy.**

— W »Księdze Świata« zamieścił J. Sikorski ważną treścią a zajmującą obrobieniem obszerną rozprawę swoją, p. t. „**Splecenie muzyki z życiem dawnych Polaków.**"

— Wiadomą jest rzadkość — pisze Bibl. Warsz. — drobniejszych pism Marcina Bielskiego, pomiędzy któremi **Sprawa**

rycerska i **Sejm niewieści** do białych kruków przez bibliografów naszych są policzone. Donosimy, że oba te pisma w wiernym przedruku wyjdą w „**Archiwum domowém**“ Wójcickiego, obok nieznanych dotąd rękopismów z archiwum króla Stanisława.

— **Dzieje Mazowsza** od początków do 1526 r., czyli do przyłączenia do korony dają obraz wielce rozmaity (słowa Bibl. Warsz.), zajmujący i nadzwyczaj ważny. Podjął tę pracę dawniéj, zmarły Hippolit Kownacki, i ogłosił w Pamiętniku Warszawskim F. Bentkowskiego; od dawnego czasu przybyły wielkie a nieznane mu materyały, które nietylko znakomicie szczegółami rzecz samą zbogaciły, ale zupełnie inny dziejom tym dają pogląd i stanowisko. Jeden z literatów od lat wielu opracowywa ten przedmiot, i wkrótce podamy w piśmie naszém (pisze wciąż Bibl. Warsz.) wyjątki z dziejów Mazowsza, skreślonych podług nowych źródeł.

— Tłumacz poematu **Chadży-Abrek** (przekład z Lermontowa), zamieszczonego w Bibliot. Warsz. na wrzesień, przygotował do druku wierszem tragedyą Oelenschlegera „**Corregio.**“

— Apollin Korzeniowski wydrukował w wrześniowym zeszycie Biblioteki Warszawskiéj dramat wierszem, p. t. „**Komedya.**“

— Zapowiedziane „**Psalmy Dawida**“ przełożone z tekstu hebrajskiego na język polski, już wyszły z druku.

— Jachowicza „**Świewy dla dzieci**“ znajdują się już w handlu księgarskim.

— »Panna Śmiegielska — pisze Dzien. War. — napisała nową powieść w 3 tom. p. t. »Wychowanka doktora.« Czytał ją w rękopiśmie najwłaściwszy sędzia tego rodzaju literatury pan Korzeniowski i jak sami to widzieliśmy, zapisał na kartce tytułowéj o téj *wychowance* jak najpochlebniejsze zdanie polecając ją czytelnikowi. Rzecz dzieje się częścią w Dreznie, częścią w Warszawie. — Doktor albowiem, o którym tutaj mowa był Niemiec, ale związkami krwi połączony w Polsce miał przy sobie pod koniec życia osiadłszy w Dreźnie, krewnych z Polski, brata i siostrę. Siostra ta jest bohaterką powieści, jest ową *wychowanką doktora*. Dzieło to zapewnie będzie niedługo drukowane jak »Sukcesye i praca,« które Wolff w r. b. wydał w Petersburgu. O *Sukcesyach i pracy* daliśmy sprawozdanie w Dzienniku. Są to małe dwa tomiki, ale tomiki *wychowanki* jeszcze są mniejsze. Ot, ciekawość po co mnożyć liczbę tomów, kiedy ten tom nic więcéj tylko broszurka zaledwie o kilkudziesięciu kartkach? Ładnie brzmi powie-

dzieć, że ktoś napisał powieść w trzech tomach, a nie miło przekonać się, że tam ledwie na tom porządny wystarczy. Znamy prócz tych prac trzecią jeszcze pracę panny Śmigielskiéj, która bodaj czy pierwszą nie była z kolei? Jest to »ośm obrazków w jednéj ramie« praca ta drukowaną była w Atheneum Kraszewskiego, oddział 2gi, zeszyt 1szy w roku 1848, str. 64—185. Prawdziwe to obrazki, nie ma w nich końca, nie ma dopowiedzenia o wszystkich osobach, które się znają w tych obrazkach, ale jest talent, jest poczciwość. Autorka czuje, bije w niéj puls naszego czasu. Obraz chwili dosyć trafny. Wady rażącéj głupoty wydatne. Cel też szlachetny. Mamy tam i wspomnień historycznych dosyć o Białymstoku, o hetmanowéj Branickiéj siostrze Stanisława Augusta. Zdawałoby się z tego, że panna Smigielska zna dzieje narodowe, ale przekonaliśmy się i z *Sukcesyi*, w których podobne wspomnienia wcale nie były w miejscu (bo dla czego pisać, że w téj a w téj stronie działo się to i to, li tylko z okoliczności przejazdu bohatera powieści przez te miejsca?) otóż przekonaliśmy się, że te wspomnienia są okrasą *zawsze* powieści panny Śmigielskiéj choć przypięte jak kwiatek do kożucha. Powtarzamy, że bardzo nam się podobały owe obrazki, czemuż *Sukcesye* już nie takie ciekawe? Może autorka poprawi się w *Wychowance*, czego jéj z serca życzymy, ale nie wolno nam pisać o rzeczy, która jeszcze świata nie ujrzała.«

— „**Krótki wykład religii katolickiéj**, przez ks. **Żukowskiego**“ opuścił prasę. Drugie dziełko tegoż autora, obejmujące wyższy dogmatyczno-moralny wykład religii katol., znajduje się w druku.

— W drukarni J. Ungera wyszło dziełko p. t. „**Pismo o religii naturalnéj i objawionéj**,“ przez ks. **Ant. Putjatyckiego**.

»Zaleca to dziełko — mówi Dz. Warsz. — piękny i nader przystępny wykład tych wszystkich prawd, na których zależy moralny porządek społeczeństwa. Ks. Putjatycki starał się swoje dziełko uczynić zrozumiałem dla ludzi wszelkiego wieku i stanu; nie sadzi się na zawiłe rozumowania, nie szuka głębokich teologicznych wywodów, wie bowiem że prawda prosto a szczerze do serc przemawiać powinna, i téj też trzyma się drogi. Dziełko to niewielkiéj jest objętości, a zaleca je prostota dykcyi, i unikanie zboczeń wszelkiego rodzaju, które służą tylko do przewleczenia, a nic w rozwinięciu tak ważnéj kwestyi nie dopomagają. Ksiądz Putjatycki czerpie dowody z saméj natury, z samego serca naszego i pism jakie nam ojcowie kościoła zostawili. Podwójnie działa na czytelnika, najprzód przekonaniem, powtóre uczuciem i wiarą. Wybornie obrobiony rozdział pod tytułem: »świat jest najdoskonalszy w rodzaju swoim,« gdzie przytoczona historya o Zebie mędrcu perskim, który chciał świat i ludzi poprawić. Przy obecnym tak pięknym zwrocie wyobrażeń religijnych, praca taka jak księdza Putjatyckiego, powinnaby znaleść nader sympatyczne przyjęcie.«

— **Przykłady arytmetyczne** przez **Wincen. Wrześniowskiego.**

»Te przykłady służą za najwyborniejszy praktyczny sposób dla młodzieży. dla wyuczenia się arytmetycznych zadań. Jest to, że tak powiem, obrazowanie rachunku, począwszy od najłatwiejszych zadań, aż do najzawilszych rachunków za pomocą logarytmów rozwiązywanych, obliczeń powierzchni i objętości i t. d. Nader ważną jest korzyścią, że za pomocą tych przykładów uczeń z łatwością nauczy się rachować na pamięć, co wielki bardzo pożytek w życiu praktycznem przynieść może. Obznajmi się przytem zarazem z monetami różnych narodów, miarami, wagami i t. p., a nauka przyjdzie mu w zabawie« Dz. W.

— Wkrótce ma wyjść z druku w Warszawie osobliwość pod pewnym względem, t. j.

— **Książka w języku polskim do nabożeństwa dla światłych Izraelitek,** ułożona przez J. Esenberga.

— **Książeczka in 16mo, bez tytułu i nazwiska autora.** O dziełku tém tak pisze Dzien. Warsz.:

»Autor »Zaścianka,« tego wiernego obrazu drobnéj szlachty, która dziś zatrzymała tylko wspomnienia, tylko tradycyą dawnego bytu, »Pamiętników Elfa,« »Pism przed ślubnych i przed splinowych,« »Opowiadań« i »Krynic,« tych pamiętników z życia akademickiego, pełnych humoru, dowcipu, żalu za ubiegłą przeszłością, dał nam obecnie małą książeczkę pod nazwą: »Książeczka in 16mo, bez tytułu i nazwiska autora.« Składa ją siedm szkiców z podań ludu, z własnego zapatrywania się na rzeczy ze stanowiska religii i filozofii; kilka rysów z biografii Karola Lamba, tego krytyka, który tylko dobrą stronę w każdem dziele umiał odkrywać; Jerzego Guerina, co swoim poematem przypomina najpiękniejszą epokę greckiéj poezyi, i nareszcie kilka szczegółów z życia Szydłowskiego, wydawcy »Wizerunków naukowych« i ostatniego może przedstawiciela szkoły klasycznéj w Wilnie. We wszystkich tych obrazkach pełno humoru, ironii, dowcipu naturalnego, pewnéj dobroduszności, zaprawnéj smutkiem i miłą tęsknotą. Autor dawnego autoramentu, John of Dycalp (Placyd Jankowski) rzeczywiście w ostatnich pracach swoich w nowém, piękniejszém niż dawniéj świetle przedstawia się oczom naszym; obrazek zwłaszcza: »Ignacy Szydłowski« może być śmiało policzonym do najwdzięczniejszych ustępów, które złożyły niedawno wydane uniwersyteckie wspomnienia.«

PETERSBURG. Znany w świecie muzykalnym i literackim, zamieszkały w Petersburgu, p. Wiktor Każyński, przygotował do druku piosennik p. t.

„Przypomnienia starym przyjaciołom.“

Jest to zbiór piosnek na temata ludowe polskie i litewskie; tekst wzięty z Kraszewskiego, Syrokomli i w. i. Pomiędzy nowemi naszych poetów utworami pomieścił p. Każyński i ową znaną religijną pieśń Karpińskiego: »Kiedy ranne wstają zorze.« Niektóre Nra ozdobione będą winietami J Kraszewskiego Do tego śpiewnika dorobił ulubiony poeta Kondratowicz kilka zwrotek do znanéj melodyi: »Wlazł kotek na płotek« i nic nieznaczące wyrazy téj piosenki umiał dziwnie rozprowadzić w następujący wiersz:

Wlazł kotek na płotek i mruga,
Piękna to piosenka niedługa
My temu chytremu kotkowi,
I sami odmrugnąć gotowi,
A żaden nie zgadnie, nie zoczy,
Co sobie powiemy przez oczy,
Tak migniem figlarnie i zdradnie,
Że człowiek sam siebie nie zgadnie.
W tém sekrek, w tém cała zasługa,
Wlazł kotek na płotek i mruga.

Ej kotku, ty kotku filucie,
Czy mruga w twych oczach uczucie,
Czy zdrada głęboka, a słodka,
Zwyczajnie jak w oczach u kotka;
Czy mrugasz nieszczerze czy szczerze,
Ja zawsze kotkowi uwierzę,
I wzajem domrugnę tak ładnie,
Że kotek nic wcale nie zgadnie,
W tém sekret, w tém cała zasługa,
Wlazł kotek na płotek i mruga.

A kiedy kotkowym zwyczajem,
Zawiedziem i zdradziem się wzajem,
Niech żaden się na to nie żali,
Bo myśmy oboje mrugali
Na zręczne mruganie z ukradka,
Nikogo nie znajdziem na świadka,
Kto widział nie zgadnął co znaczy,
Bo coraz mrugamy inaczéj;
W tém sekret, w tém cała zasługa,
Wlazł kotek na płotek i mruga.

— Maurycy Wolff drukuje nieznaną powieść Zygmunta Kaczkowskiego p. n. „**Mąż szalony,**“ oraz znane z feljetonów gazet warszawskich powieści: „**Djabła**“ Kraszewskiego i „**Starościca Wołyńskiego**“ J. Korzeniowskiego.

— Wolff oddał już pod prasę przekład historyków polskich, którzy pisali po łacinie. Pierwszy tom już w druku skończony. Oddział ten składać mają: Rudawski, Sobieski, Fredro, Heidenstein i Sulikowski; tłumacz. bowiem ich dzieł już są gotowe.

P. Wolff od lat kilku przygotowywa illustrowane **Album poetów polskich**, w którém począwszy od sielanki Brodzińskiego Wiesław, zamieści wybór najpiękniejszych utworów poetów naszych.

PROSPEKT.

Lud ukraiński, jego podania, klechdy, obrzędy, zwyczaje, przysłowia, zabobony, dumy, pieśni, bajki, zagadki, zamawiania, sekreta lekarskie, ubiory, tańce, gry i t. d., przez A. Nowosielskiego — dzieło, które będzie się składało ze trzech tomów. — Cena prenumeraty wynosi 5 rsr.

»Wydając na świat zbiór ten, wiem o tém, że on ani jest, ani może być kompletnym; takie dzieło, gdyby nawet było możliwém, nie mogłoby być nigdy owocem pracy jednego; żeby wyczerpać zagajony przezemnie przedmiot, potrzebaby było wydać całą bibliotekę. Jakkolwiek bądź, myślę, że książka moja, taka jaką jest, daje dokładne wyobrażenie ducha, fantazyi, jedném słowem całego moralnego charakteru ludu, jaki się wyrobił na naszéj ziemi z ogólnéj, tradycyjnéj nici ludzkości. To było moim celem i zdaje się, że pierwszy pokusiłem się o jego wypełnienie; nie szczegóły, ale całość dzieła miałem na oku. Jakkolwiek nie pełném może być dzieło moje, jednakże nikt, myślę, nie zarzuci mi tego, aby myśl jego nie była żywotną myślą, a każda myśl taka ma w sobie to, że raz wyłoniwszy się, nie przestaje potém pobudzać do życia coraz nowych czynów, nowych objawów tego samego co ona ducha. Jestem przekonany, że po téj pierwszéj próbie mojéj, okażą się inne dzieła liczne, studya, zbiory, co wyczerpią materyalnie rzecz, któréj ja zająłem się tylko skreśleniem ogólnéj idei. Myślę także, że książka moja, przy wszystkich swoich wadach i słabościach, stoi daleko wyżéj, daleko więcéj daje pożytku i nauki, niż liczne okazujące się tu i owdzie powieści i romanse.

Pokazawszy punkt widzenia, czytelnik mojéj książki winien jest zapatrywać się z niego na zagajony przezemnie przedmiot; oddaję dzieło same na sąd światłych a poważnych czytelników, będąc tego pewnym, że ci potrafią je ocenić należycie.

Autor.

Dnia 15. stycznia 1854. Mostyszcze.

Przedpłata wynosi r. sr. 5.

Zapisy przyjmują: wydawca, adresując do księgarni Teofila Glücksberga w Wilnie i Kijowie, i wszystkie porządne księgarnie w kraju i zagranicą, mianowicie w Warszawie i po znaczniejszych miastach w królestwie polskiém, we Lwowie, Krakowie, Poznaniu, w Berlinie, Lipsku i w Wiedniu.

Wydawca, mając w posiadaniu rękopis do druku zupełnie przygotowany, uprasza pp. księgarzy, szan. kollektorów i prenumeratorów, aby raczyli najdaléj w cztero-miesięcznym terminie o zapisach swoich wydawcę w Wilnie lub Kijowie zawiadomić. — Wydanie będzie staranne i duchowi czasu zupełnie odpowiedne, po wyjściu z druku, cena dzieła podwyższoną zostanie.

GALICYA. Zygmunt Kaczkowski kończy powieść p. t. „**Wnuczęta**,“ w któréj daleko późniejszą pokazuje epokę, wprowadzając na scenę już wnuczęta owych znanych Nieczujów.

LWÓW. Słownika Lindego druk już się rozpoczął w 2000 egzemplarzy.

— Wyszła tu broszura, ale tylko w 100 egzemp., »Rajnold Hajdenstejn i Franciszek Bohomolec, pisarza Żywota Jana Zamojskiego, kanclerza i hetmana wielkiego koronnego,« z dodaniem kilku ważnych dokumentów.

»Dla czego — pisze ktoś do Bibl. Warsz — w tak szczupłéj odbito liczbie egzemplarzy, nie wiemy, bo wydawca żałował chyba na papier, gdy druk opłacił; w tém widzę tylko ową starych bibliomanów słabostkę, co w naszych czasach tworzą dla przyszłości bibliograficzne rzadkości.«

Wyszedł także we Lwowie: „**Dokładny słownik francusko-polski i polsko-francuski podług najlepszych źródeł, W. Janusza;**“ oraz

Kalendarz w języku rumańskim dla W. X. Bukowińskiego.

— Nakładem W. Manieckiego wyszedł z druku dramat w czterech aktach przez Stanisława Piłata, p. t. **Zofia Morsztynówna.**

— Nakładem Manieckiego wyszedł z druku podarek dla młodzieży: „**Kilka słów o życiu ś. Stanisława Kostki**, przez ks. **Jak. Nowakowskiego.**"

— Nakładem Kallenbacha wyszły: Dzierzkowskiego **Dwaj bliźnięta — Znajda**; powieści Mieczysława R.: **Chorąży, Chart Watażki**; Piątkowskiego R. **Praktyczna nauka o wyrabianiu wódki z kukurydzy.**

Nakładem Towarz. gosp. galicyjskiego wyszedł: **tom 15. Rozpraw Towarzystwa.**

KRAKÓW. Czynny księgarz i nakładca p. D. E. Friedlein, wydał powtórną edycyą

„**Potoku książąt i królów polskich,**"

z opisem i tablicą genealogiczną; nadto książkę

„**Nabożeństwo do ŚŚ. Patronów Polskich**" przez ks. P. Pękalskiego. Dzieło to wyliczam między nowinami z pola archeologii, bo jest tłómaczeniem ważnéj w kościele polskim książki: *Officia propria patronorum regni Poloniae et Sveciae*, St. Sokołowskiego, r. 1637, edycyi kilka. Rycina dołączona do pracy ks. Pękalskiego, wystawiająca w drzeworycie: ŚŚ. Wacława, Wojciecha, Kazimierza, Stanisława i Floryana, została także osobno jako ładny obrazek odbita.

Wyszedł też w nakładztwie dzieł katolickich, widok kościoła ś. Katarzyny w Krakowie — rysunek lichy, ale cel jego publikacyi, zmierzającéj do podźwignienia z ruin téj świątyni, nakazuje zwrócenie nań uwagi publicznéj.

Dziejów powszechnych Dra J. Webera, tłómaczenia St. Żarańskiego, wyszedł we Lwowie poszyt 10ty.

P. A. Bielowski przysłużył się filologii starożytnéj swojemi nowo odkrytemi: **Ułamkami Troga Pompejusza**, wyszłemi w drukarni zakładu Ossolińskich.

Czas obiecał nam (Nr. 14 z b. r.) rozbiór nowego dzieła p. t. Karola Szajnochy: **Szkice historyczne.** Oczekujemy recenzyi tém skwapliwéj, iż w wielu rozprawkach tego zbioru rozwinął p. Szajnocha wcale nowe poglądy, i zaczepił ważne punkta z dziejów naszych. Są tam roztrząsane następne przedmioty: ś. Kinga; Szlak Batu Chana; Wiek Kazimierza W.; Do historyi Krakowa; Brody Krzyżackie; Barbara Radziwiłłówna; Stanisław i Anna Oświecimowie; Próbka podań historycznych; Wacław Potocki, autor wojny Chocimskiéj; Wnuk króla Jana III. — Badania te były drukowane w czasopiśmie zakładu Ossolińskich, Dzienniku lit. lwow., w Czasie i Dodatek do Gaz. lwowskiéj.

— Jak słyszymy, — pisze Czas — nowy nakład ma być zrobiony ślicznéj legendy p. Pola: „**Czarna Krówka,**" i podobno już nadzwyczaj wiele jest zamówień w téj mierze. Cieszymy się ciągle i coraz więcéj z dowodu niezaprzeczalnego, że poezya **religijno-moralna** tak żywo publiczność naszą obchodzi, i że dobry smak tak silnie się w społeczności naszéj odzywa.

— Wyszła tu książka przez Czas chwalona, p. t. **Główne zasady gramatyki języka niemieckiego,** z uwzględnieniem narzeczu goskiego, górno-niemieckiego, starego i średniowiecznego według celniejszych dzieł niemieckich — skreślił E. Janota.

— W drukarni Czasu wyszła: **Odezwa pasterska biskupa dyecezyi Viviers we Francyi,** w przedmiocie pukających stolików, przełożona przez ks. Alfonsa Skórkowskiego.

POZNAŃ. Nakładem J. K. Żupańskiego wyszły z druku:

Annales domus Orzelsciae per Joannum Orzelski Castellanum Rogosniensem, wydane staraniem Tytusa hr. Działyńskiego.

— Nakładem Żupańskiego wyjdą w krótce z pod prasy: **Album rytownika Polaka** (Lelewela) z czterech dział złożone, zawierające: krajobrazy, mapy, rzeczy polskie, wycinki (winiety z starych druków) i numizmatyka, z obszernym wstępem w języku polskim i francuskim, i

Uwagi nad Polską, jeden z 6 tomów dzieła J. Lelewela, pod ogólnym tytułem: **Dzieje i rzeczy polskie.**

— Wkrótce rozpocznie się druk:

Maccaulaya dalszy ciąg **historyi angielskiéj** w polskiém tłumaczeniu.

— Nakładem N. Kamieńskiego i Spółki wyszły z druku:

Tomasz à Kempis. Ogródek różany. Przekład z łacińskiego.

Ołtarzyk katolicki, czyli książka do nabożeństwa; cena 15 sgr., i

Książka do nabożeństwa dla młodzieży katolickiéj; cena 6 sgr.

ROZMAITOŚCI.

Zdanie Kraszewskiego o bieżącéj literaturze polskiéj.

Gazata Warszawska drukuje nieomal co tydzień bardzo zajmujące i pouczające listy ulubionego Kraszewskiego; korespondencye jego różnią się stylem, oryginalnością i wszystkiemi właściwościami razem, od wszelkich innych. Gdyby nam było wolno i gdybyśmy mieli dosyć miejsca, drukowalibyśmy wszystkie listy Kraszewskiego z Gazety Warsz. przez wzgląd, że dziennik ten tak mało u nas, prawie wcale nierozpowszechniony. Ograniczamy się na przytoczeniu zdanie Krasz. o bieżącéj literaturze i poezyach Kondratowicza. (Zdanie Krasz. o krytyce i niektórych nowych dziełach, dla braku miejsca w tym poszycie, podamy w następnym numerze Szkółki).

„......Literatura nasza, ożywiona współdziałaniem dzienników, ich współzawodnictwem nawet i sporami, jeśli nie dała nam dotąd nic wybitnego, nic coby przepowiadało nową dla niéj epokę, nowy popęd i kierunek, ma w sobie przynajmniéj zarody życia i siły, oznajmujące trwanie i niedozwalające obawiać się upadku. Na wszystkie strony widać szukających nowéj drogi ku światłu, nowego jakiegoś już przeczutego kierunku. Dziennikarstwo pojęło rolę swoją kierowniczą i steruje usiłowaniom, bodźca im dodając; najleniwsze umysły budzą się i podnoszą do pracy..... Nie przyznaję ja wcale literaturze naszéj, w chwili obecnéj, nadzwyczajnych jakichś zalet i wyższości, nie powiem, że dokonała już czegoś ważnego; ale porównywając ją z zagraniczną polską, muszę w niéj dojrzeć pragnień, usilności, wytrwałości pracy więcéj niż gdziekolwiek indziéj.

„Od ostatniego listu naszego przybyło dosyć; literatura piękna

zawsze tu jeszcze z historyą trzymają pierwsze miejsca, ilością utworów a nawet ich znaczeniem. Rozebrane tu już zostały miłe i piękne *Wędrówki Syrokomli,* które do wspomnień W. Polski, Podola, Wołynia, Polesia i Żmudzi wdzięczną przydają kartę. Syrokomla ten sam tu, co w swych prześlicznych, upodobanych wszystkim poezyach — serce poczciwe, umysł prawy, pojęcie zdrowe, a w głębi coś tak sympatycznego jak rzadko w którym pisarzu.... Serce to, serce.... któreśmy dla tego na czele przymiotów jego położyli. Jest to jeden z tych ludzi, których słowo tém głębsze czyni wrażenie, że za szczerość jego każdyby z nas zaręczył: w słowie tém cały człowiek. Piękność formy, którą przenoszę nad wszystko cokolwiek w tym rodzaju dziś mamy, nawet nad Pola, (przebaczcie!) oblека urokiem niezwyczajnym utwory jego; Pol często bliski bywa przesady; chcąc być dobitnym, posuwa się aż ku karykaturze; Syrokomla nigdy. Każde uczucie i myśl u niego, mają na rozkazy wyrażenie właściwe, które zdaje się łatwém i nie naciągniętém, a uderza trafnością, świeżością i pięknością swoją. Wędrówki, zwłaszcza część ich sercowa, opisowa, uczuciowa — bo historyczna służy za tło tylko i może się za dodatek uważać, — są czytaniem milém, pociągającém, od którego się trudno oderwać. Nie powiemy jednak, żeby autor odmalował nam w nich ten kątek, który ukochał, za którym tęskni tak łzawo; nad te zbiorowe rozdziały, w których mówi o szlachcie, o wieśniakach, o obyczaju i życiu, wolelibyśmy kilka scen, kilka obrazków dramatycznych, nie dających się zastąpić, w tego rodzaju książce, bodaj najlepszą rozprawą. Właśnie brak takich obrazków i żywych postaci współczesnych, któreby stanęły wśród pejzażu, dał się nam uczuć czytając Wędrówki...«

Zdanie autora „Obrazów litewskich“ o bieżącéj literaturze.

»Schodząc my starszy ze sceny świata i piśmiennictwa, z pociechą widzimy, że niwa jako tako przez nas uprawiana, odłogiem opuszczoną nie będzie, owszem, że pod świeższemi, młodszemi, i daj Boże, zdolniejszemi rękami, rozrośnie się i zakwitnie w piękniejsze coraz plony. Wróżba ta coraz wyraźniéj objawia się w pismach waszych, co tém pewniejsza, że znikły, dzięki Niebu i daj Boże niepowrotnie, u nas koterye, zarozumiałe pochopy i targania się na prawdziwą nawet zasługę, które niedawno zarażały jeszcze literaturę naszą; owszem, widoczna jest jakaś piękna harmonia między piszącymi: krytyka nawet płynie dziś z rozwagi i rozumu, nie z osobistéj niechęci, naucza nie jątrzy, ośmiela nie zniechęca. *Ot co jest!* Mógłbyś pan na to odpowiedzieć z Bekieszką: *Quis scit za górą?* ale ja wzajemnie: *dowód to łaski pańskiéj,* powiem z rycerzem z pod Kistryna; to bowiem jego przysłowie daje się łatwo zastósować do mych powyższych uwag i nadziei.«

Liczba piszących w Polsce.

»Pług (pseudonim) — mówi Redakcya Dziennika Warsz.. — rachuje trzy setki literatów. Właśnie tę kwestyą o ilości piszących po polsku rozbierano niedawno w pewném towarzystwie literackiém. Utrzymywaliśmy, że *dzisiaj* drukuje w téj chwili prace swoje 600, wyraźnie sześćset osób. Zaiste zastęp niemały i nie do pogardzenia. Wprawdzie może być wielka różnica pomiędzy rachubą naszą a Pługa przez sam system liczenia. My bierzem *wszystkich*, Pług może tylko celniejszych, głośniejszych, zdolniejszych. Ale najwłaściwszym sędzią w téj kwestyi o ilości, byłby p. H. Sk. były redaktor Przeglądu, który oddawna się zajmuje statystyką bieżącéj literatury, i ciekawe ku temu zebrał fakta. Zna on lepiéj jak kto inny owe anonimy, kryptonimy, których teraz tak pełno. Gdyby się rachowały wszystkie nazwiska występujące (t. j. pseudonimy itd.), każdy osobno, liczba ta dobrze *sześć set* by przeniosła.

Zanosi się na małą wojnę literacką.

Gazeta Warsz. wydrukowała w kilka numerach »Listy z Krakowa,« które niemałe zrobiły wrażenie w świecie literackim. Listy te w ostry sposób zaczepiły redaktorów i współpracowników *Czasu*, a szczególnie M. Mana, autora »Szaréj Godziny,« oraz Wincentego Pola, Kremera i innych. — Autor »Listów z Krakowa« utrzymuje, że w Krakowie istnieje »Towarzystwo wzajemnéj admiracyi,« którego godłem jest »ja wielki, ty wielki, myśmy wszyscy wielcy,« a celem »wzajemne siebie ilustrowanie.« Listy te napisane namiętnie, dowcipnie i nie bez żółci, niezawodnie wywołają burzliwą walkę, która czy się skończy na korzyść czy szkodę literatury, dziś powiedzieć nie można.

UWAGA. „*Artystyczne nowiny i doniesienia*“ dla braku miejsca, przymuszeni jesteśmy odłożyć do następnego zeszytu Szkółki.

Redaktor
EWARYST ESTKOWSKI.
(Ostrowo pod Wieleniem.)

Poznań, czcionkami W. Deckera i Spółki.